

P. 9786 Chł. Arch.

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/39

1951



• «La Culture» • Revue mensuelle •

I. M. BOCHENSKI, O. P. — Biblia i brewiarz • J. SZERECH — Młodzież czwartego Charkowa • M. CZAPSKA — Rozważania hamburskie • X. W. MEYSZTOWICZ — Przedłużamy historię Polski • T. TERLECKI — Widz i aktor • J. CZAPSKI — «It is our custom» ♦ SPRAWY KRAJOWE: K. BRZOSKA — Plan sześcioletni ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ KSIĄŻKI ♦ INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW KULTURY ZA ROK 1950 ♦ LISTY DO REDAKCJI.



## SPIS RZECZY

|                         |                                          |    |
|-------------------------|------------------------------------------|----|
| I. M. Bocheński, O. P.: | <i>Biblia i brewiarz</i> .....           | 3  |
| Jurij Szerech:          | <i>Młodzież czwartego Charkowa</i> ..... | 11 |
| Maria Czapska:          | <i>Rozważania hamburskie</i> .....       | 24 |
| X. W. Meysztowicz:      | <i>Przedłużamy historię Polski</i> ..    | 36 |
| Tymon Terlecki:         | <i>Widz i aktor</i> .....                | 47 |
| Józef Czapski:          | <i>«It is our custom»</i> .....          | 58 |

## SPRAWY KRAJOWE

|                    |                                                                      |    |
|--------------------|----------------------------------------------------------------------|----|
| Konstanty Brzóska: | <i>Sytuacja gospodarcza Polski</i><br><i>Plan sześcioletni</i> ..... | 72 |
|--------------------|----------------------------------------------------------------------|----|

## ARCHIWUM POLITYCZNE

|                       |                                  |     |
|-----------------------|----------------------------------|-----|
| Juliusz Mieroszewski: | <i>List z Wyspy</i> .....        | 96  |
| T. S.:                | <i>Z notatnika</i> .....         | 103 |
| Londyńczyk:           | <i>Kronika emigracyjna</i> ..... | 107 |

## NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

|                        |                                    |     |
|------------------------|------------------------------------|-----|
| Stanisław Lubodziecki: | <i>Sprawa Michała Żymierskiego</i> | 112 |
|------------------------|------------------------------------|-----|

## KRONIKA KULTURALNA

|                   |                                         |     |
|-------------------|-----------------------------------------|-----|
| W. A. Zbyszewski: | <i>Laureat Nobla</i> .....              | 120 |
| J. Cz.:           | <i>Notatki z Kongresu Brukselskiego</i> | 125 |

## KSIAŻKI

|                    |                                                                   |     |
|--------------------|-------------------------------------------------------------------|-----|
| Michał Sokolnicki: | <i>Z wysokiego posterunku</i> .....                               | 129 |
| Józef Łobodowski:  | <i>Ogród Getsemański</i> .....                                    | 135 |
| —                  | <i>Nowości francuskie</i> .....                                   | 144 |
| Jerzy Łysina:      | <i>Z ostatniej chwili</i> .....                                   | 145 |
| —                  | <i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1950</i> .. | 148 |

## LISTY DO REDAKCJI

|                             |                               |     |
|-----------------------------|-------------------------------|-----|
| Ks. MarceLi Leveque:        | <i>List do Redakcji</i> ..... | 158 |
| Ks. J. M. Szymusiak, T. J.: | <i>List do Redakcji</i> ..... | 159 |

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Styczeń — Janvier 1951

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



*Ze względu na poważną zwyżkę kosztów wydawniczych zmuszeni jesteśmy, poczynając od 1 stycznia 1951 r., ograniczyć wysyłkę bezpłatnych egzemplarzy KULTURY wyłącznie do egzemplarzy autorskich i wymiennych.*

Redakcja KULTURY.

*Tak jak zwykle, następny numer KULTURY ukaże się w połowie lutego w zwiększonej objętości — jako numer podwójny (luty-marzec 1951). Cena tego numeru wynosić będzie w sprzedaży detalicznej: we Francji — 200 frs., w W. Brytanii — 5 sh.; w Niemczech — 4 DM.; w U.S.A. i Kanadzie — dol. 1,25; w Argentynie — 10 peso; we Włoszech — 300 lir; w Belgii — 40 frs. belg.*

P. 9786 Chr. Arch.

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

## Biblia i brewiarz

Celem niniejszego artykułu jest wysunięcie pewnej propozycji dotyczącej środków zachowania kultury polskiej. Ponieważ jednak ta propozycja jest śmiała, a w dodatku jej celowość może się stać zrozumiała dopiero na tle pewnych rozważań natury historyczno-socjologicznej, wydaje się potrzebne rozpoczęcie od zreferowania takich właśnie rozważań.

### O Żydach

Jeśli wolno uczynić wyznanie, w przeciwieństwie do niektórych moich rodaków zawsze lubiłem i podziwiałem Żydów. Przejścia ostatniego dziesięciolecia sprawiły, że obecnie lepiej ich rozumiem niż dawniej, w związku z czym mój podziw dla tego niezwykłego narodu wzrósł znacznie jeszcze. Sądzę, że Żydzi są narodem, z którego nam, Polakom, koniecznie wypada brać przykład i uczyć się, jak w naszym położeniu postępować należy. Sądzę, że nie jestem w takiego rodzaju poglądach całkiem odosobniony; ostatnio czytałem np. parokrotnie, że *szekel* winien być dla nas wzorem. Na jedną rzecz nie zwrócono jednak bodaj dostatecznie uwagi. Oto w czasie wojny zaczęła się tworzyć postawa, którą nazwę „antypolonizmem”, bardzo zbliżoną do antysemityzmu. Nie żyjąc w polskim ghetcie (i to słowo jest zresztą dla położenia charakterystyczne) zdaje sobie z tego może bardziej sprawę, niż niektórzy inni Polacy. Nadejdą być może czasy, w których zabicie Polaka, albo przynajmniej plucie mu w twarz, będzie uważane w wielu krajach za czyn wielce patriotyczny i szlachetny, dokładnie tak, jak mordowanie Żydów, a przynajmniej poniewieranie nimi, uważane jest przez pewien typ patriotów za czyn wzniosły w różnych krajach świata. Ten fakt skłaniać nas powinien bardziej jeszcze do lepszego poznania narodu żydowskiego i uczenia się od niego metod przetrzymania w rozproszeniu i niewoli. Bo — tego nie odmówi Żydom nawet najbardziej zaciekle antysemita — odporność wykazali oni zadziwiająco.

Czemu tę odporność przypisać? Ghettu zapewne w wielkiej mierze. Wyrzuceni poza obręb społeczeństw europejskich, Żydzi żyli między sobą i łatwiej im było zachować swoją odrębność kulturalną. Faktem jest w każdym razie, że główną swo-



ją siłę czerpali oni zawsze z krajów, w których ghetto istniało — nie prawnie, oczywiście, ale *de facto*. Ghetto jest więc jednym z ważnych czynników w zachowaniu kultury narodowej.

Co to jest ghetto? Zbyt często rozumie się przez to słowo proste zmasowanie Żydów w jakiejś części miasta, zapominając, że ghetto jest nie tylko pojęciem geograficzno-demograficznym, ale i kulturalnym. Ghetto to nie tylko bieda, brud, tłok. Ghetto to synagoga, to określona wiara i swoisty styl życia, to nie tylko chałaty, białe pończochy i lisie czapki, ale także pewien ideał. Wzniosły ideał życia, głęboko przejęty religią, o wielkim promieniowaniu etycznym. Tylko dzięki temu, że ghetto pielęgnowało ten właśnie wniośły ideał religijno-moralny zawdzięczać należy fakt, że ludzie którzy nie tylko fizycznie, ale i kulturalnie z niego wychodzili, potrafili nadal czuć się z nim duchowo związani. Ghetto stanowiło i stanowi jeszcze olbrzymią siłę, nie dlatego, że jest mechanicznym skupiskiem nędznych ludzkich istot, ale dlatego, że pod brudnymi chałtami jego mieszkańców biją serca w których żyje wielki ideał.

Jak się to stało, że Żydzi tego ideału nie stracili? Złożyło się na to zapewne wiele przyczyn. Najpierw fakt, że społeczeństwa chrześcijańskie zajęły w większości stanowisko tak wrogie wobec Żydów i odcięły się od nich. Następnie związanie ideałów narodowych z religijnymi w tej nacjonalistycznej wierze. Nie trzeba jednak zapominać, że naród żydowski świadomie wytworzył i pielęgnuje po dziś dzień środki służące zachowaniu tego wszystkiego. Jest to punkt na który chciałbym w szczególniejszy sposób zwrócić uwagę.

Żydzi przeżyli ostatnio odrodzenie i zdaje się, że wchodzi znowu w fazę twórczą; zresztą faza ta nada zapewne narodowi żydowskiemu zgoła nowe oblicze i postępowy jak i obecnie się dokonuje bieżący, tak mi się przynajmniej wydaje, połączony z utratą wielu tradycyjnych ideałów. Ale przez długie wieki Żydzi byli kulturalnie martwym narodem. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Odgrywali oni olbrzymią, przytłaczającą, wprost rolę w myśli i kulturze narodów chrześcijańskich. Tak np. w filozofii zanoszono się niedawno na niemal zupełne opuszczenie wszystkiego przez nich. Ale myśliciele tacy jak Durckheim, Freud, Einstein, Alexander, Bergson, Husserl, Marx, Cassirer i tylu innych nie należą właściwie do narodu żydowskiego. Duchowo związali się z innymi narodami. Żywili się ich kulturą, wyrosli z innego podłoża — i jeśli wnieśli do kultury europejskiej swój geniusz, niewątpliwie żydowski, to treść ich myśli była tak dalece francuska, angielska lub niemiecka, że do rozwoju żydowskiej kultury ci wielcy ludzie przyczynili się bardzo niewiele. Ta kultura rozwijała się — tak mi się przynajmniej wydaje — bez wielkich ludzi. Wszystko, albo prawie wszystko co wielkie, naród żydowski oddał innym narodom.

Rzeczy mają się więc tak, że to nie wielkie osobistości utrzymały w narodzie żydowskim jego odrębność kulturalną, swoisty ideał religijno-moralny. Niezwykłą swoją odporność zawdzięcają Żydzi poza danymi osobistymi, poza okolicznościami zewnętrznymi, przede wszystkim temu, że potrafili wytworzyć *technikę* konserwacji własnej kultury.

Technika ta jest z grubsza Polakom znana. Gmina żydowska ześrodkowana jest około synagogi, która stanowi zarazem świątynię i instytucję narodową. Przywódcą jej jest rabin, będący nie tylko duchownym, ale zarazem nosicielem kultury żydowskiej. A w synagodze czyta się Biblię, księgę jedyną w swoim rodzaju, antologię literatury żydowskiej, zarys starożytnych dziejów narodu, zbiór podstawowych praw moralnych, słowo natchnionych przez Boga proroków. Biblia jest oczywiście dla nas, katolików, podobnie jak i dla wierzących Żydów czymś więcej niż to wszystko: jest bowiem słowem Boga, mówiącego do nas przez swoje ludzkie narzędzia. Ale Biblia jest dla Żydów także tym wszystkim: księgą dziejów i kultury narodowej.

Jednym z decydujących czynników w zachowaniu odrębności żydowskiej jest posiadanie i stałe odczytywanie Biblii.

### O Breviarzu

Od społeczeństwa żydowskiego przechodzę do innej grupy społecznej o całkiem innej strukturze i zgoła odmiennych losach, mianowicie do Kościoła Katolickiego. Na równi, albo raczej bardziej jeszcze niż naród żydowski, jest to grupa zdumiewająca przez swoją odporność i wielkość rzeczy, jakie umiała zdziałać. Pod tym względem istnieje więc uderzające podobieństwo. Z punktu widzenia Wiary zachodzi jeszcze inna więź między obiema grupami: a mianowicie w obu wypadkach mamy do czynienia nie tylko z czysto ludzkimi zjawiskami, ale z działaniem Boga na społeczeństwo. Katolicy wierzą, że i naród żydowski i Kościół Katolicki zawdzięcają swoją nadludzką odporność szczególniejszej opiece Opatrzności. Opieka ta ma w obu wypadkach odmienny cel — faktem jest jednak że stanowiska Wiary, że dla wyjaśnienia zjawisk musi ona być brana w rachubę.

Wypada tutaj zwrócić uwagę na tradycyjną tomistyczną interpretację sposobu działania tej opieki Boga nad grupami społecznymi. Nie chodzi mianowicie bynajmniej o nieprzerwany szereg bezpośrednich ingerencji w toku dziejów; że takie ingerencje są możliwe, że zachodzą rzeczywiście, nie ulega dla wierzącego wątpliwości. Nie mniej, tomista przyjmuje, że pozaprzyrodzone działanie Boga jest jedynie wyjątkiem, że więc Bóg działa normalnie poprzez przyczyny naturalne, środkami przyrodzonymi. Dlatego też warto się przypatrzeć, i w wypadku Żydów i w wypadku Kościoła Katolickiego, technice jaką te społeczeństwa stosują dla tworzenia i zachowania własnej siły duchowej.



Technika ta jest w kościele wielostronna. Jednym z jej aspektów jest np. włączanie do stylu i obyczaju katolickiego wszystkiego, co dana grupa narodowa posiada jako wartości specyficzne, uświęcanie tradycji, rytów, sztuki, ba! nawet myśli narodowej. Kościół Katolicki odznacza się tym, że niemal wszędzie, gdzie naprawdę zapuścił korzenie, staje się Kościołem Narodowym, tak dalece, że próby uniezależniania się od niego pod nazwą "Kościoła Narodowego" wydawały mi się zawsze nie tylko nieporozumieniem, ale nawet nadużyciem tej nazwy. Tak np. Kościół Katolicki w Polsce, tj. Msza św. ze śpiewem polskich pieśni i zawodzącym na sentymentalną (nieliturgiczną zresztą) melodię księdzem, to są Godzinki, Wigilia, Boga Rodzica, Rezurekcja, Sodalis Marianus, to jest nasz styl miłości bliźniego podniesiony na inny poziom, nasz stosunek, powiedzmy, do męstwa albo sprawiedliwości, to jest nasze przywiązanie do Matki Boskiej (co prawda kilka tuzinów narodów uważa Ją za swoją szczególniejszą Opiekunkę). Mógłbym mnożyć przykłady — tym bardziej, że niewielu polskich księży zajmowało zapewne tak zdecydowanie negatywne stanowisko wobec wyolbrzymienia tej tendencji, jak ja — wskutek czego jestem zapewne bardziej czuły niż niektórzy inni na fakt owego powiązania elementów katolickich z polskimi.

Owo "unarodowienie" Kościoła Katolickiego stanowi jednak tylko jeden z aspektów techniki, której Kościół stale używa. Niewtajemniczeni nie zdają sobie zapewne sprawy z tego, że równoległe z tą pierwszą najbardziej w oczy bijącą, akcją idzie inna, głębsza, niewidoczna, ale wywierająca potężny wpływ na kształtowanie się oblicza katolicyzmu we wszystkich krajach. Mam mianowicie na myśli kształcenie księży. Spotkam się, być może, z zarzutem, że księża np. polscy, nie wiele wnoszą ze swoich studiów do tzw. życia, tj. do swojego kaznodziejstwa i akcji duszpasterskiej. To jest jednak nieporozumienie. Najpierw nie chodzi mi tylko o studia, w intelektualnym słowa znaczeniu; następnie nie ulega wątpliwości, że mimo wszystko wpływ owego kształcenia w szerszym słowa znaczeniu jest olbrzymi. Warto także zwrócić uwagę na okoliczność, że treść tego, co ksiądz jako wykształcenie otrzymuje przeszła w dużej części, np. dzięki takim dziełom jak "Żywoty świętych" Skarży, do skarbcza kultury narodowej.

Co się składa na tę treść? Wiele różnych rzeczy — zasady wiary, filozofia scholastyczna, ryt, styl życia i tak dalej — między innymi jednak także pewien skarbiec doświadczeń moralno-historycznych i pewnej sztuki. Otóż i to jest punkt, który chciałbym bliżej omówić. Nosicielem tego ostatniego elementu jest brewiarz. Brewiarz katolicki jest w rzeczy samej narzędziem kulturalnym o tak wielkim zasięgu i głębokim wpływie, że zasługuje ze wszech miar na naszą uwagę.

Brewiarz obejmuje ponad 2.000 stron tekstu. Składają się nań przede wszystkim psalmy, a więc poezja religijna, następnie pewna ilość hymnów późniejszego (chrześcijańskiego)

pochodzenia, modlitw — ale także szereg *lekcji*. Te ostatnie są wybrane z Pisma św., z żywotów świętych i z dzieł Ojców Kościoła. Każdy ksiądz katolicki — a jest ich na świecie bodaj 300.000 — odczytuje codziennie pewną ilość psalmów, kilka hymnów, ale także po trzy lekcje z każdego rodzaju. Co prawda odczytywanie to jest często mechaniczne, zwłaszcza jeśli o psalmy chodzi; ale nie ulega wątpliwości, że nawet na najbardziej "zmechanizowanym" księdzu lektura — zwłaszcza lekcji — musi wywierać pewne wrażenie, tym bardziej, że te same teksty powracają co roku, a niektóre częściej. W dodatku znaczny odsetek katolickich duchowych — mianowicie kanonicy i członkowie zakonów (w przeciwnieństwie do nowoczesnych kongregacji), nie czytają lekcji, ale słuchają ich czytania w tzw. chórze.

Brewiarz jest jednym z najpotężniejszych środków kształtowania kultury katolickiej narodów. Sposób w jaki powstał, niemal przypadkowy, jego ustawiczne narastanie bez planu są powodem, dlaczego nie reprezentuje on wszystkiego, czego by można było się spodziewać, a to co podaje nie zawsze przedstawia tak, jakby sobie tego współczesny katolik życzył. Ale w całości stanowi on żywy obraz dziejów, walk, heroizmu, stylu życia i ideału Kościoła. Brewiarz kształci księdza, a poprzez niego kształci lud, do którego ksiądz katolicki — nieraz sam sobie już nie zdając z tego sprawy — mówi to co w brewiarzu wyczytał.

### O księgę polską

Jest rzeczą powszechnie znaną, że kultura polska znajduje się w ciężkim położeniu. Istnieje obawa, że bardzo systematycznie i inteligentnie prowadzona akcja eksterminacyjna w Kraju, osiągnie wyniki. Burzenie polskiej kultury odbywa się na wszystkich polach. Historia jest okaleczona i interpretowana fałszywie. Literatura jest coraz bardziej po prostu znoszona. Życie naukowe znajduje się w coraz większych trudnościach. Kościół sam, dotąd nietknięty w swojej istocie, będzie niewątpliwie przedmiotem prześladowania. Nawet polski język i styl życia ulega zniekształceniu przez wpływy rosyjskie. Całe pokolenie wychowuje się bez znajomości polskich dziejów, bez znajomości arcydzieł polskiej sztuki, bez kontaktu z polskimi obyczajami. Kultura polska zagrożona jest zupełnym zniszczeniem.

Należy do banalnych zwrotów, że obowiązek przechowania jej ciążyć będzie coraz bardziej na emigracji. Emigracja ta jest kulturalnie marna. Nie wydała, o ile można się zorientować, poza żołnierzami nieprzeciętnymi, ani poetów, ani myślicieli, ani polityków na wielką miarę; porównanie z którąkolwiek emigracją poprzednią wypada dla nas kompromitująco. Nie wydaje mi się jednak, by to, smutne zresztą, stwierdzenie miało być powodem do zniechęcenia. Przypominam, że Żydzi



potrafili zachować w ciągu wieków, bez wielkich osobistości swoją kulturę i umocnić ją znakomicie. Nie ma racji, dla których nie moglibyśmy dokonać czegoś podobnego. Nie rozumiem tego w tym sensie jakobyśmy sami mieli być odpowiedzialni za wykonanie tego zadania. Kraj będzie musiał nieść dużą część odpowiedzialności — ale pamiętać musimy, że tam zadanie będzie znacznie trudniejsze, podczas gdy my posiadamy dużą swobodę wynajdywania form organizacyjnych.

Streszczam się: kulturę polską *należy* zachować; zachować ją powinna *emigracja*; emigracja ta *może* ją zachować mimo trudności i słabości kulturalnej.

Jakich środków używamy i jakich powinniśmy używać celem spełnienia tego zadania? Staramy się, przede wszystkim, podtrzymywać życie organizacyjne. Jest to narzędzie ważne, niestety, stosowanie go połączone jest z dwiema trudnościami: z jednej strony rozproszenie Polaków staje się coraz większe, z drugiej tarcia polityczne i personalne, zawsze na emigracji wielkie, odsuwają wielu spośród nas od zebrań polskich organizacji. Mimo rozproszenia działać może polska prasa i ją uważam za jedno z najważniejszych narzędzi w dziele zachowania polskiej kultury. Prasę polską musimy za wszelką cenę nie tylko zachować, ale polepszyć i bardziej rozpowszechnić; to jest jedna z najważniejszych spraw kulturalnych obecnie. Równie doniosłą rolę odgrywa kościół. Z natury rzeczy łączy on ludzi łatwiej niż organizacje, daje dzięki dramatyzmowi charakterowi, jaki w naszej religii nabożeństwo posiada, przeżycia głębsze, a więc o trwalszym znaczeniu, niż inne zebrania; wreszcie, będąc instytucją odwieczną jest zarazem i lepiej przyjmowany — faktem jest np., że nawet przy wielkim rozproszeniu Polacy gotowi są zapewnić finansowo dojazd księdza polskiego — i działa skuteczniej, jako żywy przejaw jednej z zasadniczych form naszego bytu narodowego<sup>\*)</sup>.

Organizacje, a zwłaszcza prasę i kościół polski wypadnie nam za wszelką cenę utrzymać. Chciałem o tym wspomnieć z całym naciskiem tym bardziej, że nie o te sprawy mi chodzi. Idzie mi o coś głębszego, co mogłoby mieć, o ile by zostało prze-

<sup>\*)</sup> Chciałbym wspomnieć przy tej sposobności, że wypadnie organizację kościoła polskiego utrzymać nam samym. Nie tylko nabożeństwo w naszej miejscowości — pod tym względem zrozumienie na ogół istnieje — ale cały aparat polskiego kościoła na emigracji, aż do naszego biskupa włącznie. Fakt, że posiadamy własnego Biskupa ma ogromną wagę, jest po prostu warunkiem utrzymania nabożeństw polskich w wielu krajach (Australia!), umożliwia obronę naszego stanu posiadania wobec obcych biskupów, a także organizację wewnętrzną. Niech wolno też będzie powiedzieć, że obecnie rządzący kościołem polskim na obczyźnie Biskup (J. E. Ks. Józef Gawlina) wykonał pod oboma względami olbrzymią, można powiedzieć wiekopomną pracę — tym bardziej podkreślenia godną, że w przeciwieństwie do innych odcinków naszej pracy organizacyjnej nie mówi się o niej prawie nigdy. A przecież chodzi o jedną z podstawowych rzeczy w naszej walce o utrzymanie polskości.

prowadzone, wielkie i długotrwałe znaczenie: o stworzenie rzeczy, która by odpowiadała choć częściowo temu, czym jest dla ghetta żydowskiego Biblia i dla kościoła katolickiego brewiarz — "księgi polskiej" czy "księgi Polaka", dzieła, które by mogło być skutecznym nosicielem naszej kultury poprzez przestrzeń i czas.

Co by taka księga musiała zawierać? Wyobrażam sobie, że mogłaby być pomyślana raczej na wzór brewiarza niż Biblii, to jest w układzie kalendarzowym. Niepodobna i nie byłoby celowe tworzyć lektury na każdy dzień; może lekcja tygodniowa byłaby jednak wskazana, poza tym lekcje specjalne na uroczystości narodowe i wielkie święta, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Boże Ciało itp. Byłoby więc w tej księdze około 60 rozdziałów. W każdym rozdziale widziałbym następujące części: najpierw stronicę z dziejów polskich, treścią, dotyczącą jakiegoś wielkiego zdarzenia o naprawdę historycznym znaczeniu; dalej życiorys — również krótki, ale dobrze napisany — jakiegoś wielkiego Polaka; po tym wiersz, albo ustęp z klasycznej prozy; wreszcie może stronicę geografii, w szerokim tego słowa znaczeniu. To jest zresztą tylko jeden z możliwych schematów; być może nawet, że rzecz nie musiałaby być układana całkiem schematycznie, że na różne niedziele można by przewidzieć rozdziały rozmaicie redagowane. Wyobrażam sobie, że jeden rozdział powinien mieć około pięciu do sześciu stron sporego rozmiaru, tak że tom cały obejmowałby najwyżej 400 stron.

Jakkolwiek by jednak rzecz była pomyślana, cała treść tej książki musiałaby być znakomita pod każdym względem: język kryształowo poprawny i piękny, wybór tekstów dokonany spośród rzeczy największych, opisy i życiorysy napisane przez znawców, którzy byliby zarazem artystami. Na taką książkę nas stać — choćby dlatego, że mamy tak wielki wybór w naszej literaturze.

Księga taka miałaby pion, linię: musiałaby nią być tradycyjna polska linia: katolicka, bojowa i tolerancyjna zarazem, przejęta kultem tradycyjnych u nas cnót, wolna od wszelkich wpływów obcych, wolna od płytkiej demagogii i bieżącej polityki. Mówiąc o jej katolickim charakterze, nie mam na myśli wykluczenie niekatolickich elementów w tym czym Polska jest; bo naród nasz wytworzył kulturę, pod której dachem mieszkało sporo rzeczy obcych. Wydaje mi się np., że nie powinien być wykluczony z tej książki polski Żyd, ani polski socjalista, ani nawet polski "farmazon" — byleby tło ogólne było takie, jaką jest w swoim głównym nurcie polska kultura — katolickie.

Spotkam się zapewne z pytaniem, jaki byłby takiej księgi użytek? Odpowiem na to, że w pierwszym rzędzie prywatne czytanie. Niech wolno mi będzie powiedzieć, że ja sam, gdybym taką księgę miał, nie opuściłbym chyba nigdy jej czytania wieczorem, w niedzielę — a przecież znajduję się w znacznie lepszym położeniu niż dziesiątki tysięcy Polaków rozpro-



szonych po szerokim świecie, jako że i własną polską biblioteczkę uratowałem i żyję w mieście, w którym istnieje seminarium polskiej literatury. Wydaje mi się, że gdybyśmy taką księgę wydali, znalazłaby ona u bardzo wielu, uczonych i nieuczonych, gorące przyjęcie i stały użytek.

Ale to nie jest wszystko. Myślę, że powinniśmy dążyć do uczynienia z takiej księgi czegoś więcej — rodzaju tekstu uświęconego, który by się obowiązkowo czytywało, choć częściej, na polskich zebraniach. Myślę, że gdybyśmy rzecz taką porządnie wydali i zaczęli ją traktować jako naszą księgę narodową, stałaby się ona dla nas, choć w pewnym przybliżeniu tym, czym jest Biblia dla Żydów a brewiarz dla Kościoła: wiecznie żywym źródłem znajomości naszej kultury, sensu naszego bytu i ideałów, którym służymy wszyscy.

A więc *videant consules*. Rozważania, które tutaj pozwoliłem sobie ogłosić, są myślami nie fachowca, ale zwykłego Polaka, który księgi, o której myśli, sam napisać by nie potrafił, ale za to rozumie, jak bardzo by jej potrzebował.

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

## Młodzież czwartego Charkowa

*«Piękne miasto Charków — wielkie, wesole; ile świątyń Pańskich, ile pałaców, ile domów rządowych, jakie gmachy, szkoły wszelakie — i dla paniczów i dla panienek, jaki pałac biskupi, poczta, zamek więzienny — ojczulkowie moi, jakich tylko domów tam nie ma! Piękne, wielkie, wszystkie murowane, a dachy wymalowane zieloną farbą... Albo dzwonnica na środku miasta! Jeśli chcesz jej szczyt zobaczyć, to najpierw mocno czapkę naciśnij, a wtedy dopiero głowę zadzieraj, szukaj, aż dojrzysz szczyt ze świętym krzyżem; a i wtedy bacz, że choć czapka ci nie zleci, ale sam potoczysz się do tyłu: taka wysoka nasza dzwonnica! A ile w tym Charkowie ulic, ojczulkowie moi! Długie i proste, a trafiają się i brukowane: w największe nawet błoto nie straszno — nie ugrzęźniesz, choćby wółki nie wiem jak były nieczemne! Takie to jest nasze miasto!»*

Takim to niesłychanym cudem, wywołującym — trudno odróżnić — bardziej strach, czy zachwyt, wydaje się Charków początków XIX-go stulecia Grzegorzowi Kwitce-Osnowianence, piewcy nietkniętej, patriarchalnej wsi ukraińskiej. Było to wówczas małe gubernialne miasto.

Nieznany jest rok jego narodzin. Gdzieś koło połowy XVII-go wieku, znużeni wojnami Bohdana Chmielnickiego i początkiem Wielkiej Ruiny, osiedlili się tutaj ci, co pragnęli ciężar kozackiego życia zmienić na idyllę spokojnego rolniczego ładu stosunkowo zacisznej Słobożańszczyzny. Ale idyllę w historii trwają niedługo. Powoli, lecz zdecydowanie na łagodne słobody pada od północy cień żarłocznej Moskwy. Majdany łączą się w miasto. Wyrastają rzemieślnicze dzielnice. Jeszcze naucza ukraińskiej mądrości Hryćko Skoworoda, a już obok, na górze nad Łopanią rosną urzędy carskie, a z drugiej strony rzeczki, za cichymi ulicami Czobotarską, Kocarską, obok spokojnej Gonczarówki rośnie inny symbol reżimu — więzienie: zamek więzienny, jak go nazywa Kwitka. Patriarchalny ukraiński świat ze strachem i niezrozumieniem patrzy na potwora, co wyrasta obok, na jego własnej ziemi, jego własną pracą i kosztem...

Mija jakieś czterdzieści — pięćdziesiąt lat — i literatura przynosi nam nowe świadectwo o Charkowie. Nie ma w tym nic dziwnego, że tym razem wyszło ono spod pióra rosyjskiego pi-



sarza. Bowiem Charków coraz wyraźniej staje się wypadową bramą moskiewskiej ofensywy na Ukrainie. Anton Czechow opisuje Charków, jako brudne, niebrukowane miasto, zaludnione przez rosyjskie kupiectwo. Wciągnięte już zostały w orbitę miasta okoliczne ukraińskie wsie: Panasówka, Żurawłówka, Zaikówka, Osnowa, Zimna Góra — to już nazwy poszczególnych dzielnic miejskich. Powstają nowe podmiejskie ośrodki i noszą one nie-ukraińskie już nazwy; fabryki skupiają się na Petince; a dalej Raszkiń Dacza, Tiurina Dacza... W mieście nadają ton kupieckie dynastie: Żerewżewowie, Ponomariowowie, Ryżowowie, Utkinowie, Serikowowie, Ignatowowie, Sokołowowie... Ciągna się z północy, przynęceni bogactwem ukraińskiej ziemi. Rozbudowuje się nowe centrum miasta. Rosyjski kapitał razem z francuskim i belgijskim rozbudowuje Donbas. Wrota otwarte na oścież ku północy. Charków wydaje się wrogiem ziemi ukraińskiej.

Ale oto po wybuchu Ukraińskiej Narodowej Rewolucji w latach 1917-20, ukraiński żywioł znowu wdziera się do miasta, Wdziera się krótkimi zrywami, za każdym razem odrzucany siłami Północy. Ale już wdziera się. Obca moc, zmuszona do nominalnego uznania Ukrainy, umyślnie ogłasza Charków jej stolicą: skoro dotychczas był on bramą otwartą naścieżą ku północy, dlaczegoż by nie miał spełniać tej roli i teraz? Ale ukraińskich żywiołów, co wystąpiły z brzegów, już nie można zapędzić z powrotem do spokojnych brzegów patriachalnego wieśniactwa z czasów Kwitki. Te żywioły przyjmują wyzwanie. Charków — stolicą Ukrainy? Niech będzie. W takim razie uczynimy z Charkowa ukraińską stolicę. Więcej: uczynimy z niego ośrodek i symbol nowej Ukrainy. Odwrotu więcej już nie będzie. Charków stanie się ukraińską stolicą ukraińskiej Ukrainy.

Był Charków słobód, chutorów i rzemieślników. Był Charków — prowincjonalne miasto nieschodzonego i beznadziejnie szarego, rosyjskiego imperium. Teraz Mykoła Chwyłowij ogłasza narodziny trzeciego Charkowa: symbolu ukraińskiego urbanizmu. Symbolu buntowniczej, stojącej dęba Ukrainy. O tak, Chwyłowij dobrze zna życiorys miasta: «Śmierdzące, przemysłowe miasto, wielkie, lecz pozbawione wielkości — zapominało o swych słobożańskich narodzinach, zapominało o słobożańskich pułkach, i bajki amerykańskiej również nie stworzyło: nie poszły gmachy ku chmurom, i kryje miasto w swoich zaułkach krwawe legendy, co trwać będą wieki wieczne». Razem z Pawłem Tyczyną Chwyłowij mógłby zapytać:

— Charków, Charków, gdzie twoje oblicze?

Do kogo twój zew?

Ugrzązłeś w glinie wieloślowia,

czarny jak noc.

Ale wraz z Tyczyną dobrze wiedział, dokąd wyrывa się nowopowstała stolica: w ukraiński step, ku ukraińskim żywiołom.

*I nagle przerwał się przez mosty*

*— i już jest w stepie!*

*I już na wichrach —*

*W zryw, podryw, w gon...*

*I diabelskiego syna*

*już nie uspokoisz...*

To nie, że «nad twoją wiosną jeszcze wicher i śnieg. Mokry śnieg, kwietniowy deszcz». Niech tylko «zegar płonie w górze nad tobą, nad twoją, nad naszą głową». Ten zegar mierzy godziny historii. Historia pracuje na nas. I zegar wciąż płonie nad głową. I już kwiecień. Przyjdzie lato. Odnowi się kraj. I wówczas Chwyłowij woła: «Kocham to miasto do szaleństwa... Noc. Wiosna. Huczą wezbrane wody».

Pokolenie zapalczywych romantyków, pokolenie młodzieńców o błękitnych, przezroczystych żrenicach wyruszyło na podbój Charkowa. Na zdobycie prowincjonalnego spokoju. Wyście ogłosili Charków stolicą Ukrainy? Niech będzie, my go tą stolicą uczynimy. Wypełnimy go ukraińską treścią. Trzeci Charków — Charków Chwyłowego i WAPLITE, kurbasowego «Berezola», wystaw ARMU w salach dawnego klasztoru, bezkompromisowo płomiennych dyskusyj w Gmachu Literatury imienia B. Błakitnego na ulicy Kapłuntwskiej, Kursów Wschodoznawstwa, ukraińskiej studenterii, ukraińskiej pochodzeniem, duszą, programem i pragnieniem, powoli ukrainizowanych fabryk i urzędów, twórczy, kipiący życiem i szaleńczą odwagą Charków. Trzeci Charków, Charków ukraińskiej młodej młodzieży.

Pod względem administracyjnym trzeci Charków był stolicą ot takiej USSR. Ale jego ideolodzy i jego pokolenie duchowo podnosili go do rangi stolicy, czynili go w twórczym marzeniu ośrodkiem światowym. Na to Moskwa przystać nie mogła. Ideolodzy pokolenia i samo pokolenie, które odważyło się myśleć, musieli ulec zniszczeniu. W dniu 13-tym maja 1933-go roku rozlega się wystrzał w gabinecie Chwyłowego. Przestaje bić serce Mykoły Skrypnika. Do sprawy zabiera się GPU. Setki, tysiące i dziesiątki tysięcy charkowian, po badaniach na Sownar-komiewskiej i Czerniszewskiej żegnają się z życiem, rozstrzeliwani przez czekistów lub przetransportowywani na Północ i Wschód. W nocy, w tajemniczy sposób znika z placu pomnik Błakitnego. «Berezil» przekształca się w państwowy «Teatr imienia Szewczenki» i wystawia folklorystyczne sztuki w rodzaju «Daj sercu wolę — zaprowadzi w niewolę». Obok powstaje «Rosyjski Teatr Dramatyczny». Zaczyna wychodzić rosyjski «dziennik «Czerwony Sztandar», a ukraiński «Charkowski Proletariusz» zostaje z czasem przechrzczony na «Socjalistyczną Charkowszczyznę»; chłopci niech jeszcze czytają ukraińską gazetę, ale miastu — jak każdemu miastu nieschodzonego rosyjskie-





go imperium — potrzebna jest gazeta rosyjska. Żadnych stolic. Ukraina tylko na papierze. Wyrok na buntowniczy trzeci Charków spełnia się do reszty poprzez dwa akty: jawne, publiczne przeniesienie stolicy do Kijowa i — dokonane cichaczem, w nocy — zrównanie z ziemią grobów Blakitnego, Skrypnyka, Chwyłowego. Trzeci Charków, z taką namiętnością i czułością, z taką mocą i tak po ludzku, tak dumnie i lirycznie wyśpiewany przez Chwyłowego, został pochowany. Bez nekrologów, bez nadgrobnych przemówień. Wśród grobowego milczenia. Wśród hekatomb zamęczonych, rozstrzelanych, wymorzonych głodem.

Ale wszystkich rozstrzelać nie można. Któż został? Czym był, co stanowił c z w a r t y Charków: gniazdo świadomych buntowników, czy stado uciepnych obywateli nowego reżimu? Kto wypełniał aule uniwersytetów i instytutów, dokąd dostać się można było teraz wyłącznie za przepustką spec-oddziału — filii NKWD przy wyższych uczelniach? Jak ci ludzie żyli, czym oddychali? O tym pod-sowiecka literatura niczego dotąd nie powiedziała. (Mówimy o literaturze, a nie o makulaturze — ta ostatnia plotła coś, rzecz prosta, o stachanowcach, o tym, że życie stało się piękniejsze, weselsze, o kwitnących miastach kwitnącej Ukrainy — ale, chwalić Boga, są słowa i całe książki i nawet całe biblioteki, niby wypowiedziane, napisane, a jednocześnie nie istniejące. Po prostu nie istniejące!). O tym podsowiecka literatura nigdy niczego nie powie. Bowiem czwartemu Charkowowi wyznaczono rolę prowincji. Gdy prowincja zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że jest prowincją, to już jest pierwszy krok do tego, ażeby przestała być prowincją. Czyż można na to pozwolić. A sytuacja czwartego Charkowa — to sytuacja całej dzisiejszej Ukrainy. Ale jak o tym powiedzieć? Jak dowiedzieć się, co myślą i przeżywają ludzie w kraju, gdzie każdy myśli tylko o tym, by nie pomyśleć czegoś na głos, gdzie rodzice boją się dzieci, a dzieci — rodziców, gdzie stawiane są pomniki chłopcu, który chciał zniszczyć własnego ojca? Na próżno liczyć na jakieś oficjalne materiały. Gdy się czyta jakikolwiek sowiecki dziennik, aż dziw chwyta, że niczego z niego dowiedzieć się nie można. W kraju, gdzie w listach nie pisze się nigdy o swych prawdziwych myślach, a i w ogóle stara się tych listów pisać jak najmniej. W kraju, gdzie już od dawna zaprzestano prowadzenia pamiętników, bo to przydawały się wyłącznie NKWD.

Autor tych słów przez piętnaście lat wykładał na wyższych sowieckich uczelniach, miał ożywione kontakty ze studentami i wielu przyjaciół wśród młodzieży. Nigdy nie poruszano politycznych tematów. Nigdy nie mówiono o ujemnych stronach życia. Ale to i owo można było uchwycić. Potem na emigracji przyszły rozmowy ze studentami, którzy uciekli z kraju. O, tu mówili oni zupełnie inaczej, niż tam... Wreszcie niezwykle wiele przynosi utwór młodego emigracyjnego pisarza, Leonida Łymana, zatytułowany «Opowieść o Charkowie». Można by go nazwać «Opowieścią o Czwartym Charkowie». To utwór czło-

wieka, który sam należał do najmłodszej generacji akademickiej. Wojna 1941-o roku zastała go w połowie studiów uniwersyteckich. To utwór, odznaczający się niezwykle jasnym widzeniem szczegółów, wielką szczerością i odwagą nazywania rzeczy po imieniu, — a przy tym bez żadnych emigranckich kompleksów, bez najmniejszej politycznej tendencji. Jego spostrzeżenia i oceny pokrywają się z ocenami autora tego artykułu. To już dużo, i to daje prawo do zabierania głosu.

Tak więc jesteśmy w czerwcu 1941 r., w auli charkowskiego uniwersytetu, czy innej wyższej uczelni. Przed nami pokolenie dwudziestolatków. Tu trochę arytmetyki, która pomoże nam wiele zrozumieć. Ludzie ci urodzili się gdzieś koło roku 1919. Sowiecka kliszologia wśród wielu innych klisz zna i taką: «rówieśnicy października». Ale to pokolenie jest jeszcze młodsze. Ono nie znało dziesięciu lat rozpaczliwej walki ukraińskiego narodu z Sowietami — z Moskwą. Ono nie wie, w jaki sposób «proletaryzowano» wyższe uczelnie. Strzał Chwyłowego rozległ się, gdy im było 13 - 14 lat. Trzeci Charków przeszedł koło nich — nie znali go za jego życia, a po jego likwidacji władze sowieckie dobrze postarały się, ażeby się o nim niczego nie dowiedzieli. Pokolenie to bodaj już nie znało obyczajowości starej ukraińskiej wsi; kolektywizacja, podcinająca tradycje chłopskiego bytowania, zastała ich w wieku dziesięciu, jedenastu lat. To pokolenie nie znało bujnego renesansu ukraińskiego ducha w dwudziestych latach. Starsi zaś rzecz rozumiała, nigdy z nimi o tym nie mówili. Nie znali już historii Ukrainy, a nawet historii rosyjskiej; pokolenie to bowiem wyrosło na «historii ZSSR». Ukraińską literaturę poznało w granicach narzuconych przez podręczniki Nowickiego, Pilhuka i Szachowskiego, dla których 80 procent ukraińskich pisarzy w ogóle nigdy nie istniało, zaś utwory pozostałej reszty podane są jedynie w urywkach, lub wycyzszczonych przez cenzurę wydaniach. W wieku lat osiemnastu przez pokolenie to przetoczył się straszliwy huragan «jeżowszczyzny», a duchowe szczucie było tym straszniejsze, że pokolenie to nie było w stanie zrozumieć jego przyczyn, ani dojrzeć korzeni. Pokolenie to wyrosło na politycznej propagandzie, na komsomolskich zebraniach, na nauce swoistego mówienia i zachowania, wyrosło bez dyskusji, jego filozofia ograniczała się do haseł partyjnych, a jedynymi autorytetami stali się Marx - Engels - Lenin - Stalin, bo do nikogo więcej go nie dopuszczano.

O, to była straszna szkoła. W jej następstwie młodzież nie była młoda w całym tego słowa znaczeniu. W swoim czasie Chwyłowyj zwracał się z całą namiętnością romantycznego entuzjazmu do młodej młodzieży. To nie była gra słów. Już wówczas przenikliwe jego spojrzenie dostrzegało starzenie się młodzieży. Już wtedy widział, że młodzież traci zdolność do przemieniania świata. Cóż warta jest młodzież, która nie chce przemieniać świata? Chwyłowyj nawoływał młodzież, by była m ł o d a. Ale właśnie tego reżim bał się najbardziej. I reżim



zrobił wszystko, by uczynić młodzież starą. I miał na tym polu swoje osiągnięcia.

Młoda młodzież wszystkich epok niewstrzymanym naporem szturmowała świat. Jej hasłem było: iść na barykady. Postarzała młodzież czwartego Charkowa stara się przejść przez świat, niczego nie dotykając, niczego nie ruszając, niczego nie zaczepiając. Boi się pytań o siebie i nie zadaje pytań nikomu. Woli wiedzieć jak najmniej o innych. Tak jest bezpieczniej. Ta młodzież nie lubi ludzi i boi się ich. W głębi duszy to samotnicy, chociaż udają ludzi uspołecznionych, aktywistów, i żyją stadnie. Ta młodzież wyrosła wśród ciągłych ograniczeń: żywności, odzienia, elektrycznego światła... a przede wszystkim: szczerości. Ratuje się ucieczką w szablon: nie wyróżniać się, być taką jak wszyscy, mówić cudzymi słowami, szablonowe ubranie, szablonowe książki, portret Stalina nad łóżkiem. Tak jest bezpieczniej. Lepiej nie wymagać zbyt wiele od życia. Nikt oficjalnie ascetyzmu nie ogłaszał, ale w praktyce niedaleko do niego. Ideałem człowieka stał się ślimak: każdej chwili móc schować się.

A to nie jest łatwe. W wieku 20-tu czy 22-ch lat być ślimakiem! Wyrzec się uczuć. Aż do bólu, aż do bezwstydu chce się niekiedy być szczerym. Ale nie można. Szczerość innych trzeba traktować jako prowokację. W tym kraju nawet miłość «podszyciwają» pod politykę i omawiają na partyjnych zebraniach. Jednak mimo wszystko uczucia są potrzebne. Człowiek nie może żyć bez nich. I tu system przychodzi z pomocą. System stwarza namiastki uczuć. Jak w specjalnej rozdzielni towarów dla uprzywilejowanych, tak jest kształtowane i planowo rozdzielane sztuczne szczęście. W niewielkiej, urzędowo reglamentowanej proporcji państwo wypuszcza kupony sztucznego szczęścia, kupony imitowanych uczuć. Wolno uczyć się tańczyć. Można obejrzeć wiedeński film «Wielki walc». Stawia się na sentymentalizm: cygańskie romanse, słodkawe uliczne piosenki, poddane surowej cenzurze. Wzruszające historyjki o krasnoarmieju, który ustąpił z kładki «wyzwolonej» galicyjskiej chłopce. Oficjalnie wprowadzone szablonowe oceny: nikt nie potrafi tak kochać, jak sowiecki człowiek; nigdzie nie ma takich harmonijnych rodzin, takiego szczęśliwego życia. Gdy ślimak już nie ma więcej sił do siedzenia w swej skorupce, gdy młodzieniec już nie jest w stanie wygłaszać urzędowych przemówień, wówczas może na krótki czas zanurzyć się w tym świecie uczuciowych namiastek: posłuchać romansów Izabelli Jurjewoj, albo łzawych piosenek Wadima Kozina w oryginalnym wykonaniu, lub na gramofonowych płytach.

Ślimakowate życie duchowe i zmechanizowanie życia społecznego zrodziły namiastki uczuć. Ale z tego rodzi się poczucie fałszu. Za pięknymi i całkowicie skompromitowanymi słowami o czystości, miłości i przyjaźni kryje się pustka, kryje się brutalność, koszary i brud. Tak powstaje nihilizm sowieckiej młodzieży. Myśli się tak, a mówi się inaczej, Mówi się tak, a

postępuje się inaczej. Nawet na emigracji jakże często nas uderza, jak łatwo przychodzi kłamstwo ludziom o sowieckim wychowaniu. Niekiedy kłamie się bez potrzeby ani celu. To nie jest ich wina, a w tamtych warunkach nawet nie jest wadą. To przyrodzona, ogólna cecha, to jeden z głównych sposobów samoobrony, wchodzący z czasem w krew i ciało. W tym kraju, gdzie prawa jedynie zabraniają i na nic nie pozwalają (chyba, że zakaz czegokolwiek określa się jako pozwolenie: tak np. zakaz nie pracowania nazywa się — prawem do pracy), można działać tylko nieszczerze. Zwyciężają tam silni i chytrzy, ale powinni oni udawać strachopłochów, podszywać się pod zwykłych i przeciętnych. Na skutek wiecznego powtarzania szablonów, na skutek ogólnego zakłamania treść słów zużyła się i sprowadziła do zera. Wszystko jest zunifikowane i jednostajne, jak w robotniczej jadalni. (Autor tych słów wszedł kiedyś do restauracji w Chersoniu. Wszyscy jedli to samo. Na zapytanie — czy nie ma czegoś innego za dopłatą? — zarządzający jadalnią odpowiedział nie bez poczucia dumy: «U nas dla wszystkich ten sam jadłospis»). Bankructwo i taniość słów pociągnęły za sobą bankructwo i taniość treści. Każdy dba tylko o siebie. Człowiek człowiekowi jest tu tysiąckrotnie gorszy od wilka. Ale o tym się nie mówi. I niemłodemu młodzieńcowi, który od dzieciństwa (dzieciństwa na podwórku kolektynego domu i w musztrze zmilitaryzowanej szkoły) przechodzi od razu do starości, takie pojęcia, jak miłość, szlachetność, patriotyzm — wydają się marnymi szablonami, materiałem do taniej demagogii. Sam przed sobą może się do tego nie przyznać — ale w rzeczywistości tak właśnie to odczuwa.

Ostrożność, zakłamanie, cynizm, nihilizm... A w głębi duszy człowiek czuje: szczęścia nie ma, narodu nie ma, ojczyzny nie ma. Cóż jest? Jest tylko łgarstwo, łgarstwo, łgarstwo. I jedyna rzecz realna — to ja. I jedyne, co można i trzeba uczynić, to uratować owe ja w tym strasznym, tym nieprzytulnym, tym na skroś fałszywym świecie. Nihilizm prowadzi do karierowiczostwa. Spryciarza, który potrafi przystosować się, oczekują order i medale, własne auto i specjalne przydziały, willa w Soczi i stalinowskie nagrody. Trzeba więc skierować całą energię nie ku walce z systemem, ale ku zduszeniu konkurentów, przebicciu sobie drogi do kariery, ku najlepszemu przystosowaniu się. Podstawiaj innym nogę (ale po kryjomu), działaj chytrze i podstępnie (ale cichcem), pchaj się za wszelką cenę do góry, obalając innych (ale bez krzyku). Tak wyrasta karierowiczostwo i egoizm tego pokolenia. Okrucieństwo i rozmiłowanie w zaszczytach.

A stąd najniespodziewaniej rodzi się jego absolutna apolityczność. To może się wydać paradoksem. Jakże-to? Ludzie, których życie jest bez reszty naszpikowane polityką, ludzie którzy nawet w chwilach najbardziej osobistych porozumiewają się przy pomocy partyjnych haseł i gazeciarskich szablonów — ci ludzie mieliby być apolityczni? A jednak tak jest. Społeczne ży-



cie wraz z wszystkimi politycznymi «zobowiązaniami» budzi w tych ludziach głęboki wstręt. Gdzie można — tam ratują się kłamstwem. Gdzie nie poszczęści — ze wstrętem ciągną dokuczliwe jarzmo.

A poza tym — nic, próżnia. Jesteśmy w czerwcu 1941-go roku. Za granicami ZSSR toczy się straszliwa wojna. Lada chwila pożar przerzuci się na wschodnią Europę. Ale prasa, która otrzymała odpowiednie instrukcje jeszcze we wrześniu 1939-go roku, o tym nie pisze. Ludzie dbają tylko o to, żeby nie stracić widoków, nie trafić na prowincję, uniknąć mobilizacji do lotniczych szkół, jednym słowem, o to, żeby się wykreść i jakoś urządzić swoje prywatne, osobiste życie. Wybuch wojny przychodzi zniekacka, nie wywołując żadnego entuzjazmu, ani bohaterstwa, ba, nawet specjalnego zdziwienia. Jest to pokolenie apolityczne, bo polityka też zamieniała się w łgarstwo, bo pokolenie to uległo rozbiciu na atomy. Każdy za siebie, o sobie, w sobie.

Krąg naszej analizy zamknął się. Zaczęliśmy od ślimakowości — i na ślimakowości skończyliśmy. Świat zamyka się w muszli. Poza muszlą — nie szukaj niczego jasnego, przyzwolitego, czystego.

Gdyby postawić na tym kropkę — byłaby ona znakiem rozpaczy i śmierci. Oznaczałaby «Finis Ucrainae». Na szczęście, kropki tu nie ma. Ani w opowieści o życiu, ani w samym życiu.

Żadne pokolenie — nawet najbardziej zmechanizowane i poddane szablonom — nie stanowi zwartej całości. Istnieją w nim liczne luki. Wychowankowie wsi nie pokryją się z wychowanymi miast, ani robotnicy z nową partyjną i biurokratyczną górą. Nawet studenci z pierwszego roku są różni od kolegów z ostatniego. A co najważniejsze: pokolenie składa się z ludzi. Ludzi z tego samego pokolenia łączą wspólne cechy, ale bądź co bądź są to indywidualności. Jeszcze nigdy żaden system nie zrównał ludzi dogłębnie pod względem duchowym. Pokolenie czwartego Charkowa — to nie protoplazma. To ludzie.

Są tacy, którzy czują się w sowieckim systemie jak ryba w wodzie. Zmieniają poglądy stosownie do każdego skreślenia partyjnopolitycznej linii, znajdując przyjemność w odgadywaniu każdego kolejnego zwrotu i żyjąc zawsze w pogotowiu. Ale to jednostki. Wszyscy inni — w mniejszym lub większym stopniu, w ostry sposób lub przytępiony, rozpaczliwie lub pół-martwo, w trzeźwym stanie lub po pijanemu — choć czasem, choć niekiedy odczuwają fałsz życia i fałsz systemu. Jedni histerycznie płaczą — ot, tak, bez żadnej przyczyny. Inni myślą o samobójstwie. Jeszcze inni rzucają się na drogę «pięknych katastrof», z naiwną szczerością wykładając jakąś część swoich intymnych myśli i pomysłów w sprawozdaniach dla... komsomolców i partyjnych swego instytutu czy uniwersytetu.

Swoich intymnych myśli i pomysłów... Tak, z małymi wyjątkami młodzież czwartego Charkowa uratowała jednak swoje myśli i pomysły. Reżim ich nie wykorzenił i nie wykorzeni. I to jest niesłychanie ważne. Może tu właśnie znajduje się ziarno

przyszłości. Nie należy jednak przesadzać w ocenie stopnia dojrzałości, harmonijności tych zatajonych myśli. Ale to prawda — z wyjątkiem jednostek, o których była już mowa — każdy zdaje sobie sprawę: coś jest nie w porządku. Każdy zdaje sobie z tego sprawę, ale tylko w sobie i dla siebie, bo w czwartym Charkowie wszystko jest rozbite na atomy i otoczone szklanym murem wzajemnej nieufności, murem, jakiego żaden dźwięk nie przebije; po drugie, nikt nie jest w stanie dobrać się do korzeni zła, bo nie ma dostępu do źródeł krytyki, nie ma dojścia do innej, poza oficjalną, płaszczyzny myślenia. Jednym wydaje się, że rzecz polega na konflikcie pokoleń. Inni tak przyzwyczaili się do myślenia kategoriami klasowymi, że do innego myślenia w ogóle już nie są zdolni. Problem sowieckiego systemu i roli, jaką odgrywa w nim Moskwa, dla nich nie istnieje, — jest tylko problem tzw. «insektów». Tak właśnie wygląda w różnych swoich odcieniach program własowszczyzny, koniunkturalny i krótkowzroczny, taniutki, poprawione wydanie sowieckich haseł dla tych, którzy nie umieją myśleć, albo też pragną za wszelką cenę uratować imperium. Ale nawet najrozumniejsi i najprzymusi, ci, co zdają sobie sprawę, że reżim zdeptał i gnębi człowieka, że sama idea człowieka znajduje się w Rosji Sowieckiej — jak to określa Łyman — «w stadium teoryzowania», nawet ci, marząc o idealnym społeczeństwie, w którym wszyscy będą mieli równe możliwości, chociaż inne osiągnięcia, i wysuwając ideał «pięknych katastrof», nawet ci nie rozumieją, albo nie odpowiadają samym sobie, że urzeczywistnić taki ideał to znaczy przede wszystkim powalić sowiecki ustrój i rozbić Rosję.

Przypatrując się z boku, łatwo dostrzec, że za tymi wszystkimi marzeniami o przewodnictwie «włościańskiej klasy», czy też sprawiedliwości i idealnym społeczeństwie tkwi w gruncie rzeczy ideał niezależnej ukraińskiej (w sensie zbieżności społecznego ustroju z narodowym typem psychologicznym i jego ideałami) Ukrainy. Młodzież ta czuje bowiem kategoriami narodowymi. Słowo Ukraina i jego treść wyciśnięte są w ich duszach o wiele silniej, niż u pokolenia, które robiło rewolucję 1917-go roku. To słowo i jego treść stały się organicznym składnikiem nawet u wielu Rosjan i Żydów, od lat mieszkających na Ukrainie. Ale bohaterów czwartego Charkowa nie uczono myśleć narodowymi kategoriami. Świadomość i podświadomość idą różnymi drogami. Oto jeszcze jedna przyczyna duchowej rozterki i niezadowolnienia z życia, głuchego i często niejasnego dla nich samych. Bo nauczono ich myśleć wyłącznie kategoriami klasowymi. Życie zaś uczy myślenia kategoriami materialnymi, co często sprowadza się po prostu do zagadnienia kałdunu. Poczucie narodowe jest w nich silniejsze, niż niegdyś, ale istnieje ono głównie w podświadomości.

W powieści Łymana bohater mówi o «pociągach mojego kraju». To nie pomyłka. To bardzo trafnie podchwycony szczegół. Cały ZSSR wydaje mu się jego krajem. I gdy mówi on o



miłości do swego Charkowa, to wypływa u niego z narodowego poczucia, ale rozumowo nie chwyta w owej chwili, że ten Charków i jest jego i nie jest («Na naszej nie swojej ziemi» — mawiał Szewczenko). Po powrocie z Galicji, bohaterka stwierdza nie bez zdziwienia, że nigdzie w świecie «nas» nie lubią, bo u «nas» nieinteligentna władza. Tu uczyniono już krok do odcięcia się od władzy, ale to «my» i «nas» — to znowu da-nina, spłacona oficjalnemu pojęciu sowieckiego narodu.

Bardzo ostre poczucie narodowej odrębności i pojęcie «jedynego sowieckiego narodu» mogą współżyć w świadomości właśnie dlatego, że nie ma tu programu, a tylko pół-myśl, pół-odczucie. Bardzo jednak naiwni są ci obcy dziennikarze i obserwatorzy, którzy, poddając się hipnozie oficjalnej sowieckiej propagandy, sądzą, że kwestia narodowa w ogóle w ZSSR nie istnieje. Gdyby nie istniała, dawno byłyby zlikwidowane fikeje odrębnych republik. O nie, właśnie kwestia narodowa najbardziej niepokoi Kreml, a niepokój ten coraz to przejawia się w najrozmaitszych formach: a to w «językoznawczych» dyskusjach, a to w osłabieniu lub zwiększeniu rusyfikacyjnego nacisku. Ale prawdą jest i to, że narodowa kwestia na Ukrainie nie wyradza się w prymitywne formy wrogości i nienawiści, jak to nierzadko zdarzało się np. w Galicji; nikt tu nie uważa innych narodów za mniej wartościowe, ani nie nadaje im ośmieszających nazw. Środek ciężkości narodowej kwestii przeniósł się ze sfery zewnętrzno-emocjonalnej do społeczno-politycznej. Czy na skutek tego problem uległ złagodzeniu? Raczej przeciwnie.

Wszystkie te problemy dojrzały już do ostatecznego kształtu, ale w warunkach sowieckiego życia przed drugą wojną światową nie mogły skryształizować się w kompletny system ideologiczny. Tu właśnie leży przyczyna, dla której to pokolenie nie było wówczas w stanie pójść do decydującej walki z okupacyjnym reżimem. Nie można wydać bitwy, nie mając pola walki. Takim polem walki z sowieckim reżimem może być jedynie myślenie narodowymi kategoriami. Na takie myślenie zdobył się trzeci Charków. Zabrakło go pokoleniu czwartego Charkowa.

Tak, reżim nauczył tę młodzież kłamstwa i okrucieństwa — zaszczerpił jej ślimakowatość, dbałość o kałdun, egoizm i nihilizm. Ale z wyjątkiem jednostek cechy te nie wrosły organicznie w istotę pokolenia. Wyniosło ono i uchowało poczucie fałszu tego wszystkiego, w czym go wychowywano. A to niezwykle wiele. Bo wycucie fałszu oznacza brak wiary. A brak wiary w sowiecki system przy braku wiary w coś innego (na skutek stuprocentowej nieznajomości czegoś innego) oznacza, że duchowe siły pokolenia spały nieużyte. I jeśli w przystosowaniu się pokolenia do systemu znajdujemy klucz do jednego aspektu duchowego życia tego pokolenia, nieużycie jego duchowych sił otwiera nam drugi aspekt tego życia. Jeden klucz otwiera negatywy, drugi — pozytywy. Te pozytywy, które napędlają wiarę w przyszłość, które zapewniają odrodzenie najpiękniejszych tradycji trzeciego Charkowa.

Jeśli zasoby skumulowanej, nieużytej energii nie są w stanie wyładować się w działaniu i w słowie, czy nie należy się spodziewać, że pójdą one na wewnętrzne z bogacenie człowieka? Można pozbawić człowieka majątku i zerwać jego związki z innymi ludźmi. Ale nie można «rozkułaczyć» mózgu — powiada profesor w sztuce Afinogenowa «Strach». Prawdą, nie wszystko tu jest jasne, łatwe i prostolinijne. Można bowiem postawić człowieka w takich warunkach duchowej izolacji, że proces jego myślenia wprowadzie się nie zatrzyma, ale będzie hamowany, systematycznie wykrzywiany i, co najważniejsze, nie zdoła wykrystalizować się w jasny, samodzielny system. Jużemy widzieli, jakie sukcesy odniósł reżim w tym kierunku.

A jednak mózgu «rozkułaczyć» nie można. Ogromna chciwość życia, olbrzymie zasoby nieużytego duchowego zdrowia, jakie młodzież czwartego Charkowa w sobie niesie — spadek po ukraińskiej przeszłości — nie znalazły rozumnego i celowego zastosowania w okaleczonym życiu, i zostały zużyte na intensywne bogacenie się wiedzą. Pod tym względem drogi są również pozagradzane, i tu również młodzież znajduje wyłącznie preparaty i namiastki, ustalone przez partię i rząd. Ale może nigdy jeszcze młodzież ukraińska nie przejawiała takiej namiętności, takiej nienasyconej chciwości poznania własnego i obcego świata, i nie rwała się tak do wzbogacenia swego umysłu. Takiego zjawiska nie dostrzegłem na wyższych uczelniach Zachodu. Skrępowana w swym rozwoju, skierowana w wąskie koryto praktycznego życia, odgradzona od abstrakcji, ta chciwość życia i wiedzy wytwarza pokolenia ludzi sprawnych technicznie, o wielkiej praktycznej orientacji, umiających znajdować wyjście z najcięższych nawet sytuacji, myślących konkretnie i odznaczających się dużą koncentracją woli. Pokolenie to niekoniecznie jest materialistyczne, ale na pewno bardzo z tego świata. Łakomie czepla się życia, mgliste dale są mu obce, ale — choć często nieświadomie — wyczuwa ono idealne w konkretnym; jego poezja — to poezja żywo wyczuwanych szczegółów żywego istnienia, a nie nieokreślonych, pozaświatowych spekulacji. Są w nim cechy twórców, zdobywców i budowniczych państwa, aczkolwiek cechy te na razie — podkreślam: na razie — wykorzystywane są w pracy inżynierskiej na cudzych przedsiębiorstwach.

Nieużyte duchowe siły, niewyczerpana chciwość poznania świata i opanowania go rodzą nienawiść tego pokolenia do ograniczeń i ramek. W istocie swej i z charakteru i ze sposobu myślenia jest to pokolenie nie prowincjonalne lecz imperialne. Mam na myśli imperialność psychologiczną i w żadnym wypadku nie jako symbol obecnego Związku Sowieckiego. Dlatego też pokolenie to nigdy nie zgodzi się na jakiegokolwiek rasowe ograniczenie, na narodowe odosobnienie, na musztrę i zadowoloną z siebie jednostronność. Te właśnie cechy dostrzega na Zachodzie i jakże obca wydaje mu się wymierzona jednostajność i nudna, ciasna reglamentacja niemieckiego mieszczańskiego życia. Nie



na papierze, sercem i obnażoną piersią pokolenie to otwiera się wichrom z czterech stron świata, przyjmuje i akceptuje te wichry, więcej: pochłania je.

To pokolenie nienawidzi musztry i ograniczenia. Wyrosło ono w warunkach całkowitej likwidacji feudalnych przeżytków, które po dziś dzień ciążyą nad młodzieżą Europy. Nie zna ono rang ani tytułów; nie całuje rącek i nie mówi ugrzecznionych a beztreściwych słów, ale podchodzi do każdego człowieka, jak do swojego i równego sobie. Co może najbardziej rozczerowywało u Niemców, to fakt, że oficerowie bili żołnierzy po twarzy — zjawisko absolutnie niemożliwe w Związku Sowieckim, gdzie całkowita niewola człowieka idzie w parze z zewnętrznym szacunkiem i gdzie na pierwszy rzut oka ciężar państwowy gniecie wszystkich w równym stopniu; tortury i egzekucje z jednej strony, a przywileje z drugiej nie są wystawione na pokaz, lecz głęboko schowane: te pierwsze w niedostępnych celach NKWD, te drugie w zamkniętych sklepach przydziałowych dla uprzywilejowanych. Pokolenie czwartego Charkowa pragnie szczerości i wiary, poezji i ludzkości, czystej miłości i przyjaźni. Instynktownie ciąży ku takiej swojszczyźnie, jaka byłaby otwarta wszystkiemu co dobre u obcych. Jest zdolne do przyjęcia wszystkiego, prócz zakłamania, wąskości, obrzędowości. Jego oczy są chciwie otwarte i patrzą. Ale są zwrócone ku przodowi, nie do tyłu. To pokolenie nie wróci w opłotki starego prowincjonalizmu, choćby ten prowincjonalizm odznaczał się największą ilością pozytywnych cech i choćby się osłaniał najbardziej współczesnymi hasłami. Temu pokoleniu brakuje jedynie twórczego kontaktu z trzecim Charkowem. Jego światopogląd jeszcze nie stało się światopoglądem. Wciąż jeszcze znajduje się w szlejach strasznego, obcego systemu.

I tu raz jeszcze zamyka się krąg naszych spostrzeżeń i uwag. Stwierdziliśmy na początku przedwczesne zestarzenie się młodzieży czwartego Charkowa, a teraz mówimy o tym, że zachowała ona swą młodość nieużytą. Stwierdziliśmy, że żyje ona namiastkami uczuć — teraz widzimy, że kryje się za tym prawdziwa siła i głęboka przeżyłość. Zauważyliśmy nihilizm — teraz widzimy miłość życia i ziarna wiary. Podkreśliliśmy zakłamanie i cynizm — ale teraz widzimy, że to zewnętrzna błona, za którą kryje się pragnienie szczerości, skłonność do przyjaźni i miłości, koleżeństwo i ludzkość.

Sprzeczności? Tak. Cóż, takie jest życie. Człowiek nigdy nie jest schematem. Człowiek — to zawsze kontrasty i współżycie wykluczających się nawzajem sprzeczności. Tak musi być w warunkach, które nie dają człowiekowi możliwości odkrycia się i wyjawienia. Rozbieżność? O, nie, zbieżność w teorii i zbieżność w praktyce. Pokolenie żywych i silnych, choć jeszcze z błoną na oczach. Spadkobiercy trzeciego Charkowa, chociaż nawet nie wiedzą o jego istnieniu. A to znaczy, że jeśli temu pokoleniu otworzą się oczy, jeśli będzie mogło widzieć, a jego

myślenie dostanie się w dziedzinę innych kategorii, które dotąd były mu niedostępne, wówczas w duszach tego pokolenia zapali się nowa wiara. I siła wybuchu tej nowej wiary będzie wprost proporcjonalna do siły tej opresji, która dotąd wszelką wiarę miażdżyła. I będzie to siła nadludzka.

Wtedy otworzy się pole bitwy, wtedy przewyciężone zostaną powoli nihilizm i egoizm, samolubstwo i przedwczesna starcza obojętność. Wtedy to pokolenie wyda bitwę i będzie miało szanse jej wygrania.

Ten proces zaczął się już w roku 1939. To było zetknięcie się z innym ustrojem na «wyzwolonych» ziemiach, ustrojem, bynajmniej nie we wszystkim lepszym, pod wieloma względami dla tej młodzieży śmiesznym i nie do przyjęcia, ale — innym, a to dużo. To było wrażenie raptownego rozkładu sowieckiej władzy w 1941 roku i ogólnej demoralizacji podczas niemieckiej ofensywy. To była okrutna prawda niszczenia jednych narodów przez drugie w czasie wojny, gdy sowiecka prasa nawoływała do zabijania wszystkich bez wyjątku Niemców, a nie tylko niemieckiej burżuazji. To było ponowne tworzenie ukraińskich zbrojnych sił w latach wojny i po wojnie. To był coraz wyraźniejszy obraz rozpadania się sowieckiego społeczeństwa na kasty, proces, jaki reżim usiłuje zamaskować patosem podbojów i ekspansji na przestrzeniach Europy i Azji.

Mówiąc innymi słowami, wszystko to są początki, bolesne i trudne początki powstawania piątego Charkowa, co wraz z niezliczoną liczbą innych miast ukraińskich uzna siebie za stolicę ukraińskiej ziemi, a nie prowincję sowieckiego imperium. Ten proces dopiero się zaczyna, nie wolno go przeceniać, jeszcze nie raz zboczy on na manowce. Ale jeszcze większy błąd popełni ten, kto go nie dojrzy lub dojrzeć nie zechce. Nie programowe postulaty i nie życzenia, które tak często matkują myślom, ale konkretne fakty dowodzą bezsprzecznie, że w łonie sowieckiego systemu dojrzewają siły, które go zrujnują i położą kres wszelkim formom rosyjskiego imperium. Nazwaliśmy to piątym Charkowem. Z takim samym prawem można by to nazwać nowym Tbilisi czy nowym Taszkientem. Ale temat piątego Charkowa — należy do przyszłego rozwoju historycznego, a nie do niniejszego artykułu.

Jurij SZERECH

Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI



## Rozważania hamburskie

### WPROWADZENI W BŁĄD

1940 roku przyjechały do Lasek, Zakładu dla Ociemniałych pod Warszawą, dwie kobiety z Bawarii. Odradzano im najkategoryczniej tej podróży i wystawiano niebezpieczeństwa, na które się narażają we wrogim kraju. Ale kobiety się uparły: chciały odwiedzić groby synów, poległych tu w ciągu walk wrześniowych. Wyjeżdżając z Lasek, błogosławiły ten dom Boży, zostawiając pod jego opieką swoje mogiły.

*Moje zapamiętałe dysputy z przyjaciółmi obracały się koło zagadnienia, czy idea wielkiego Reichu warta jest wojny — pisał w pamiętniku żołnierskim na froncie rosyjskim młody dziennikarz i poeta niemiecki, który miał tam niebawem zginąć.*

*Byłem głęboko przekonany, że tak, pogardzałem wątpliwościami... Jaki więc nie był mój wpływ, mały czy wielki, jestem współodpowiedzialny za to co się dziś dzieje...*

Chłopi katolickiej Turynii usiłowali pocieszać Polaków, wiezionych tam na roboty: «Straciliście niepodległość — mówili — ale zyskacie jedność, odtąd będzie już tylko jeden pasterz i jedna owczarnia»...

Marzenie narodu wybranego, sen o panowaniu nad światem, o kształtowaniu oblicza ziemi, o zjednoczeniu wszystkich ludów, o władzę i odpowiedzialność władzy, iluż ich było zwiedzionych tymi majakami, iluż — nawet sprawiedliwych — skusiła mistyka wyższej rasy (...czynić będą znaki wielkie i dziwy... tak iżby w błąd wprowadzeni byli, jeśli być może i wybrani. Mat. XXIV — 24).

— Czy nie pragnie pan wielkości dla swego narodu? — spytał młody Niemiec Alberta Camusa.

— Nie za wszelką cenę, nie za cenę sprawiedliwości.

— Czyli że pan swego narodu nie kocha!

Korzystając z zaproszenia do Hamburga, rada byłam zobaczyć na własne oczy Niemcy powojenne. Poza książką, reportażem, statystyką, dotknąć żywego człowieka.

### HAMBURG

Sądząc z wojennych komunikatów, można było przypuszczać, że Hamburg jest omal zrównany z ziemią. Po drodze z okien wagonu, widziałam Kolonię, Essen, Bremę. Wszędzie uderzały mnie olbrzymie żelazne konstrukcje hal stacyjnych, poszarpane pociskami, pozbawione szyb, oraz mnóstwo ruin oskrobanych i oporzędzonych jak szkielety w prosektorium, tu i ówdzie urozmaicone żywym domem.

W Kolonii, oglądane z wysokiego peronu, przedstawiało się miasto niby masa szarych wydrążonych komórek, stoczonych jakimiś olbrzymimi pasożytami. U podstaw tej masy pociętej szosami w geometryczne figury, ciągną się sklepy i stragany. Poza miastami wiosenna równina Lüneburger Heide, nie tknięta zniszczeniem.

Śródmieście Hamburga i jego szeroko rozrzucone dzielnice mieszkalne zdają się cudzoziemcowi już wyleczone ze zniszczeń wojennych. Stare kościoły o spatynowanych miedzianych dachach i Ratusz są nietknięte. Widać odbudowane fasady niektórych gmachów lub zamurowane wyrwy w innych. Oczyszczone z gruzów place wypełnione parterowymi sklepami lub zamienione na boiska sportowe. Ale kwitnące ogrody dzielnic willowych na wybrzeżach Alster kryją jeszcze niejedną ruinę, gęsto porośłą chwastami i znaczoną krzyżami. Sklepy obficie zaopatrzone i ruch uliczny zdają się świadczyć, że życie płynie znów wszystkimi arteriami milionowego miasta o starodawnych nazwach ulic, jak Mönkebergstrasse, Ballindamm, Jungfernstieg, lub Lombardsbrücke.

Na wybrzeżu jednego z kanałów śródmieścia wznosi się rodzaj żelazobetonowego obelisku, około 20 m. wysokiego, napis ułożony z dużych czarnych liter głosi:

*40 Tausend Söhne dieser Stadt opferten ihr Leben für euch 1914-1918* (40 tysięcy synów tego miasta oddało swe życie za was).

Plon klęski lat 1940-1945 wynosi około 70.000 ludzi, ofiar nalotów bombowych, w samym Hamburgu-Altonie, bez uwzględnienia żołnierzy poległych na wszystkich frontach Europy i Afryki, na morzach i w powietrzu.

Dzielnice portowe Hamburg-Altona, które ciągnęły się na przestrzeni 8 klm. przedstawiają się jeszcze jak pustynia zorana bombami. Życie biegnie tu szosami, poprzez nieliczne mosty żelaznej konstrukcji, przy których tu i ówdzie wznoszą się już dźwigi stopniowo uruchamianych doków i basenów. Ten pejzaż księżycowy największego po Antwerpii portu europejskiego, który wieki budowały, jest przykładem dokładnej roboty bombardowców amerykańskich.

Park miejski «Planten und Blumen» był w początkach czerwca pełen rozkwitłych irysów, olśniewającej świeżości trawników i szumiących wodotrysków. Od ciemno fioletowych, prawie



czarnych, od brązu ptaków nocnych, aż do różowych, niebieskawych, cytrynowych i białych — całe zagony skrzydlatych kielichów radowały oko. Na wodach nenufary i kwitnące białymi kiściami srebrno-zielone, dekoracyjne trawy wokół wodotrysków. W płaczących wierzbach, grabach i klonach powizdywały kosy i szpaki.

Jeden niezadrzewiony bok parku jak cacko strojnego, graniczył z murami wypalonych kamienic, pociętych pustymi oknami. W tych samych sadzawkach chronili się ludzie przed pożarami i tutaj tonęli, zaledwie 5 lat temu.

Na dwóch estradach grają na zmianę co wieczór dwie doskonałe orkiestry. W zaroślach nad wodospadami — zakochane pary. Przy bramie zatrzymuje nas fotograf uliczny, z Leicą na rzemieniu: siwiejący szczupły mężczyzna w białym letnim kitlu; w klapie znaczek wojskowego odznaczenia; pusty rękaw wszyty w kieszeń. O zmierzchu zajaśniały lampy łukowe, zaroiły się kawiarnie i muzycanci, nastroiwszy instrumenty, uderzyli w porywający i rzewny rytm starego, wiedeńskiego walca.

### NEBELATMOSPHÄRE

W pierwszych dniach czerwca odbyła się w Hamburgu «Geistliche Woche» — Tydzień Religijny. Na obrady zjechało kilku wyższych duchownych protestanckich i teologów świeckich. Szereg nauk i referatów wygłoszono w kościołach hamburskich. Pierwszego czerwca odbyła się publiczna dysputa (öffentliches Gespräch) na Uniwersytecie pt. *Odpowiedzialność człowieka w polityce*. Największa aula uniwersytetu była wypełniona po brzegi trybun już na kilkanaście minut przed wyznaczoną godziną; trzeba było przeznaczyć drugą salę, położoną nad pierwszą i zaopatrzoną w głośniki dla tych, co nie znaleźli miejsca w pierwszej. Na podium zasiadło 6 panów, duchownych i świeckich. Dysputa była dobrze prowadzona, ale żaden wolny głos z publiczności się nie odezwał i, widocznie, nie był przewidziany. Słuchacze — w tej pierwszej sali składali się przeważnie z ludzi starszych i starych, młodzieży było mało. Słuchano mówców z wyteżoną i zdyscyplinowaną uwagą, ale uderzający był brak wszelkiej reakcji audytorium, liczącego z górą tysiąc osób. Może ci ludzie czekali jakiegoś wskazania lub hasła? Zeszli się tak skwapliwie, słuchali pilnie, a temat kontrowersji zdawał się aktualny. Ja również byłam ciekawa dzisiejszych poglądów duchowieństwa protestanckiego na obowiązki obywatela, ich stosunku do przeszłości, ich dążeń i wniosków. Doznałam jednak zawodu. Żaden z prelegentów nie wspominał narodowego socjalizmu, nie wymienił imienia Hitlera, nie mówił w tym mieście do połowy zburzonym o wojnie, jej zbrodniach i odpowiedzialności za nie, o zaślepieniu czy uwiedzeniu narodu, o totalizmie, zagrożeniu tradycji i kultury europejskiej, błędach okupantów, grozie komunizmu. Nikt z duchownych, teologów i filozofów, nie poruszył w tej publicznej dys-

pucie zagadnienia dechrystianizacji całego pokolenia młodzieży i jego wykołajenia w praworządnym społeczeństwie, ani palącego problemu wysiedlonych. Wygłoszono dużo ogólników, stwierdzając zniechęcenie współczesnego człowieka do polityki, odwrócenie się od zagadnień bieżących, rozmyślnie trwanie w atmosferze nieokreśloności (Nebelatmosphäre). Najwidoczniej lękano się kogokolwiek urazić, komukolwiek się *narazić*...

Jedynym mocniejszym akcentem, w którym brzmiała trwoga i ostrzeżenie, była mowa cywilnego prelegenta, który wspomniawszy o sytuacji Berlina, (było to zaraz po wielkiej manifestacji młodzieży komunistycznej na Zielone Świątki) podkreślił, że tam przebudzenie już nastąpiło, ludzie stojąc przed otchłanią wiedzą, że muszą dokonać wyboru, że to wchodzi w zakres obowiązków chrześcijańskich i zakończył słowami: *Das politische Bekenntnis ist das Glaubensbekenntnis* (wyznanie polityczne jest wyznaniem wiary).

Mówcy byli oklaskiwani chłodno, oficjalnie, jakżeż inaczej brzmiały podobne zebrania za czasów hitleryzmu, pełne namiętnych okrzyków, zakończone burzą oklasków, którymi tętniły głośniki całego świata!

*Apatia jest dla masy pewnego rodzaju formą obronną — mówił Hitler — przyczajaniem się sił, które wybuchną nagle w działaniu i nieoczekiwanych reakcjach. Mąż stanu, który nie interweniuje natychmiast, widząc masy zapadające z apatii, powinien być pozwany przed Trybunał Stanu.*

Dziś fanatyzowane w ciągu 12 lat masy schroniły się ponownie w apatię. Młodzi, których obserwowałam, i z którymi zajęłam miejsce na górnych trybunach, szukają być może nowego proroka czy opętańca, a nade wszystko szukają nowego Fuehrera. Ręce ich nie podniosły się do żadnego oklasku. Jeden ze słuchaczy zwrócił moją szczególną uwagę: był w sile wieku, olbrzymiej postawy i brutalnych rysów. Miał na sobie doskonały nieprzemakalny płaszcz, jaki nosili oficerowie niemieccy i motocykliści wojskowi, w rękę tyrolski kapelusz. U wyjścia skupiło się koło niego kilku młodych, idąc omawiali zebranie zwróceniu ku olbrzymowi w kapelusiku.

*Nie chcę, by młodzież moja była kształcona umysłowo, niech będzie atletyczna, to najważniejsze — mówił Hitler.*

Ten olbrzym miał około 20 lat w chwili objęcia władzy przez Hitlera, należał, być może, do owej wyborowej młodzieży «gwałtownej, władczej i okrutnej», kształconej w specjalnych burgach na «fuehrerów Nowego Ładu». Tymi zastępami atletów umysłowo niedorozwiniętych miał Hitler zawojować świat.

Takie odrażające twarze, jakby napiętnowane zbrodnią, jak ta zauważona na odczycie, spotykają się tu i ówdzie: prostackie i brutalne, o wodnistych oczach, albo ptasie i zimne, o



ustach zaciętych i ostro żłobionych rysach. Gdzie i jak żyją ci ludzie, ta młodzież ówczesna, dziś w sile wieku i do ostatnich lat wojny zabezpieczona od służby frontowej? Nie jest do przypuszczenia, aby stanowili wyjątki, odosobnione jednostki. Kim był np. 10 lat temu ów mężczyzna spotkany w wagonie, o krwistym karku i twarzy rozlanej 50-letniego niemowlęcia? Jakże są źródła dochodu tej korpulentnej jejmości w błado niebieskiej sukni i różowym kapeluszu na tle ruin Altony? Może to była Aufseherin z Birkenau lub Ravensbrück? Kto nas uwolni od tych wspomnień i podejrzeń?

Ksiądz G., proboszcz Polonii okręgu hamburskiego, b. więzień obozu w Dachau, gdzie był «królikiem» poddawany różnym eksperymentom medycznym i chirurgicznym, (zastrzyki malaryczne, resekcja kiszek), spotkał pewnego dnia w pobliżu miejskich laboratoriów lekarza (eksperymentatora w Dachau) i zachepił go po nazwisku; ale ów zaprzeczył kategorycznie jakoby się miał tak nazywać i kiedykolwiek urzędować w Dachau. Dowiedziawszy się jednak, że ksiądz zawdzięcza mu poniekąd życie, jako że w pewnej chwili kazał przerwać doświadczenia, widząc, że pacjent ich nie przetrzyma, prosił, by ksiądz zechciał zająć kiedyś do niego, chętnie porozmawiałby z nim o jego przejściach... Chodziło mu najwidoczniej o zdobycie świadka obrony, na wszelki wypadek.

Czy w tej biernej i apatycznej masie tamci ludzie nie są do dziś dnia jej zatrutymi drożdżami?

### WEWNĘTRZNA EMIGRACJA

Poznaję dziennikarza, ekonomistę i współpracownika «Die Zeit», jednego z najlepiej redagowanych polityczno-ekonomicznych tygodników zachodnich Niemiec. W 1939 roku, jako oficer Wehrmachtu, zasłużył swoją uczynnością na wdzięczność kilku moich znajomych. Nie należąc do partii, w obawie przymusowego do niej włączenia, wstąpił do oddziałów frontowych, nie będąc już młodym. To się nazywało wtedy «wewnętrzną emigracją». Ciężko ranny na froncie sowieckim, przebył resztę lat wojennych w szpitalach i na tyłach. Nie on jeden oczywiście należał do tej niemej opozycji. Wymowne były w prasie niemieckiej zawiadomienia o poległych żołnierzach. Przy zdobywaniu Krety zginęło np. trzech braci spadochroniarzy z pewnej arystokratycznej i wojskowo zasłużonej rodziny, niebawem dalsze ogłoszenie doniosło o śmierci «czwartego i ostatniego». Nieraz czytaliśmy o stracie 3 i 4 synów jednych rodzin, albo ogłaszano śmierć jedynaków, którzy byli synami ludzi poległych w poprzedniej wojnie.

W obliczu grożącej już klęski dr Goebbels piorunował na «owe chwiejne postacie», które sobie raczej palec odgryzą, niżby miały jasno i bez zastrzeżeń bronić korzyści swego własnego

narodu... Ci ludzie nie umieją ani kochać, ani nienawidzić, wołał... mamy tu do czynienia z rodzajem kalektwa, z wynaturzeniem instynktu życiowego...

*Podstawą naszego narodowego myślenia — głosił hitlerowski wychowawca — powinna być zasada, że ojczyzna stoi ponad prawem i bezprawiem... Znikoma tylko warstwa naszego narodu (hauchdünne Schichte unseres Volkes) pozwala sobie na obiektywizm w tym względzie.*

Gdyby jednak opozycja była tak znikoma Goebbels nie wspominałby o niej z pianą na ustach w naczelnym artykule «Reichu» we wrześniu 1943 r.

Z książki D. Rousseta («Les Jours de notre Mort») dowiadujemy się, że w tym samym roku 1000 wyższych oficerów niemieckich zostało w ciągu 48 godzin zagazowanych w Oświęcimiu. Mundury ich, które wpłynęły do magazynów, były jedynym świadectwem tej egzekucji. Eugen Kogon, który przeżył 7 lat w obozie Buchenwaldu, twierdzi w swojej sumiennej i bezstronnie opracowanej książce «SS-Stadt», że po zamachu 20 lipca 1944 roku zginęło na szubienicach około 5000 ludzi wszelkich warstw społecznych, w tej liczbie prawdziwi męczennicy za przyszłość Niemiec. Były to tylko tysiące na kilkadziesiąt milionów, *ale byli*. Kto o tych ludziach dziś pamięta? Kto ich policzył? Kto uczył?

Pod wrażeniem publicznej dysputy w Uniwersytecie, wypytywałam p. T. o przyczyny tych zadziwiających przemilczeń.

— Duchowieństwo protestanckie jest tradycyjnie uległe wszelkiej władzy — powiedział — w Piśmie św. zawsze znajdzie się werseł, którym można się zasłonić, albo i rozgrzeszyć.

Ile w tym odwróceniu się od zagadnień bieżących jest z tego «przymykania oczu» na gwałt i zbrodnie nazizmu («das Wegschauen», jak to nazywa Rauschning), a ile, w Hamburgu, tradycyjnej postawy właściwej «wolnemu miastu Hamburg», tego ducha neutralności, który obserwujemy w Szwajcarii lub Szwecji, dążenia a także iluzorycznej nadziei wyłączenia się z niebezpieczeństw, nie biorąc w nich żadnego udziału? Hamburg długo bronił swojej odrębności i niezależności swej postawy, długo opierał się hitleryzmowi, obelisk na pamiątkę ofiar pierwszej wojny przypomina, że były poniesione dla wspólnoty wатели miasta nie kraju, że miasto jest tu ojczyzną. Kilkakrotnie w rozmowach wyczułam to wyodrębnianie się obywateli hamburskich od reszty Niemiec.

— Ale pan który był w wojsku i w «wewnętrznej emigracji» za Hitlera — nalegałam w rozmowie z dziennikarzem-ekonomistą, — co pan sądzi o chwili obecnej, o przyszłości Niemiec?

— Nie jestem politykiem, tylko ekonomistą. Trzymam się mego fachu, odparł wymijająco.

Znowu ta «Nebelathmosphäre» nawet u tego uczciwego dziennikarza w Hamburgu, kilkadziesiąt kilometrów od wysuniętych placówek sowieckich. Wymówka, apatia, czy uraz klęski?



## DIE ZEIT.

Nazajutrz dr T. zapoznał mnie z młodą redaktorką «Die Zeit», dr Marion Dönhoff.

Rozpytuje ją o stosunek Niemców do okupantów w poszczególnych zonach. Twierdzi, że termin kolaboracjonizm w obecnych stosunkach Niemiec Zachodnich nie istnieje.

— Mimo rozbicia kraju na poszczególne zony, każda bowiem z tych zon kształtuje się odrębnie, ulegając wpływom i asymilując kulturę danego okupanta, ogromna większość społeczeństwa, bo około 80%, wybrała wolność Zachodu, zamiast jedności, obiecywanej na Wschodzie. Jedyna dziś wizja przyszłości, która znalazłaby poparcie najlepszych spośród naszej młodzieży, i mogłaby ją zapalić do jakiegoś czynu, to oczywiście zjednoczona Europa. Ale na razie nie wychodzimy poza narady kongresowe. Trzeba coś młodym dać pozytywnego i nie przeciągać w nieskończoność bolesnych i drażniących procesów. W Marsylii więzi się od 5 lat około 800 ludzi oskarżonych o zbrodnie wojenne, w ich liczbie są niewinni. Dlaczego sprawy ich nie zostały dotychczas rozpatrzone? Dlaczego ludzi skazanych na śmierć przetrzymuje się po kilkanaście miesięcy przed wykonaniem wyroku?

Co dnia o 5 popoł. wstrząsają miastem wybuchy, to wysadza się doki w Kilonii. Od 5 lat! Dlaczego tak zadrażniać atmosferę, przeciągając w nieskończoność dzieło zniszczenia i śmierci? Wszystkie wartości, w które Niemcy tradycyjnie wierzyli, zniszczały za czasów Hitlera, Europa zjednoczona nie może istnieć bez Niemców, a włączenia Niemiec do Europy nie widzimy, bo Europa się Niemiec boi. W Berlinie są ludzie obustronnie bardziej świadomi tych zagadnień, aniżeli tutaj.

Pani Dönhoff nie uchylała się przed odpowiedzialnością ani za przeszłość ani za przyszłość, bo wierzyła w możliwość odrodzenia Niemiec, w nowe uświadomienie, płynące z dziejowej klęski.

Mówiliśmy o porozumieniu niemiecko-polskim i o wszystkim, co na nim ciąży.

— Musimy zacząć od zera, powiedziała, ale wreszcie zacząć! We wdzięcznej pamięci zachowam to spotkanie.

W artykule M. Dönhoff («Die Zeit» 26. X. 50) pt. «Rüstungswirrwarr» (Zbrojeniowy Mętlik) czytamy:

*Prawdziwej Europy, w której niemiecka młodzież mogłaby kiedyś kształcić się w Sorbonie, w Królewcu, czy we Wrocławiu, w której z Polakami i Czechami, dziś na emigracji, łączyłaby nas ponownie sąsiedzka przyjaźń, nawiązana ponad otchłaniami naszej historii — takiej Europy ktoś by nie chciał bronić!*

## KONTAKTY Z ZACHODEM.

Za umożliwienie im kontaktów kulturalnych z Zachodem, któ-

rych są tak spragnieni, okazują Niemcy hamburscy gorącą wdzięczność. Alfred Cortot i jego szopenowski koncert spotkał się z owacyjnym entuzjazmem, w którym się wyczuwało hołd, składany przede wszystkim Francji w osobie jej wiekowego mistrza. Wielkim sukcesem były również odczyty T. S. Eliot'a i Toynbee'ego, wygłoszone ub. roku w tymże Hamburgu.

Jednocześnie z obradami kleru protestanckiego wystawiono w St-Johannis-Kirche sztukę Eliot'a «Murder in the Cathedral».

W tej apotezie męczeństwa biskupa Tomasza Becketa, sztuce stawiającej jednocześnie problem konfliktu dwu lojalności państwowej i kościelnej, rycerze-mordercy podejmują w końcu swoją samoobronę, wyjaśniając rację stanu, która pchnęła ich do tej zbrodni.

Dramat był wydany po niemiecku w 1938 roku; w 1949 ukazał się powtórnie. Inscenizowany był obecnie z pietyzmem, przy nastrojowym akompaniamencie organów i kościelnego chóru.

Niezwykłe wrażenie robiła postać świętego biskupa w otłarowym oświetleniu gotyckiego prezbiterium wobec prawie niewidocznej publiczności, wypełniającej ławki mrocznego kościoła i jego słowa wypowiedziane na chwilę przed śmiercią do swoich morderców.

*Sprawiedliwy musi być lwem  
Niezlomnym i nieustraszonym.  
Stoję tu!  
Nie zdradca stanu a ksiądz,  
Chrześcijanin,  
Odkupiony krwią Chrystusa,  
Gotów cierpieć w swojej krwi...*

*.....  
Moja krew jako zapłata za Jego konanie,  
Moja śmierć — za Jego śmierć!*

O ile ta sztuka była wystawiana 12 lat temu, to na pewno inaczej rozłożone były akcenty. Jeden z rycerzy bowiem po dokonaniu zbrodni i biorąc publiczność za świadka powiada:

*Niestety, bywają czasy, w których gwałt jest jedyną drogą dla urzeczywistnienia sprawiedliwości społecznej...*

(Rycerze-mordercy wstępując na scenę w prezbiterium przechodzą przez cały kościół żelaznym krokiem hitlerowskiej policji, co aż do dreszczu podkreśla analogię).

Dramat kończy się odśpiewaniem *Te Deum* i słowami chóru kobiet z Canterbury:

*Wyznajemy grzech, słabość, błąd  
Wyznajemy, że grzechy świata spadły na nasze głowy  
Krew męczenników, konanie świętych, spadły na nasze  
[głowy.]*



*Panie, zmiłuj się nad nami.*

*Święty Tomasz, módl się za nami!*

Które akcenty tego dramatu w 1950 roku przemawiały do sumienia niemiej, skupionej w nawach St. Johannis-Kirche publiczności?

### POJEZIERZE HOLSZTYNSKIE

Poprzez równinę Lüneburger Heide, Pojezierze Holsztyńskie i dalej biegną bliźniacze rzeki asfaltu, znaczone czarną pręgą i rozdzielone pasmem trawy — autostrady hitlerowskich Niemiec. Płyną w nieskończoność. Na skrzyżowaniach wbiegają na mosty, lub przeskakują tunele. Wóz zdaje się uskrzydłony swobodą swego biegu: 110 — 120 to normalna szybkość. Otwarte bładoniebieskie niebo równin północnych, soczysta zieleń wiosenna.

Lubeka. Na starodawnej bramie ujętej w dwie baszty wrosła w ziemię:

*Concordia Domi  
Foris Pax*

Wzdłuż Trawy stare śpichrze świecą rzędami pustych okien. Zostały same tylko mury, rynek okalają podobnie wypalone szczytowe ściany dawnych patrycjuszowskich kamienic, pamiętających jeszcze hanseatycką świetność. Bomby fosforowe wyniszczyły wnętrze starego Ratusza i pobliskiego gotyckiego kościoła. Przetrwały grube ściany i te dwie baszty pochylone ku sobie, pozostałość murów obronnych, pod hełmami z cynowych blach.

Rynek i te wypalone domy zdają mi się zaludnione cieniami trzech pokoleń Buddenbrocków, których bomby amerykańskie nie zdołały wypłoszyć z rodzinnego miasta Tomasza Manna.

Kilonia. To jeszcze żywa rana, którą nadal prują dynamitowe ładunki. Brzydkość spustoszenia.

Potem wjeżdżamy w pastwiska i lasy, porastające kamienne wzgórza pośród cichych jezior — Holsztyńska Szwajcaria, ta sama polodowcowa formacja co Szwajcaria Kaszubska i co dalekie litewskie pojezierze, tylko lasy tutejsze i pastwiska to nie tamte puszcze i mszary, porośnię sędziwą karłowatą świerczyną. Nie ma też narzutowych głazów granitowych, dawno rozbitych na gładkie szosy, ani takich jak litewskie słowików.

Mijamy czyste, zasobne wsie, wysprzątane na niedzielę i rojące się od dzieci. W każdej prawie osadzie są rozmieszczeni uchodźcy ze Wschodu, dlatego takie mnóstwo tych dzieci, których Hitler żądał od swego narodu dla zaludnienia podbitych krajów.

Wiosenne krótkie ulewę z przebytymi słońcem wśród chmur, iskrzące krople na lepkich liściach brzoź i topoli.

W Eutin przydrożna gospoda, dziś restauracja nad rozległym jeziorem w ramie lesistych wzgórz. Niskie salki o ścianach po-

krytych ciemną boazerią, wokół ścian biegnie półka: gipsowa głowa ślepego Homera, sztychy i oprawne rękopisy.

W końcu 18 wieku Jan Henryk Voss był tu kierownikiem szkoły. Eutin szczyci się pamiątkami, które udało się zebrać po znakomitym tłumaczu Iliady i Odysei. Może ten dom przydrożny był właśnie jego szkołą? Z niskich, ciemnych salek, ze starej bramy, przed którą zatrzymywały się niegdyś koczowniczy dyliżanse, powiało atmosferę Niemiec Goethego i braci Schległów z okresu niemieckiej podróży Mickiewicza.

121 lat temu, w podobnie dżdżystą późną wiosnę w pobliskim porcie Trawemünde wysiadł na ląd ze statku angielskiego, płynącego z Petersburga młody człowiek ze szczupłym «mantelzakiem». W tym mantelzaku były, być może, «Die Leiden des Jungen Werthers», «Ballady» Schillera, albo «Nowa Heloiza» pana Russa? A może coś jeszcze z poezji «przyjaciół Moskali»? Z Trawemünde przejechał do Lubeki, skąd, zwiedzwszy jej Ratusz i kościoły, ruszył końmi do Hamburga.

*Podróż mnie bawi — pisał 2. VI do Malewskiego — wszystko wkółko siebie znajduję dobrem, pięknem i ciekawem. Leniwa jazda i popas co sto kroków nie bardzo mnie znudziły. Prowadzę gawędkę z oberżystami, którzy mnie klepią po ramieniu. Wypytyuję się o wszystko. Rząd, prawa, rozległość Lubeki i Hamburga już mi są wiadome... Słowem, jestem prawdziwym a tourist i mógłbym, nim wyjadę do Altony, tam podróży napisać.*

### WYSIEDLEŃCY

W drodze powrotnej zajeżdżamy do Salza koło Ploetz. Ciężki w stylu berlińskich gmachów, zamek hr. von Blome, o dwu skrzydłach obejmujących monumentalny ganek, jest zajęty przez kilkadziesiąt rodzin uchodźców niemieckich, głównie z Pomorza, Gdańska i Prus Wschodnich. Te same płowe dzieci bałtyckich wybrzeży, które równie dobrze mogłyby być dziećmi polskimi czy litewskimi, te same zatroskane kobiety z najmłodszym na ręku wędrują z garneczkami do przygrzania we wspólnej kuchni.

Dziesięć lat temu inne kobiety i takie same niczego nieświadome dzieci tułały się na stacjach «Weichselraum», wyładowywane tam z bydlęcych wagonów, bezdomne i wydziedziczone.

Dziś słyszymy ze wszystkich ust: *die Polen*, wydzielili, wygnali, sponiewierali. Tam został dom lub ziemia, dobytek umeblowanie, a tu koczowisko i te drobne dzieci... a ileż pomario w drodze! Wiele z nich nie chce wspominać swego exodu *aus der Heimat*, nie ma na to siły — lepiej zapomnieć. Gdzie się obróć, co z nimi będzie? Mężowie albo w niewoli, albo na robotach w innych krajach lub prowincjach, polegli, zaginieli.

*Die Flüchtlinge* — wysiedleńcy, jeden z najtragiczniejszych problemów współczesnych Niemiec.



Ogólną liczbę tych uchodźców oblicza się na 14 milionów, z czego około 9 milionów znalazło przytułek w Niemczech Zachodnich.

Początkowo byli to repatrianci znanego z Wołgi, z krajów bałtyckich, z Bessarabii, z Wołynia; akcja rozpoczęta na wielką skalę przez Hitlera w 40 roku. Zasiadano nimi Pomorze, Poznańskie, Śląsk, przydzielając im mienie wydziedziczonych Polaków. Od 45 roku zaczął się proces odwrotny, wysiedlania nowoosiedlonych i dawnych mieszkańców, Niemców; akcja przeprowadzona równie brutalnie jak poprzednia, hitlerowskimi i sowieckimi metodami.

IRO nie zajmuje się niemieckimi uchodźcami, wrócili do swojej ojczyzny, pieczę nad nimi mają władze niemieckie, ale niedoła ich przypomina najniebezpieczniejszych dipisów, *displaced* i bezdomni jak i oni, nie mają nawet prawa podnieść głosu. Poza Niemcami mało kto o nich wie, nikt nie pamięta.

W prowincji Schleswig-Holstein według spisu ludności z 49 roku jest 1.105.000 niemieckich uchodźców ze Wschodu, i zaludnienie tego kraju wzrosło dzięki temu o 70% w porównaniu do 39 r.

Mieszczą się podobnie jak dipisi w obozach i przygodnych barakach lub szopach, po stodółach i składach; żyją z zasiłków i rzadkich zarobków, w tłoku i bezczynności; brak książek, nauki, ubrania, rozrywek; według statystyk na dwanaścioro dzieci urodzonych w tych warunkach koszarowo-obozowych dziecięcioro jest nieślubnych. Ale nad wszystkie udręki góruje lęk przed Sowietami, bo przed milicją polską poznali oni wszyscy Czerwoną Armię, żadna kobieta im nie uszła, od dziewczynki do staruch.

— W razie gdyby mieli przyjść, powiedziała jedna z kobiet w obozie Flensburgskim, razem z dziećmi rzucić się do morza.

Pomiędzy drzewami starego parku w Salzaun wiszą na sznurach sukienki i małe koszulki, słońce zabiło, kilka dziewczynek o sztywno zaplecionych warkoczach kręci się w kółko, podśpiewując:

*Schau dich nicht um,*

*Der Wolf geht herum!*

(Nie oglądaj się, wilk krąży w pobliżu!)

W Hamburgu rozmawiałam z kobietą z inteligencji, wysiedloną z Wrocławia. Mieli tam sklep, skład apteczny, mąż zginął od pocisku w czasie walk o Wrocław, sklep spłonął. Zostało mieszkanie i stara matka. Lekarz polski zajął mieszkanie, mówił że sam też wszystko stracił, że dostał tu naznaczenie. Sądziła, że da się mieszkać wspólnie, usługiwała mu; sprowadził rodzinę, wysiedlono je...

— Ten lekarz nie był złym człowiekiem, ale żołnierz... milicjanci...

Lży gorzkie.

Porozumienie nasze z Niemcami będziemy musieli zacząć od zera.

## MŁODZIEŻ

Mieszkalam w Hamburgu na peryferiach miasta w pobliżu placu, który dawniej był ogrodem publicznym, w czasie wojny ogrodem warzywnym, podzielonym na działki jeszcze widoczne, a dziś zaśmieconym pustkowiem, przekopanym rowami przeciwlicznymi.

W tych rowach, krzakach i usypiskach śmierci, bawią się dzieci i kilkunastoletnie wyrostki w wojnę. Niektórzy mają jeszcze na sobie mundurki Hitlerjugend, bez odznak i dziwnie duże, jak na zabawki, rewolwery w rękach. Urządzają po rowach zasadzki i wypadki, pełzając w zaroślach na zgiętych ramionach i wyprężonych nogach, ruchem jaszczurczym. Najstarsi, z rewolwerami w garści, kierują «operacjami», znać na nich jeszcze wojskową zaprawę, zwinność i uciechę, której doznają w tych ćwiczeniach.

We Francji chłopcy w tym wieku kopią piłkę, albo ćwiczą się w jeździe na rowerze w nadziei, że trafią kiedyś do ekipy *Tour de France*. Chłopców niemieckich wydała na świat, żywiła i kształciła wojna. Innych zabaw jak wojenne nie znają.

Hitler zaufał podobno «swojej młodzieży» aż poza śmierć. Z materiałów zebranych przez H. R. Trevor-Ropera wynika, że Artur Axman, Reichsjugendführer, był jednym z ostatnich, którzy opuścili bunkier Führera, już po jego śmierci i Axmanowi, jakoby, zlecono do przechowania prochy Hitlera i Ewy Braun, dotychczas nieodnaleziony depozyt.

Nie mogąc zdobyć zwycięstwa za życia, chciał prawdopodobnie Hitler stać się legendą dla swego narodu i przez tajemnicze zniknięcie, zgodnie z mistyczną wiarą w swoją misję zbawiciela, pozostać zawsze żywym we wspomnieniu wyznawców, jak niegdyś Barbarossa.

*Nasz naród* — mówił Hitler do żołnierzy w poślanii na Nowy rok 44-ty — *znajdzie łaskę przed obliczem Wszechmocnego, który jako sprawiedliwy sędzia zawsze jeszcze i po wszystkie czasy daje zwycięstwo temu, kto jest zwycięstwa najgodniejszy. W tej walce o byt lub niebyt, zwyciężą w końcu Niemcy!*

Na dogmat o wszechdoskonałości «wybranego narodu» pięć lat powojennego chaosu nie dało żadnej odtrutki.

Czy Niemcom, pogrążonym dziś w apatii i zniechęceniu nie zagraża, w braku wszelkiej nadziei, jakiś «nowy Tor z młotem-olbrzymem», który ich pchnie na drogę dalszych zbrodni w imię wielkości ojczyzny?

Maria CZAPSKA



## Przedłużamy historię Polski

«Granada — Granada — Granada mają».

Jakby odległe echo tej pieśni obcej, stepowej, odpowiada nam z dalekiej Andaluzji, zza siedmiu gór i siedmiu rzek, ponad przepaścią lat blisko tysiąca, głos mówiący o jednym z pierwszych wydarzeń w dziejach naszego narodu i kraju. Głos to zaledwie dosłyszalny w dzisiejszym huku toczących się lawin. Przysłuchajmy się mu jednak.

Chazdaj — czyli Hasdai — Abu Jussuf ben Ezra ibn Szaprut ha Nasi urodził się w Hiszpanii, w Jean (1). Był Żydem, a pamięć zburzonej Jerozolimy, tęsknota za nią, żywsze w nim były i świeższe, niż są dziś te same uczucia, które tworzą nową ojczyznę żydowską nad Jordanem. Maurowie, osiedli w Hiszpanii od roku 711, od bitwy nad Xerese, tworzyli potężne państwo w Andaluzji, ze stolicą w Kordobie. W ich to kraju, za ósmego z rządu muzułmańskiego władcy Kordoby, a za pierwszego w tej Kordobie Kalifa, Abderamana III, zwanego Al-Nasri, Chazdaj ibn Szaprut doszedł do wielkich godności. Był on, dzięki znajomości języków, tłumaczem dla poselstw, sam poselstwa sprawował, stał się na muzułmańskim dworze nieledwie wezyrem, choć nigdy się nie zbisurmanił(2). Nie jest pewna data jego zgonu: według niektórych swoich biografów miał dożyć do roku 889. Nie ulega wątpliwości, że Mistrz Gerbert, późniejszy Sylwester II, w okresie swego pobytu w Kordobie zastał tam Chazdaję u szczytu potęgi i sławy. Błogosławiony opat Jan de Gorze zostawił o nim świadectwo że «nie widziano nigdy człowieka odeń roztrośniejszego, ani słyszano o takim» (3). Jest o Chazdaju cała literatura (4). List jego do Józefa, króla Chazarów nadwołżańskich, po próbach krytyki i hiperkrytyki, dziś musi być uznany za autentyczny(5).

List ten był pisany do władcy państwa, położonego tam, gdzie dziś są stepy Azowa. Chazdaj pisze do króla, gdyż go uważa za współwyznawcę, za Żyda, i chce z nim, jako z Żydem, nawiązać stosunki. List Chazdaję jest pełen uczuć dla utraconej ojczyzny, które dziś tak są nam bliskie i zrozumiałe. Uderza prawie biblijne piękno hebrajskich paralelizmów: one to czynią z tej noty dyplomatycznej arcydzieło poezji. Nas jednak w tym liście zajmuje przede wszystkim następująca opowieść: «Królowie świata usłyszawszy o jego (Abderamana III, Kalifa

Kordoby, władcy i pana Chazdaję) wielkości i potędze ślą mu upominki i starają się darami i kosztownościami względy jego pozyskać. Między tymi jest król Aszkenazimów, i król Gebalimów, którzy są słowianie» (6). Do sprawy tego poselstwa wraca Chazdaj jeszcze w dalszym ciągu tego samego listu. Opowiada mianowicie, że dowiedziawszy się, iż jego współwyznawca panuje nad Chazarami, troszczył się o drogę, którą mógłby przesłać do niego list. Aż «oto nadeszli postowie króla Gebalimów, a z nimi dwóch izraelitów, jednego imię mar Saul, a drugiego mar Józef. I gdy się dowiedzieli o mojej trosce, pocieszyli mnie mówiąc: daj nam twoje listy, oddamy je królowi Gebalimów, on przez szacunek dla ciebie odeśle list twój do izraelitów mieszkających w kraju Hangrya, a ci go przesyłają do Rus, stamtąd zaś do Bułgarów, aż dojdzie twój list według twojej woli na miejsce pożądaną» (7). O tych samych «dwóch mężach z kraju Gebalimów», mar Saulu i mar Józefie, jest jeszcze jedna wzmianka w tym samym liście(8).

Poza świadectwem Chazdaję, istnieją w arabskim świecie jeszcze inne wieści o poselstwie «króla Słowian» do Abderamana III. Pisał o tym poselstwie Abdul Achmed ben Mohamed al Makkari(9), historyk arabski z XVII wieku, opierający się niewątpliwie na starszych, może nawet współczesnych wydarzeniom źródłach (p. odn. 14). Niestety, brak znajomości arabskiego języka jest powodem, dla którego mogę poznać Al Makkari'ego tylko z drugiej ręki, tylko z tłumaczenia(10). Oto tekst angielski: «After this arrived another embassy from a King of sclavonian, whose name was Dhuku, as well as from a King of Franks beyond the Jebal Al-Bort named Ukoh, besides a similar one from another King of the eastern confines of France, called Kaldoh. These Ambassadors were received by al Nasir with great pomp and state, and he ordered that the officers of his household and others should go out to meet them. On the return of the sclavonian Ambassadors, Abdu-r-Rahmān sent along with them Rabi, the Bishop, who reached the court of Hoto, and returned after an absence of two years»(11). Tłumacz, de Gayangos, podaje w przypisku arabską postać słowa, które on przepisał jako «Dhuku» (12). Wiadomość o tym poselstwie nie jest w arabskiej literaturze odosobniona: o poselstwie króla Słowian, «Sekaliba», pisze w *Kitab al Ibar*, IV 143, IBN KHALDUN (1332 - 1406) i prawie współczesny wydarzeniom IBN HAIYAN (987 - 1076) (13). Zostawiamy tu pole dla dalszych poszukiwań arabistom(14). Musimy tymczasem poprzestać na tym co wiemy z Chazdaję i z Al Makkari'ego, i postarać się odtworzyć z tych ułamków obraz poselstwa słowiańskiego do Kordoby.

Podkreślmy na początku brak jakichkolwiek podstaw do przypuszczenia że Chazdaj i Al Makkari pisali o dwóch różnych poselstwach słowiańskich. Przeciwno takiemu przypuszczeniu świadczy niewątpliwa rzadkość poselstw słowiańskich do Kordoby: nie jest prawdopodobne, by za jednego Kalifa aż dwa takie poselstwa mogły przybyć. Każda z obu naszych relacji da-



je inne szczegóły o poselstwie; ale nie są to wiadomości sprzeczne, lecz przeciwnie, uzupełniają się one wzajemnie. Istnieje też wspólna cecha obu opowieści: obie przeciwstawiają poselstwo króla słowiańskiego poselstwu niemieckiego władcy. Musimy odnieść obie informacje do tego samego faktu.

Cóż zatem z tych przekazów o poselstwie wiadomo?

Możemy przede wszystkim dokładnie ustalić rok, jeżeli nie przybycia, to odjazdu poselstwa: najpóźniejszą datą jest dzień 15 października 961, dzień zgonu Abderamana III, który poselstwo przyjął i odesłał. Bielowski pisze, że «Chazdaj... koło r. 959 pisał list do króla Chazarów» (15). Brak jest uzasadnienia dla tego twierdzenia. Jest to data równie dobra, jak każda inna, pomiędzy rokiem 951, w którym Abderaman III osiągnął szczyty swojej potęgi, a rokiem jego zgonu. Bielowski nie znał całości przekazu Al Makkari'ego, o którym dość niejasno podaje wiadomości (16). A właśnie Al Makkari wskazał okoliczności, pozwalające dokładnie określić rok odjazdu posłów: jest w relacji wzmianka, że posłowie «króla Sekalibów» odjechali razem z «Biskupem», z «Rabim» posłem Otona. Nie może być wątpliwości, że chodzi tu nie o biskupa, lecz o opata, Jana de Gorze, posła Ottona I. Mamy barwny opis tego poselstwa i niewątpliwe jego daty: 953 - 955 (17). Zatem rok 955 należy uważać za rok odjazdu posłów słowiańskich z Kordoby.

Kto wysłał to poselstwo? Kto jest owym «królem Gebalimów którzy są słowianie» jak mówi Chazdaj, imieniem «Dukhu», jak dodaje Al Makkari? Niewątpliwie był to władca słowiański (18). Wprawdzie słowianami, «sakalab», zwano wcale niezawse słowiańskich żołnierzy kalifa; słowo to miało niewątpliwie wiele różnych znaczeń, nawet Sasów niektórzy pisarze arabscy nazywali «sakalab» (19), ale ściślej znaczenie tego słowa jest niewątpliwie «słowianie». A przecież w naszym wypadku chodzi, jak widać z dalszego tekstu Chazdaja, o króla, który był sąsiadem Węgrów, a był różnym od Ottona, króla Niemców: poza słowianami Węgrzy takich sąsiadów nie mieli. Był to poza tym sąsiad z Węgrami zaprzyjaźniony, co by wskazywało na księcia polskiego, jak o tym świadczy m. in. i Cesarz Konstanty Porfirogeneta (20), który sam posłów do Kordoby posyłał (21). Mogłoby to być władca Czech; wysuwano już takie przypuszczenie (22); nie potwierdza go jednak Nowotny, są zaś powody, prócz wyraźnej różnicy imion (Bolesław - Dukhu) do wypowiedzenia się przeciwko temu przypuszczeniu: wszak roku 955 - to dla Węgier przełomowa data, to rok klęski poniesionej od Ottona I nad Lechem. Być może, iż ta klęska stała się błogosławiona w skutkach: że ona to zamieniła koczownicze barbarzyńskie plemię żyjące z najazdów na Europę, w osiadły naród, w pełnego wartości członka i współtwórcę kultury zachodniej. Ale udział Bolesława I czeskiego w wyprawie nad Lech, zagarnięcie przez niego przy tej okazji Moraw, nie pozwala przypuszczać, by miał on w tym roku czas na poselstwa do egzotycznych krajów; jest prawie rzeczą pewną, że w tych oko-

licznościach jego posłowie nie mogliby się podejmować pośrednictwa pomiędzy Chazdajem a Węgrami. — Można by jeszcze przypuścić, że Dukhu, czy Dugu, król Gebalimów, to Tugumir, jak go nazywa Niemiec Widukind, lub Dugumir, dziedziczny władca Hawelanów (23). Ale choć tu imiona doskonale pasują, trudno jest przejść ponad faktem, że były książę Hawelanów, sprawujący władzę z łaski Geron, w imieniu króla Niemiec, w Zgorzeli (Brandenburgu) od r. 939, nie mógł chyba na własną rękę poselstw wysyłać; że nadawał się on jeszcze mniej, niż Bolesław Czeski, sługa Niemców, na pośrednika do Węgrów, których nie był sąsiadem. Nie wiadomo zresztą, czy żył on jeszcze w tym czasie (24). Tak więc przez eliminację dochodzimy do wniosku, który wysuwał już Bielowski: że poselstwo wysłał «jeden z panujących w tzw. późniejszej Polsce». Na to samo wskazuje zresztą i Al Makkari, jednym, lecz jakże ważkim słowem: «DUKHU» (25). Dziwić się tylko można, iż nikt dotąd nie zauważył, iż to słowo jest tylko arabską transkrypcją dobrze nam znanego, tyle kłopotów przyczyniającego imienia: «Dagom» (26).

W ten sposób imię «Dagom» przestaje być unikatem. A ponieważ przez eliminację doszliśmy do wniosku, że poselstwo wysłał książę polski, to trzeba uznać, że «królem Gebalimów, którzy są Słowianie», jest właśnie Mieszko-Dagom, znany już nam skądinąd pod tym drugim imieniem, w akcie «Dagome Judex» (27).

Niewiele już nam pozostaje do powiedzenia o Mieszkowym poselstwie do Kalifa Abderamana. Nie znamy właściwie składu poselstwa: ze słów Chazdaja wynika, że Saul i Józef przybyli z posłami, że sami posłami nie byli. Kto inny stał na czele misji, w której oni byli radcami? tłumaczami? dla honoru i bezpieczeństwa dopisanymi do poselstwa kupcami? Wszystko to jest możliwe. Tytuł «mar», którym ich obu zaszczyca Chazdaj, mało używany na zachodzie, jest tylko wskazówką że byli oni ludźmi o pewnej sytuacji społecznej.

Nie znamy celu poselstwa. Najprostsze przypuszczenie, że Saul i Józef jechali za własnymi, zapewne handlowymi sprawami, biorąc od księcia listy wierzytelne, jakby dziś wzięli paszport dyplomatyczny, nic nie wyjaśnia, gdy wiadomo, że poselstwo sprawował ktoś inny. Niewiele tłumaczy okazyjnie załatwiona sprawa listu do króla Chazarów: nie po ten list jechali posłowie. Niewątpliwie budzi zainteresowanie rozległa korespondencja Chazdaja, Żyda w muzułmańskiej służbie, ze szwastykami, szczególnie niechrześcijańskimi władcami świata, od słupów Herkulesa po stopy Azowa — ale nie wyjaśnia ona celu poselstwa. Może by można było zbudować jakąś teorię na konflikcie niemiecko-węgierskim i na polsko-węgierskiej pogoni przyjaźni, o której coś słyszał Porfirogeneta Konstanty? Pomysł polsko-węgiersko-kordobańskiej zmywy przeciwko cesarstwu wydaje się fantazją, na którą by nie poszedł trzeźwy gospodarz z piastowego rodu; ale czy pomysł związku maho-



metan i pogan nie błakał się genialnej głowie Chazdaja? Może inne arabskie źródła przyniosą w tej sprawie jakieś wyjaśnienie. Dotąd — ignoramus.

Nie wiemy również co znaczy słowo «Gebalim» (28). Zawodzą próby związania tego słowa z jakąś określoną miejscowością. Może by je można było powiązać z tytułem «króla północy» jaki Mieszkowi daje Ibrahim ben Jakub. Jeszcze jeden tytuł do imienia Miszki, Mieszka, Mieška, Misego, Messico (które prof. Otrębski wyprowadza od imienia Kazimierza); do imienia Dagona czy Dagona, Dagu, Księcia Licikawików (czyżby Lutyków i Wilków?) Słowian, Gebalimów. A może Mieszko tytułował się księciem Hawelanów?

Kraj nasz i naród nie miał jeszcze ustalonej nazwy u obcych. My sami dotąd otrząsać się musimy od obcych i wrogich wpływów, które nam fałszują obraz naszej przeszłości. Dytmar, historyograf Henryka II, w swojej nienawiści do Chrobrego postarał się o przedstawienie nam Mieszka jako nieokrzesanego przywódcę leśnych plemion. Już u Widukinda wygląda on inaczej: królem go nazywa mnich korbejski. Ibrahim Ben Jakub (powiedzmy nawiasem, że o poselstwie do Kordoby nie ma u niego wzmianki) (29), pisze o bogactwie jego kraju. A najnowsze wykopaliska odkrywają nam system grodów obronnych, w których budownictwo Mieszko wniósł nowy styl i technikę (30). Państwo jego nie było ani przypadkowym związkiem plemion puszczających, ani improwizacją, lecz z dawnego pnia wyrosła i zwarta organizacja. Poselstwo do Kordoby wskazuje na rozległość interesów tej społeczności (31).

Dalekie, zza lat tysiąca, zza siedmiu gór, echo spraw minionych, zapomnianych, dochodzi do nas ledwie szeptem; ledwie je słysząc w szeleście pożółkłych kart, guszonym przez warok motorów, przez pieśń obcą, stepową —

«Granada — Granada — Granada mają».

X. Walerian MEYSZTOWICZ, Prof. U. S. B.

(1) LEVI-PROVENÇAL, E. Histoire de l'Espagne Musulmane. (in Etudes Historiques publiées par l'Institut Français d'Archéologie Orientale du Caire, vol. I), Le Caire, 1944, p. 326-7.

(2) The Jewish Encyclopedia, New-York — London, 1904, IV 248 i tamże IV 3.

(3) MIGNE, PL 137 col 301.

(4) p., m. i.: LUZZATO, Ph. Notice sur Abou Youssouf Hasdai ibn Shaprut, Paris 1852; DOZY, Geschichte der Mauren in Spanien, II 53; BIEŁOWSKI, A. Chazdaj ibn Szaprut, in MPH I Lwów 1864, 51-55; GEIGER, Das Judentum u. seine Geschichte, II 82; CARMOLY, Histoire des médecins juifs, 30; CASSEL, Miscelany of Hebrew Literature, I 73; GRAETZ, Geschichte der Juden, V 360; KAY-

SERLING, M. Hasdai, Abu Jussuf ibn Shaprut, in The Jewish Encyclopedia, New-York — London, 1904, VI 284 ssq. NAPHTALI, Jakob, Schaprut, Chasdai ibn, in Judisches Lexikon, Berlin (1930) IV 2, 150. List Chazdaja do Króla Chazarów Józefa doszedł do nas w postaci rękopisu z XVI w., który został nabyty przez bibliotekę Bodlejańską i znajduje się w Oxfordzie, w Christ Church Library, n. 193; (opisuje go NEUBAUER, Catalogue of the hebrew manuscripts in the Bodleian Library... of Oxford, 1886, p. 870, n. 2454); oraz w postaci «editio princeps», dokonanej przez Izaaka ben Akrisza ('AQRIŠ) w Konstantynopolu ok. r. 1577. Znany jest też rękopis w podejrzanej kolekcji Firkowicza. «Ed. I» została wydrukowana przez Buxtorfa (BUXTORFIUS, Johannes, Filius, Liber Cosri, Basileae 1660). Z Buxtorfa są rodem wydanie krakowskie, oraz tłumaczenie na jiddisch w Wilnie 1811 r., tekst Amsterdamski 1840, berliński tekst Zednera z 1840 r. w Berlinie. Tych późniejszych wydań nie szukałem. Z Buxtorfa jest też wydanie z doskonałym polskim tłumaczeniem, (BIEŁOWSKI, A. MPH I, 50-83). Odpowiadające wszystkim wymaganiom krytyki «wydanie ostateczne» (КОКОВЦОВ, П. К., Еврейско-Хазарская переписка в X Веке; str. XXXIII 134. Изд. Академии Наук СССР, Ленинград 1932) jest zaopatrzone w rosyjski, zbyt literalny i bezbarwny przekład. Wydawca, Kokowcow, oparł się na rękopisie oxfordzkim i na «ed. I», która sama, jego zdaniem, jest tegoż rękopisu przedrukem «pośrednim lub bezpośrednim», uwzględnił też w przypisach podejrzany tekst Firkowicza.

Pomimo wydania «ostatecznego» tekst Bielowskiego, dzięki dokładnemu przedrukowaniu Buxtorfa, który bardzo wiernie oddał Akrisza, jest dotąd najlepszy, gdyż szczęśliwy układ graficzny pozwala na łatwą w nim orientację. Podaje spis tłumaczeń listu Chazdaja: łacińskie Buxtorfa, 1660; jiddisz, Manna Ben Salomon, w Wilnie, 1811; Franc.: Carmoly, 1833; niem.: Zedner 1840, Cassel 1848, Kaminka 1894, Lewin 1896; polsk. Bielowski, 1864; ros. Kossowicz 1845, Harkawy 1895, Kokowcow 1932.

(5) Całość tzw. «Korespondencji chazarzkiej z X wieku» stała się przedmiotem sporów, które stworzyły dookoła niej całą literaturę. Za przewodnictwo po jej labiryncie dzięki składam prof. Henrykowi Paszkiewiczowi. Cytuję najważniejsze dzieła i rozprawę: БРУЦКУС, Ю. Письмо хазарского еврея X века. in Еврейская Мысль Петроград 1922; ГОРЯНОВ, В. Византия и хазары, in Историческія Записки, XV. 1945. GREGOIRE, Le «Glozel» Khazare, in Byzantion, XII 225-226, Bruxelles 1937. ГАРКАВИ, А. Я., Сообщения о хазарах, in Еврейская библиотека VII 1880. КОКОВЦОВ, П. Р., Еврейско-хазарская переписка в X веке, in ed. Академии Наук СССР, Ленинград 1932; LEWICKI, T. Osadnictwo słowiańskie w krajach mużulańskich, in Sprawozdania Polskiej Akad. Um., T. 49, str. 487-8, Kraków 1948. MODELSKI, T. Król Gebalim w liście Chazdaja, in Archiwum Naukowe, ed. Tow. popierania nauki polskiej, Dział I, t. IV, zesz. 3. Lwów 1910. MOŠIN, V. Les Khazares et les Byzantins d'après l'Anonyme de Cambridge, in Byzantion, VI, 309-325. Bruxelles 1931. PEETERS, P. Les Khazares dans la passion de s. Abo de Tiflis, in Analecta Bollandiana, LII, 21-56. ZAJĄCZKOWSKI, A. Ze studiów nad zagadnieniem Chazarzskim in Prace Kom. Orient. Polsk. Ak. Um. N. 36 Kraków 1947. W sprawie autentyczności listu Chazdaja należy zauważyć, że zarzuty przeciwko niej płynęły nie tylko ze zwykłej w XIX wieku skłonności do hyperkrytyki. Powstały bowiem koło «korespondencji chazarzkiej» różne pasje, związane, jak słusznie podkreśla GREGOIRE, w «Glozel» 235, z mistyką narodową karaïmską, dążącą do



wykazania odrębności Karaimów od Żydów. Grały tam też rolę dwie inne mistyki, o których GREGOIRE nie wspomina: mistyka żydowska, której schlebiała wieść o przejściu Chazarów na judaizm; i mistyka antysemitcka, tak modna w okresie w którym GREGOIRE pisał. Te pasje niewątpliwie zaciemniają kwestię autentyczności całej "korespondencji chazarskiej". Można by było oprzeć się na autorytecie największego znawcy w tej sprawie, jakim jest KOKOWCOW, i na opinii większości badaczy, by ponad kwestią zaciemnioną pasjami przejść do porządku. Ale wolę rozpatrzyć zarzuty, w przekonaniu, że pasja niezawsze prowadzi do błędu. Przede wszystkim należy ograniczyć zagadnienie do samego listu Chazdaja, pozostawiając na boku inne składowiki "korespondencji chazarskiej". W ten sposób uderzy nas fakt, że wszystkie zarzuty przeciwko autentyczności biją nie w list Chazdaja, a w odpowiedź króla Józefa. To, co w tych zarzutach stosuje się do listu Chazdaja, ogranicza się właściwie do jednego tylko argumentu: że list Chazdaja nie był znany aż do r. 1577, kiedy go wydano w Konstantynopolu. Jest to argument "z milczenia innych źródeł", który łatwo można wytaczać przeciwko bardzo wielu przekazom, szczególnie przekazom ze starożytności, znanym jedynie z szesnastowiecznych przedruków. Jednakowoż taki zarzut ma wówczas dopiero wartość, jeżeli można go poprzeć argumentami z tzw. krytyki wewnętrznej. Uderza fakt, że wszystkie argumenty tego rodzaju, zawarte w literaturze, odnoszą się do innych części "korespondencji chazarskiej", a żaden nie bije w list Chazdaja. Zresztą, i samo "milczenie innych źródeł" nie jest w tym wypadku ustalone: wszak istnieje, jak wykazał KOKOWCOW, niezależny od pierwszego wydania rękopis oxfordzki z XVI wieku. Istnieje "fragment z Cambridge", akty Firkowicza, akty Asapha; jedyny sposób, by mimo tych wszystkich przekazów utrzymać się przy argumentcie "z milczenia innych źródeł" — to uznać te wszystkie przekazy na nieautentyczne. Tą drogą poszedł GREGOIRE, w swoim "Głosie"; pozostawiając na boku fakt, że pasja, z jaką on pisze, nie przyczynia się do wzmocnienia jego argumentów, łatwo jest je przyjąć, gdy pisze on o fałszach Firkowicza, które uważa za produkt mistyki karaimskiej; można przyjąć za wynik mistyki żydowskiej akty Asapha; zupełnie nieprzekonywujące są argumenty GREGOIRA o rzekomym fałszu "fragmentu z Cambridge", a rękopis oxfordzki pozostaje wyraźnie ponad zarzutami. Zatem nawet izolowany argument "z milczenia źródeł" nie daje się w stosunku do listu Chazdaja utrzymać. Musimy przyjąć najbardziej powszechną i ustaloną opinię o autentyczności tego listu. ZAJĄCZKOWSKI, naszym zdaniem, w swojej skądinąd doskonałej pracy niesłusznie dał się zachwiać pod wpływem energii natarcia GREGOIRE. Wreszcie wydaje się, że sam fakt przekazania nam wieści o Mieszkowym poselstwie, wieści potwierdzonej przez Al Makkari i innych, i odpowiadającej danym, które przypuszczalnie fałszerz musiałby czerpać z bardzo mało znanych źródeł, jest jeszcze jednym dowodem autentyczności listu Chazdaja.

(6) KOKOBLIOB 62; MPH I 65. Lektura 62. MPH I 65.

(7) KOKOBLIOB 65-6; MPH I 65. Lekcja słów "Rum", czy też "Rus", czy też "Rus"? Pomimo zdania Bielowskiego, MPH I 82, n2, przyjmuję lekcję "Rus", przemawia za nią fakt, że droga z Węgier do Bułgarów nadwołżańskich i do Chazarów szła raczej na Ruś, czyli na Kijów, gdzie panowała Olga, aniżeli przez "Rum", czyli wschodnie cesarstwo, z którym przede Chazdaj miał bezpośrednie stosunki, bez słowiańskiego pośrednictwa; wiemy, że tej drogi do Chazarów próbował; że poza tym

stale nazywa Bizancjum imieniem "Konstantyna" קונסטנטינא, i że nazwa "Rum" byłaby w jego słownictwie wyjątkowa. Pozostaje otwarte pytanie, dlaczego "król słowian" miałby do Olgi zwracać się przez Węgrów, dlaczego Olga miałaby do Chazarów pisać przez Bułgarów? Odpowiedzi należałoby szukać w mało znanych stosunkach wschodniej Europy tego okresu.

(8) KOKOBLIOB 65-6; MPH I 65.

(9) AL-MAKKARI, Abu l'Abas Ahmed b. Muhamed (p. LEVI-PROVENÇAL, Al-Makkari, in *Encyclop. de l'Islam*, III 184-185) ur. 1591; zm. w Kairze 1631-2, jest autorem wielkiej pracy historycznej zatytułowanej *Nafh - al - tib*, (wyd. DOZY, *Analectes*, Leyde 1855-1861; inne w Bulak, 1862, i w Kairze 1884 - 1886; oraz najstarsze, w tłum. ang., DE GAYANGOS, *The History of the Mohammedan Dynasties in Spain*, London 1840; BIEŁOWSKI znał tylko wyciągi ogłoszone poprzednio przez SHAKESPEAR, w MURPHY, *History of the Mohameds Empire in Spain*). LEVI-PROVENÇAL uważa, że Al Makkari'ego zbiór fragmentów z prac przeważnie dziś zaginionych "... ma nieocenioną wartość ... jest źródłem pieśńorzednym". DE GAYANGOS pisze: "Al Makkari ... cytuje najlepszych autorów mahometkańskiej Hiszpanii, i, o ile mogłem sprawdzić, cytaty są zawsze dokładne". Al Makkari życie spędził przeważnie w Afryce, w Algierze i Marakesz, gdzie był imamem, najwięcej jednak przebywał w Kairze; był w Mece i w Medynie, w Jerozolimie i Damaszku, wszędzie badając źródła historyczne, do których miał zawsze najlepszy dostęp dzięki sławie uczonemu.

(10) DE GAYANGOS, Pasqual. *The History of the Mahomedian Dynasties in Spain*, by Ahmed Al Makkari, translated from the Arabian text. 2 vol. London, 1840 - 1843.

(11) Tamże, II 139.

(12) tamże, II 464; inne lekcje: p. MODELSKI, *Król Gebalim*, 101.

(13) LEVI PROVENÇAL, *Histoire de l'Espagne Musulmane*, 383.

(14) IBN KHALDUN, Abd er Rahman, ur. w Tunisie 1332, zm. w Kairze 1406, ruchliwe swe życie spędził przeważnie w Afryce; był też kilkakrotnie, po lat kilka, na dworach muzułmańskich w Hiszpanii; tam też, w Grenadzie, rozpoczął swoje wielkie dzieło historyczne *Kitab al Ibar*, wyd. w Kairze, 1867 w 7 tomach. (*Encycl. de l'Islam*, II 419). LEVI PROVENÇAL podaje, że Ibn KHALDUN wiadomość o poselstwie króla Gebalimów "przepisuje lub skraca z Ibn Haiyan" (p. LEVI-PROVENÇAL, *Hist. de l'Esp. Mus.* 383). Muszę pozostawić arabistom sprawdzenie tej wiadomości, niezmiernie ważnej, gdyż IBN HAYIAN b. KHALAF, ur. 937-8, zm. 1076, *Encycl. de l'Islam* II 405, byłby prawie współczesnym świadkiem. Z ogromnej pracy Ibn Hayian'a pod tytułem *Al Matin*, zawierającej podobno 60 tomów, doszedł do nas tylko jeden tom, pt. *al Moktabis fi Tarik Andalus* (w 2 odpisach: Oxford, Cod. Bodl., u Nicoll, II n. 137; i w Konstatynie. Kopie obu tych rękopisów są w Madrycie. Cat. de los man. arab., Bilbl. Nac., N. 592, i CODEPA, *Mission Hist.*, p. 165 n. 2).

(15) MPH, I 54.

(16) MPH I 81.

(17) p. Jana, Opatu Sti Arnulfi, żywot błog. Jana de Gorze, MIGNE, PL 137.

(18) Nie są przekonywujące, acz pełne erudycji wywody MODEL-SKIEGO (*Król Gebalim*, Lwów 1910), że królem Gebalimów Chazda-



ja był właśnie Otton król Aszkenazimów: nie da się to pogodzić z tekstami, które wyraźnie poselstwo słowiańskiego króla Gebalimów stawiają obok poselstwa króla Aszkenazimów, które te dwa poselstwa najwyraźniej rozróżniają. Nawet uproszczenie, polegające na zastąpieniu hebrajskiego "we" przez przecinek, nie może tu pomóc. Bardzo cenne wywody o tym, że "Gebalim" może oznaczać każdy górzyski kraj, a więc i Niemcy; że są niektórzy autorzy arabscy, którzy nie rozróżniają Aszkenazimów od Sekalibów, — nie tworzą argumentu przeciwko podstawowemu faktowi, że i Chazdaj, i Al Makkar jak najwyraźniej te różnice czują, stawiając obok siebie dwa różne poselstwa dwu różnych królów. "Połączyć te dwie osoby", jak chce Modelski, (str. 100) można tylko przez gwałt nad tekstami; nawet w świetle lekcji "HUTU", którą Modelski, opierając się na Ibn ADARI, chce dać imieniu "DUGU", fakt rozróżnienia i poselstw, i władców, którzy je wysłali, nie da się usunąć. Zresztą, czy posłowie Ottona, który właśnie w 955 roku prowadził z Węgrami wojnę, zakończoną nad Lechem, mogli podejmować się pośrednictwa pomiędzy Chazdajem a Węgrami?

(19) por. MODELSKI, Król Gebalim, 64 i nn., 71 i nn.

(20) MPH I 24.

(21) DE GAYANGOS, j. w. II, 140-1.

(22) ROSENTHAL, H. Chazar, in Jewish Encyclop. IV 3. MODELSKI, Król Gebalim, 25, Przypisuje autorstwo tej hipotezy WESTBERGOWI.

(23) WIDUKIND, Rerum Gestarum Saxoniarum libri tres, (in Scriptores Rerum Germanicarum ad usum scholarum), Hannoverae 1904, lib. II, cap. XXI, p. 72. Ten sam przekaz za Widukindem powtarza ANNALISTA SAXO, wyd. PERTZ, opr. WAITZ, (in Monumenta Germaniae Historica, VIII, scriptores VI), Hannoverae 1844, p. 603. O Tugumirze: VON RAUMER, Regesta Historiae Brandenburgensis, Berlin 1836, pod r. 940, I 33, n. 140. ZAKRZEWSKI, Bolesław Chrobry, 82; DVORNIK, The Making of. E. Europe, 48 — i inn.

(24) p. Excerpta Necrologii Veteris Abbatiae Mollenbecanae, (in SCHANNAT, J. FR., Vindemiae Litterariae, Fuldæ et Lipsiae 1723, I 139) zapisują jego zgon pod "VII kal. Juni" nie podając roku. VON RAUMER, p. wyż., odsył. 23, kładzie tę wiadomość "po roku 940".

(25) DE GAYANGOS, (p. wyż.), ods. 10, II 464, przypuszcza, że słowo "DUKHU" jest po prostu zniekształconym słowem "Dux"; musimy to przypuszczenie usunąć; Maurowie hiszpańscy zbyt dobrze znali tytuły europejskie, by móc pisać o "królu, któremu na imię jest książę". Zresztą sam AL MAKKARI podkreśla wyraźnie, że chodzi tu o imię.

(26) Nie znając języka arabskiego, muszę tu odwołać się do poważy Prof. Levi della Vida, który stwierdza, że dźwiękowo słowo

ⲉⲕⲁⲕⲁ, obecnie transkrybowane "Duku", odpowiada również transkrypcji "DUGHU" lub "DUGU". Zawdzięczam ks. Milikowi informację, że słowo słowiańskie Dagon, Dagom, mogło w arabskiej transkrypcji AL MAKKARI'ego lub kogoś z jego poprzedników przyjąć formę ⲉⲕⲁⲕⲁ lub uproszczoną ⲉⲕⲁⲕⲁ.

(27) Twierdzenie BALZERA, Gen. Piastów, pod Mieszko I, że "błądem jest przypuszczenie jakoby Mieszko nazywał się Dagome oparte na znanym tekście darowizny Gniezna", przyjęte przez niemal wszystkich poważnych badaczy, jest słuszne tak długo, jak tekst z

tym imieniem jest jedyny. Gdy w innych tekstach, niezależnych od "aktu darowizny", znajdujemy to samo imię, musimy uznać fakt: zwalnia to nas od prób tłumaczenia takiego właśnie zniekształcenia tekstu. — (Ze tekst "darowizny" nie jest wolny od zniekształceń, jest rzeczą pewną. Podkreślimy tu jedno z nich: słowo "Schinesghe" służymy w nim dla wskazania na dwie różne miejscowości, jednej leżącej w środku opisywanych ziem, drugiej na granicy, nad morzem, u ujścia Odry. Raz chodzi prawdopodobnie o Gniezno, drugi raz z całą pewnością o Szczecin).

Ze sprawą imienia Mieszka łączy się sprawa, właściwie obca nauce: niektórzy niemieccy uczeni wiążą imię "Dugu" czy "Dagon" lub "Dagom" z onomastyką germańską. Stąd, odrywając się zupełnie od naukowego rozumowania, wnioskuje, że Mieszko był germańskiej krwi, co — tu nowy przeskok w rozumowaniu — miałoby wskazywać na brak zdolności państwowotwórczych u Polaków — i dalszy skok jeszcze — u Słowian w ogóle. (BRACKMAN, A. Die Anfänge des Polnischen Staates, (in Sitzungsberichte der Preuss. Akad. d. Wissensch., Philosoph. Hist. Klasse, 1934), XXVIII 984 - 1015, uważa "Dagome" za "germanisches Namen", i pisze o "normannische Provenienz" Mieszka). Jest w tej sprawie wiele opracowań. Ostatnie są wskazane w zbiorowych pracach: BRACKMANN, A. (i inni) Deutschland u. Polen, München - Berlin, 1933; ZAKRZEWSKI (i inni), Niemcy i Polska, Lwów 1934. Por. też BRACKMANN: Die Wikinger u. die Anfänge Polens (in Sitzungsberichte der Preuss. Ak. d. Wiss., Philosoph. Hist. Kl., Berlin 1942, i inn.). Niech filologowie zajmują się kwestią czy tak elementarne zestawienie dźwięków można uznać za nie-słowiańskie, wobec polsk. gw. i ros. "duga", polsk. "duży", ros. "tugoj"; polsk. "dogonić", "dokonać", "zagon", "pogoń", białorus. myśliw. "dahón"; niech w onomastyce się biedzą nad bułgarską księżniczką Tugą ("туга", której Konstanty Porfirogeneta, MPH I 24, daje siostrę Buge, może przez skojarzenie z תוגי ויורי Gen. I 2), nad jakimś bożkiem słowiańskim "Podagiem", znanym RUDNICKIEMU (Slavia Occidentalis, VII 135, Poznań 1928) i nad wieloma słowami polskimi, co do których m. in. BRÜCKNER, N und U Dubletten in Zeitschr. f. vergl. Sprachenkunde XLII (1909), szczególnie str. 342-3 o tag-tug i dag-dug; również SŁAWSKI, Oboczność a-u in Slavia Occ. XVIII (Poznań 1947); MILEWSKI, T., Stosunki językowe polsko-pruskie (in codem per.), i litewskimi — p. JUSZ-KIEWICZ — Lit.-Słow. SPbg 1897; — najbardziej zaś nad Tugumirem (czy może Dugumierzem?) o którym p. wyż. odn. 23 i 24. Można by przypuścić, że ten Słowianin, dziedziczny książę Hawelan, osadzony przez Gerona i Ottona I w Brandeburgu, zmarły zapewne niedługo przed datą naszego poselstwa, był tym, po którym Mieszko wziął imię. Zła jego sława u Słowian, jako szluga Niemców i mordercy własnych krewnych, mogłaby tłumaczyć dlaczego Mieszko używał tylko drugiej, mało poznawalnej w zdrobnieniu, części jego imienia. Prof. OTREBSKI, Imiona pierwszej chrześcijańskiej pary książęcej w Polsce, in Slavia Occidentalis, XVIII 85 - 125, Poznań 1945, pisze: "Mieško", z "ż", jest skrótem dwuczłonowego imienia na "mierz", mianowicie Kazimierz. Chrześc. imię Mieška była Dagobert". Nasuwa się uwaga, że imię T(d)ugumir wystarczy tu za oba domyślne imiona. Używałby go nasz książę w pełnym brzemieniu tylko w oficjalnych, dalekich stosunkach, z Kordobą i z Rzymem.

Nie chcę robić wniosku, że Tugumir był Mieszka dziadkiem, może ojcem owej Gorki, którą zarejestrował HAJEK (zm. 1553. Annales



Bohemorum, III 461, Praha 1787), a z którą może zbyt surowo obzedł się BALZER, Gen. Piast. 18, nie wiedząc może jeszcze o tych źródłach, które miał Hajek, a których nie posiadamy. Nie chcę, powtarzam, robić tego wniosku: ale byłoby w nim znaczenie mniej fantazji, i byłby on znacznie bliższy od posiadanych danych, niż niemieckie wywody o germańskim pochodzeniu Ziemomysłowicza (por. wywód "Fuchs" — "αλωπηξ").

(28) Bardzo wyczerpujące badania nad tą sprawą przeprowadził MODELSKI, "Król Gebalim" (por. wyż. ods. 18). Nie zrobił jednak próby zestawienia pomiędzy przekazaniem przez Żydów i Arabów słowem "Gebalim", a zachowanym u Widukinda i innych Niemców imieniem Hawelan (Hevelli, Heveldi).

(29) KOWALSKI, T. Relacja Ibrahima ibn Jakuba z podróży kra-  
jów słowiańskich w przekazie Al Bekriego. (In MPH, Series Nova, I),  
Kraków 1946, Godny uwagi opis granic polskich, zasadniczo zgodny  
z opisem "Dagome Judex".

(30) KOSTRZEWSKI, Kultura Prapolska, Poznań 1947, 104-105.

(31) Sprawa, poruszona w tym artykule leży na marginesie dzie-  
jów Kościoła w Polsce, które są przedmiotem pracy autora; prosi on  
czytelników o przebaczenie, że zebrane dane nie są wyczerpujące, że  
nie doprowadzone są do końca badania nad genezą przekazu Al Mak-  
kari'ego, nad stosunkami politycznymi Węgier, Rusi, Bułgarów i Cha-  
zarów, nad zasadniczymi liniami polityki Chazdaja i nad innymi  
sprawami. By dojść do dna, trzeba by było nauczyć się po arabsku, i  
zbadać przekazy Ibn Khalduna i Ibn Hayiana, z których miał czerpać  
Al Makkari. Autor powraca do swego właściwego przedmiotu. Tak  
ogar wraca do sfery idącej w trop zwierza, gdy da się na chwilę  
uwieść bocznym śladem sobola — lub wiewiórki.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

**„GRYF” Publications Ltd.**

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATTERSEA 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą  
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać  
się do wymienionej firmy

## Widz i aktor

Wśród postaci artystycznego wyrazu tworzonych przez czło-  
wieka, teatr zajmuje miejsce zupełnie szczególne. We wszy-  
stkich sztukach odbiorca obcuje z dziełem urobionym z jakie-  
goś materiału: w muzyce jest nim dźwięk, w malarstwie bar-  
wa, w rzeźbie kształt wydobyty z gliny, kamienia, drzewa czy  
metal, w poezji słowo z całym bogactwem swoich możliwo-  
ści uczuciowych i pojęciowych, muzycznych, plastycznych i  
kolorystycznych. We wszystkich sztukach człowiek-twórca zni-  
ka poza swoim dziełem, żyje w dziele życiem utajonym. Tylko  
w teatrze człowiek obcuje z drugim człowiekiem. Materiał ar-  
tystyczny teatru, jego lepiszcze, barwę, dźwięk, kształt — to  
wszystko naraz — stanowi żywy człowiek, aktor.

Stąd pochodzi, że związek zachodzący między odbiorcą i  
twórcą dzieła sztuki jest w teatrze zupełnie osobiwy. Wystę-  
puje tylko tutaj i nigdzie indziej.

We wszystkich sztukach treści ludzkie są przekazywane przy  
pomocy jakiegoś inmaterialnego przewodnika, jakiegoś z reguły  
poza-ludzkiego medium: koloru, tonu muzycznego, kształtu pla-  
stycznego. W teatrze, jeśli go brać w postaci elementarnej, naj-  
bardziej esencjonalnej, nie ma takiego medium. Tutaj obu-  
jemy twarzą w twarz, duszą w duszę z innym człowiekiem, z  
innymi ludźmi czyli — z samymi sobą. Teatr jest to bezpo-  
średnie, czynne, pełne zespolenie z żywym człowieczeństwem.

(Mieści się w tej zasadzie oczywiście tancerz i teatr tanecz-  
ny. Nie wyłamuje się z niej teatr kukiełek i aktor-marionetka.  
W nich także odczuwamy aktualną, jednorazową obecność ży-  
wego człowieka. W każdym ruchu kukiełki czujemy ruch je-  
go ręki, drżenie jego systemu nerwowego, promieniowanie je-  
go osobowości).

Ta bezpośredniość stosunku dzieła sztuki i jego odbiorcy,  
ich ludzka jednorodność, ludzka tożsamość jest jedną cechą  
zjawiska teatru. Drugą cechą odrębną stanowi ścisła zależ-  
ność tego, który tworzy i tego, który stworzone odbiera, zależ-  
ność głęboka i tajemnicza, nigdzie indziej nie istniejąca. Wszy-  
stkie inne sztuki możemy sobie wyobrazić, przynajmniej w  
teorii, niezależnie od odbiorcy. We wszystkich sztukach, aby w  
pełni żyły, wystarcza przyczyna sprawcza.

Najbardziej wymownego przykładu dostarcza malarstwo.



Pierwotne, nieraz zdumiewające malowidła jaskiniowe (nie-dawno odkryto je w Lascaux we Francji) nie były wykonane z myślą o tym, co się nazywa w estetyce "recepcją", z myślą o tym, że ktoś na nie będzie patrzył, będzie pod ich wpływem doznawał pewnych przeżyć. Malarze jaskiniowi malowali swoje bizony, tury i jelenie często w ciemnych, niedostępnych pieczarach, w kominach skalnych nie po to, aby zachwycić widza swoją natchnioną umiejętnością, aby go wzruszyć i zabawić, ale to po, aby wpłynąć na bieg własnego życia lub życia swojej gromady, aby sobie lub gromadzie w magiczny sposób zapewnić pomyślne łowy. I dziś można sobie wyobrazić malarza malującego w samotni, dla własnej potrzeby i przyjemności, nie pokazującego swoich dzieł nikomu. Można sobie wyobrazić takiego kompozytora i poetę. Byli też tacy. Byli tacy, którzy z tego tworzyli mniej lub bardziej dosłownie rozumiany program artystyczny: "Sobie śpiewam a muzom".

Każdą sztukę można sobie wyobrazić bez odbiorcy, o każdej można na siłę pomyśleć, że zamyka się w akcie twórczym. Nie podobna tego zrobić tylko z teatrem: nie ma teatru bez publiczności. Nie tylko dlatego, że w obecnym ustroju gospodarczym jest to trudne do przeprowadzenia. Dlatego przede wszystkim, że teatr bez odbiorców jest niemożliwością psychologiczną. Potwierdzi to każdy aktor. Potwierdzi także każdy psychiatra, że mówienie do siebie i granie dla siebie byłoby objawem nienormalnym, że mówienie i granie do pustej widowni prowadziłyby zapewne — do domu obłąkanych.

Ktoś może wysunąć zastrzeżenie, że niektórzy artyści sceniczni studiują rolę przed lustrem, a próby odbywają się w teatrze bez widzów. Łatwo na to odpowiedzieć. Metoda gry przed lustrem jest od dawna zakwestionowana pod względem celowości, próbom towarzyszy reżyser. Aktorzy próbujący samotnie w pokoju i zbiorowo na scenie mają bezustannie na myśli i na widoku idealną publiczność, która w odpowiedniej chwili stanie się publicznością rzeczywistą.

To niepodobieństwo wyobrażenia sobie teatru poza publicznością i bez publiczności tłumaczy jego prehistoria, to znaczy zjawiska prymitywnej teatralności, które powstają odruchowo, samorzutnie, nieświadomie, wśród tzw. ludów dzikich czyli ludów żyjących w stanie natury. Pokrewne zjawiska możemy obserwować także u dzieci.

#### ZEJŚCIE DO KORZENI

W świetle prehistorii publiczność, odbiorca, widz stanowi integralny składnik teatru. Włócej: prehistoria wskazuje, że teatr rodzi się z publiczności. Ona jest jego matką, początkiem. I jego celem. Teatr i publiczność, odbiorca i dzieło stanowią jakby krąg ściśle zamknięty: teatr wyłania się z publiczności i wraca do niej, dokonywa się między nimi jakby nieustanna

wymiana, proces wcielania się jednego w drugie, jakby tajemnica transfiguracji.

Ta bezsporna prawda ucina wyścig do pierwszeństwa, który odbywał się w ostatnich kilkudziesięciu latach. Jednakże ma-ło sensu ma hasło "teatr to reżyser", jak i konkurencyjny konik: "teatr to autor", którego u nas w utarczkach z reżyserami z upodobaniem dosiadał Wacław Grubiński. W epoce żywiołowca Drabika i kameleonowego Frycza niektórym przez chwilę tak samo opacznie wydawało się, że teatr to — malarz, dekorator, scenograf, twórca wizji plastycznej.

Genetycznie rzecz biorąc, to znaczy sięgając do źródła, teatr to — publiczność. Juliusz Bab wyraził to w trawestacji formuły biblijnej: "Na początku była publiczność". Wszystko inne jest wtórne, pochodne: z niej się wywozi i w niej się kończy.

Z publiczności narodził się pierwotny mim, aktor i autor, twórca i odtwórca partytury aktorskiej w jednej osobie. Potem z tej jedności wyłoni się autor. Później oddzielił się kompozytor przestrzeni scenicznej. Jeszcze później zjawiał się reżyser. Ten ogólnikowo zaznaczony proces różniczkowania, który bardzo skomplikował maszynę teatralną, jest w tej chwili nieważny. Interesuje nas pierwszy i najdonioślejszy akt tego procesu: narodziny aktora z łona publiczności.

Jak to się stało, jak z żebra Adama powstała Ewa — nie jest łatwo odpowiedzieć. Odpowiedzi mogą być różne. Ale wszystkie mają jeden punkt wyjścia.

Wspomniany Bab jest twórcą, a przynajmniej głównym eksponentem teorii, którą można by nazwać teorią paniczną, bo według niej teatr narodził się z uczucia lęku i jest przezwyciężeniem lęku. Wyłonienie się aktora przedstawia ona w następującym schematycznym przebiegu.

Pierwotna gromada jest przeniknięta strachem przed jakąś siłą wyższą i niezrozumiałą, przed groźnym demonem. Wyraża ten strach w zbiorowym tańcu i śpiewie. Hałasem i ruchem broni się przed paraliżującą trwogą, w ruchu i w hałasie szuka sposobu, aby ośwadczyć tym, co jej zagraża. W pewnej chwili z gromady ogarniętej jednym uczuciem, stopionej jednym natężonym wysiłkiem wyskakuje na czoło ktoś, kto tańczy namiętniej, ktoś kto krzyczy i śpiewa głośniejsz niż inni. Ciemna emocja tłum ogniskuje się i skupia w tym jednym. Wciela w niego złowrogą moc, zaczyna w nim widzieć zdejmującego przestachem demona. Gdy to się staje, rodzi się — aktor. Z chwilą tych narodzin lęk się wyładowuje, znika czy zamienia w uczucie dodatnie: w uczucie upojenia, że straszliwa potęga zesłała z niewiadomych szlaków w zasięg rąk i oczu, że demon jest pośrodku koła, jest pierwszym ze stada, jest jego przewodnikiem.

Teoria paniczna wydaje się zbyt ciasna, zbyt jednostronna. Być może, iż trafnie określa ona jedną możliwość, jeden szczególny przypadek. Jeśli tak, należy jej przeciwstawić pogląd



szerszy, obejmujący wszystkie przejawienia się teatralności, obserwowane u ludów pierwotnych, ciągle powtarzające się wśród naszych dzieci. To ujęcie nazwałem kiedyś koncepcją energetyczną teatru<sup>\*)</sup>.

Według niej pra-aktor jest to także ktoś, niejako wypchnięty z wnętrza pra-publiczności, wyłamujący się z kręgu na środek pod ciśnieniem zbiorowej energii duchowej. Może to być lęk, może to być radość. Źródłem tej energii może być odczucie nadmiaru, jak i odczucie braku. Jeśli gromada weseli się z czegoś, co ją przepełnia po brzegi, co się przez nią przelewa, ten strumień wyniesie naprzód czy w górę kogoś, kto będzie przewodził zbiorowej ekstazie. Jeśli gromada odczuwa niedostatek czegoś, np. deszczu, od którego zależą zbiory, lub mięsa, którego ilość zależy od plonu polowania, parcie potrzeby jest także zdolne wyrzucić z tłumu protagonistę. Ześrodkuje on w sobie te uczucia, obejmie przewodztwo zbiorowego wysiłku, który ma zmusić niebo do zesłania deszczu, a inne tajne moce do tego, aby polowanie było jak najbardziej obfite w zwierzyne.

Czy tak to wygląda czy inaczej zawsze skutek jest podobny. Następuje wcielenie w jednego człowieka czegoś, co przenika, przepełnia grupę ludzką. Następuje akt narodzin pra-aktora z łona pra-publiczności.

W demokracji mówi się często o delegowaniu, o czasowym przekazaniu władzy, która jest wspólna i należy do wszystkich. Tu, w tym pradawnym przebiegu duchowym, można mówić o delegacji do przeżywania czegoś w imieniu gromady, do uczuciowego jej reprezentowania.

#### PERSPEKTYWY PSYCHOLOGICZNE

Odrywając się od tego mrocznego dna, wolno może ów pierwotny odruch uogólnić w formule: aktor jest to przedstawiciel publiczności, ktoś powołany i upoważniony przez nią do tego, aby nadawać widomy kształt i pełny, zrozumiały wyraz jej doznaniom. Ta forma obejmuje i aktora-prymitywa i aktora-dziecko i aktora-artystę.

Takie związanie widza i aktora, sceny i widowni wyrażało się nieraz w sposób materialny, uchwytne gołym okiem.

Chór tragedii greckiej to nic innego, jak tylko przeżytek doby prehistorycznej. Nie bierze on udziału w akcji, tylko komentuje ją, wyraża stosunek myślowy i uczuciowy do tego co się dzieje. Można przypuszczać, że Thespis, pierwszy aktor attycki oderwał pierwotny chór od świętego miejsca, prawdopodobnie w Ikarii. Postawił on przed publicznością, która była chórem niejako niemym, chór występujący jeszcze jako zbiorowy protagonista wespół z protagonistą indywidualnym, aktorem. Chór stanowił niejako etap pośredni między pra-pu-

blicznością i publicznością dzisiejszego typu, między tą, która jeszcze widomie współgra z aktorem i tą, która z nim i w nim coś przeżywa. Cały historyczny rozwój tragedii greckiej z tego stanowiska jest historią zanikania chóru, procesem jego wsiąkania w publiczność.

W japońskim teatrze sakralnym "nô" chór przebywa cały czas na scenie, ale nie jest jedynym widzialnym przedstawicielem audytorium. Wśród figur dramatu znajduje się jedna, która nazywa się "waki" i odróżnia się od wszystkich innych tym, że nie nosi maski — właśnie ona jest reprezentantem widowni. W teatrze greckim również tylko aktor nosił maskę, chór występował bez masek. Jeśli się pamięta w jaki sposób doszło do wydzielenia aktora z publiczności ta różnica — brak maski, brak symbolu wcielenia się w coś czy wcielenia czegoś — jest jasna i wymowna.

Do dziś w teatrze, który tak daleko odszedł od swoich początków, zdarza się, że wśród postaci sztuki jedna figura wypowiada uczucia publiczności i zadaje pytania jakby w jej imieniu. Czasem tę rolę spełnia tzw. "raisonneur", choć zwykło go się uważać za tubę autora. W świetle prehistorii, pierwotnej jedności aktora i autora, wychodzi to na jedno.

Pozostałością materialnego związku widowni i sceny są również chwytły, określane przez Francuzów terminem "acteur dans la salle" i od początku XVIII w. dosyć często stosowane. Ich rozszerzenie stanowi konwencja, traktująca scenę jako sąd a salę jako audytorium sądowe ("Proces Mary Dugan" B. Veiller'a). Podobnie Reinhardt w "Dantonie" Romain Rollanda, wystawionym w berlińskim Grosses Schauspielhaus, w scenie procesu traktował widownię jako salę sądową: wśród widzów siedzieli aktorzy i na rozmaite sposoby, niekiedy bardzo jaskrawe, wyrażali uczucia wobec tego, co się dzieje na scenie.

Ale i bez tego wszystkiego, nawet wtedy, gdy nie ma chóru albo gdy występuje on wyjątkowo jak w "Antygonie" Anouilh'a sprowadzony do jednej osoby, gdy nie ma reżonera albo też gdy staje się on czymś więcej niż reżonerem, jak dr Harcourt-Reilly w "Cocktail Party" Eliota — najbardziej pierwotny związek duchowy między widzem i aktorem istnieje ciągle. Gdy ten związek się zrywa, teatr traci sens. Przestaje istnieć.

Jest on szczególnie silnie odczuwany przez aktora. Dla niego publiczność jest zawsze niezbędnym partnerem, koniecznym dopełnieniem. Jest ona ciągle owym prawiecznym dawcą natchnienia, zapłonem, który go zapala. Dopiero wtedy, gdy to nastąpi, aktor zaczyna oddziaływać na widownię. Iści się cud przeistoczenia aktora i egzaltowanego uczestnictwa widza w tym przeistoczeniu. Powtarza się to samo, co się stało po raz pierwszy wówczas, gdy w środku koła zjawił się ktoś, kto zebrał w sobie jak w soczewce doznania całej gromady, stał się jej widomym wyrazicielem.

Szczególnie dobitny przykład tego uzależnienia aktora od widowni przedstawia szesnastowieczna commedia dell'arte. Jej

<sup>\*)</sup> Por. Tymon Terlecki: Funkcja społeczna teatru, "Życie Sztuki" t. III i osobno (Warszawa 1938).



aktorzy nie posługiwali się pełnym tekstem dramatycznym jak dzisiaj, ale ogólnikowym scenariuszem, znali tylko zasadniczą linię akcji, wzajemnie nie wiedzieli w jaki sposób każdy z nich za chwilę się zachowa i co zrobi. Improwizowali, oczywiście posługując się skrawkami pamiętanych dialogów, dowcipami, trickami, ale niosła ich fala natchnienia idąca z audytorium. Jego gorętszy odzew pobudzał do pomysłowości w tym kierunku lub w innym, uzależniał aktorów wzajemnie od siebie a całość widowiska od publiczności. Było ono w dosłownym znaczeniu wspólnym dziełem aktorów i widzów. Było niepowtarzalne, w najszerszym zakresie jednorazowe.

Związek widowni ze sceną jest przez widza odczuwany mniej świadomie, niż przez aktora, ale jest czymś jak najbardziej rzeczywistym. Widz przychodzi do teatru, aby przeżyć jakby dodatkowe istnienie, aby poprzez żywych ludzi zobaczyć siebie w odmienionej postaci, pomnożyć swoje ja w innych ja, przeżyć w nich swój los lub los, który mógłby być jego udziałem. Przez aktora widz uczestniczy w bycie szerszym od swego własnego bytu, podobnie jak przez tego, komu przekazał swoją część władzy uczestniczy w rządzie zbiorowości.

Uczestnictwo widza w świecie rojonym przez aktora jest tym żywsze, tym bardziej żywiołowe, im bardziej ów świat i aktor, który mu nadaje dotykany kształt odpowiadają ukrytym możliwościom i ukrytym potrzebom widowni, przepełniającemu ją nadmiarowi lub ngającym ją niedostatkom. Stąd pochodzi, że sama sztuka w tym samym wykonaniu raz "chwytą" mocniej, raz słabiej, jednego wieczoru ma lepsze, innego gorsze "przyjęcie". Stąd również pochodzi, że sztuki umierają tak szybko, szybciej, niż jakiegokolwiek dzieła ludzkie i że często niespodziewanie — zmartwychwstają.

Patrząc w głąb perspektywy nie trudno wskazać fakty potwierdzające pogląd o pierwotnej jedności, fizycznej tożsamości widza i aktora.

W teatrze attyckim wykonawcami tragedii byli zrazu obywatele. Spełniali to zadanie jako obowiązek religijny. Pierwsi wielcy tragicy Ajschylos i Sofokles grali we własnych sztukach na obraz pierwotnych mimów, którzy byli jednocześnie aktorami i autorami. Eurypides już nie występował na scenie; jeszcze przed nim zjawili się aktorzy zawodowi.

W średniowiecznym teatrze religijnym, gdy wyszedł on z kościoła na podwórzec przykościelny lub na rynek, gdy z rąk duchowieństwa przeszedł w ręce cechów, aktorami byli ich członkowie. I dla nich przygodne aktorstwo było "ministerium" (służbą Bożą) i dało nazwę "misterium" temu co wspólnie robili. Zachował się wymowny dokument z r. 1415, pokazujący jak gildie albo cechy w Yorku dzieliły role między siebie. Na garbarzy np. przypadło zaszczytne ale odpowiedzialne zadanie przedstawiać: "God the Father Almighty, creating and forming the Heavens, Angels and Archangels, Lucifer and the Angels that fell with Him to Hell" (Boga, Ojca wszech-

mogącego, tworzącego i kształtującego niebiosy, aniołów i archaniołów, oraz Lucyfera i anioły, które wraz z nim zostały stracone do piekieł).

Także teatr świecki dostarcza niejednego przykładu zacierania granic między widownią a sceną, między widzem i aktorem. Na dworze Ludwika XIV balety były nieraz tańczone przez szlachtę dworską. Nie wahał się brać w nich udziału ani sam "Król-Słońce", ani jego nadworny muzyk, przebiegły dworak i genialny artysta Jean Baptiste Lully.

Długo potem zdarzało się, że widzowie, co ważniejsi i bardziej wytworni, siedzieli nie tylko na widowni ale także — na scenie. Spędzili ich stamtąd dopiero Voltaire i Garrick.

Złożony stosunek zachodzący między widzem i aktorem może najściślej określa angielski termin "empathy", u nas szerzej nie znany a bodaj zasługujący na rozpowszechnienie. Psychologia angielska ukuła ten termin z nakazu konkurencyjnego: aby zastąpić niemiecką "Einfuehlung" (wczuwanie się) ale też bardzo wzbogaciła jego zakres. Słowo "empathy" utworzono przez analogię do słowa "sympathy" (przedrostek em-, en- w "empathy" oznacza kierunek, cel i osiągnięcie celu, jak polskie w; przedrostek sym-, syn- w "sympathy" oznacza jednoczesność, równoległość, jak polskie współ lub z) Sympatia to istnienie uczuciowe, wyobraźniowe, to odczuwanie równoległe z kimś lub czymś, współodczuwanie, współczucie. Empatia to takie samo uczuciowe, wyobraźniowe istnienie w kimś lub czymś, to wczuwanie się, przenoszenie siebie samego w coś lub w kogoś. Sympatia jest doznaniem bardziej świadomym, empatia bardziej odruchowym, bezwiednym. Ale najważniejszy składnik empatii stanowią wyobrażenia dotykowe i ruchowe, napięcia motoryczne.

Aktor studiując rolę, odtwarzając ją później na scenie stanowi najbardziej typowy, najbardziej skrajny przykład empatii. Urojonej postaci scenicznej oddaje on całe swoje ciało i duszę, czerpie z pamięci i z wyobraźni uczucia, ruchy, gesty, które czynią tę bezcielesną marę kimś stworzonym na nasz obraz i podobieństwo. Aktor rzutuje, niejako przerzuca całego siebie w urojenie. Przez chwilę to nie on oddycha, to nie w nim obiega jego krew, nie w nim rodzą się uczucia i obrazy, nie on wykonywa gesty i rozstrzyga tajemne sprawy duchowe, ale to wszystko dzieje się w kimś innym, w Hamlecie, w Królu Lirze i w Falstaffie, w Fauście, w Konradzie z "Dziadów" i Konradzie z "Wyzwolenia", w Orgonie, Raptusiewiczu i Milczku.

Widz, patrząc na aktora, słuchając jego słów, śledząc jego gesty, wnikając w jego psychikę, z kolei rzutuje siebie w postać wcieloną na scenie. Jest to proces pokrewny i bliski procesowi, który prowadzi do stworzenia kreacji scenicznej. W widzu także dochodzi do głosu cały świat doświadczeń wewnętrznych, wyobrażeń, przypomnień, a nawet odruchów mięśniowych i nerwowych, napięć i rozprężeń.



Być może wolno powiedzieć, że różnica między przyżyciem aktora i przeżyciem widza jest jedynie różnicą stopnia. Aktor wczuwa się widzialnie, dotykalnie w zmyśloną postać, wprzęga w to całego siebie. Widz czyni to samo, tylko niewidzialnie, bardziej nieświadomie i odruchowo. Można by do niego zastosować termin stworzony przez Karla Groosa "naśladowanie wewnętrzne"; występuje ono zwłaszcza wobec zjawisk i przedmiotów, niemożliwych do wcielenia aktorskiego, dc uczłowiczenia np. lot ptaka czy wieża gotycka.

Celem spotkania widza i aktora jest urojona postać sceniczna. Miejszem ich spotkania jest ciało i dusza, cała osobowość aktora. Im bogatszy, im trafniej dobrany, im doskonalej scalony jest materiał, z którego aktor tworzy swoje dzieło, tym mocniejsze jest wezwanie widza do empatii, do życia i wywyżczenia się w innym, podwojonym świecie.

Dzięki aktorowi widz albo wyzwala się od czegoś albo coś w sobie pomnaża, wyrzuca z siebie jakiś nadmiar albo dopełnia jakiś niedomiar, znajduje ulgę albo nasycenie. To jest istota stosunku, który zachodzi między aktorem a widzem, to jest istota teatru: pomnożenie energii duchowej w jednym przypadku, jej oswobodzenie i zniszczenie w drugim.

#### PERSPEKTYWY SOCJOLOGICZNE

Duchowy związek widza i aktora jest w istocie swojej niezmienny od zamierzchłych początków do dzisiaj. Linia psychologiczna, łącząca widza z aktorem wykazuje wahania małej amplitudy; są to wahania od wieczoru do wieczoru, od sztuki do sztuki, od jednej trupy do drugiej. Zawsze w pełniejszym lub mniej pełnym, doskonalszym lub mniej doskonałym stopniu urzeczywistnia się w teatrze ta szczególna jedność, w której znika granica dzieląca widza od aktora a ich obu od zmyślanej postaci scenicznej.

Zgoła odmiennie wygląda ta sama sprawa, gdy na nią spojrzeć ze stanowiska socjologii. Linia społecznego stosunku między widzem a aktorem przedstawia wahania olbrzymie: od kultu do całkowitego upośledzenia socjalnego, od aktora kapłana do aktora pariasa, nie zasługującego na pochówek w poświęconej ziemi. Publiczność raz poniża aktora, którego z samej siebie, ze swego łona wydała, drugi raz go wynosi niezmiernie wysoko.

Oto kilka faktów oświeclających tę tajemniczą sprzeczność. Dla Hindusów Bóg sam jest pierwszym aktorem: jego gesty poruszają świat, w tym co mówi mieszczą się wszystkie języki, a księżyc i gwiazdy służą mu za przybranie. Bóg także jest prawodawcą teatru. Jego natchnienie prowadziło mędrca Bharatę, gdy tworzył pierwsze widowisko, gdy w III wieku przed Chrystusem, w dziele "Natya Śastra" kodyfikował tę niebiańską inspirację i jej ziemskie urzeczywistnienie. W Indiach nie ma zrazu przedziału między religią i teatrem, między kapła-

nem i aktorem, tekstem świętym i tekstem scenicznym. Noszą one jedno znamię sakralne.

W Grecji było dość podobnie. Widowisko stanowiło uroczystość religijną, religijno-państwową. Aktor nosił w nim rytualną maskę i rytualny kostium jak w misteriach eleuzyńskich. Zawodowa gildia aktorska była potężną organizacją społeczną i gospodarczą; jej członkowie cieszyli się szczególnymi przywilejami, podobnymi do przywilejów przyznawanych duchownym: nie płacili podatków i byli zwolnieni od służby wojskowej.

W tym społecznym uprzywilejowaniu zwracają uwagę pewne rygory. Na scenie greckiej grali tylko mężczyźni, tak jak do dziś w japońskim "nô". Teatr hinduski i jawański nie dopuszcza na scenę mężczyzn i kobiet jednocześnie: występują na niej albo tylko kobiety, albo tylko mężczyźni. W Chinach kobiety bardzo niedawno, pod wpływem Zachodu, uzyskały dostęp do zawodu aktorskiego. Jest znamienne, że utraciły go w XVIII wieku, na mocy dekretu cesarza, który ożenił się z aktorką.

W starożytnym Rzymie obie płci na równi ukazywały się przed publicznością ale też stanowisko społeczne aktora było bardzo niskie: stawiano go na równi ze złodziejami i rajfurami. To nie kapłan jak w Indiach, to nie obywatel, nie członek szanowanej konfraterni, jak w Attyce, ale z reguły niewolnik, "infamis", niedopuszczany do służby wojskowej. Na tym tle Quintus Roscius, aktor z ostatnich czasów republiki, szanowany przez Sullę i darzony przyjaźnią przez Cyncerona jest czymś zupełnie wyjątkowym.

Ten stan rzeczy przechowuje się długo. Szczególnie Kościół katolicki, który z czasem da początek teatrowi, przez pierwsze wieki swego istnienia był nieprzejednany wobec człowieka trudniącego się aktorstwem; dekret z 452 r. stanowił, że "histriones" nie mogą być dopuszczani do sakramentów. Tę postawę tłumaczy ideowa i zwłaszcza moralna obcość późnego teatru rzymskiego. Mimusy i pantomimy epoki cesarskiej były rzeczywiście widowiskami wulgarnymi, odwoływały się do najniższych instynktów widza, z upodobaniem a bez umiaru poruszały tematy i motywy seksualne.

Ta dyskryminacja sięga głęboko w historię teatru europejskiego i ma zapewne źródło w pierwotnym stanowisku Kościoła. Słynna z urody Isabella Andreini, należąca do grupy komediantów "I Gelosi" dostała zaszczytu, że książę Mantui oświadczył, że dziecko do chrztu, królowa Francji obśpywała ją honorami, powszechnie podziwiano jej talenty, istotnie niezwykle, jej wyjątkową kulturę i czystość życia osobistego, ale gdy umarła, brakło dla niej miejsca na poświęconej ziemi. Genialna aktorka francuska z XVIII wieku Adrienne Lecouvreur miała taką pozycję społeczną i taką odwagę osobistą, że atakowała ze sceny księżącą rywalkę, została jednak pochowana nocą bez pogrzebu, w grobie, którego nigdy nie odnaleziono. Wielki tragik Talma, przyjaciel Napoleona,



spotkał się z odmową ślubu w kościele dlatego, że był aktorem.

W Anglii elżbietańskiej stanowisko społeczne aktora jest znośne, może nawet dobre. Aktorzy są sługami wielmożów, lub nawet króla ("Lusores Regis"). To raczej dramat jest lekceważony jako rodzaj literacki, niż człowiek, nadający mu kształt sceniczny. Można podejrzewać, że William Shakespeare więcej sobie cenił chude laury aktora, zdaje się wcale tłuste zyski przedsiębiorcy, niż geniusz twórczy, którego ani on sam, ani jego współcześni nie byli w pełni świadomi. Faktem jest, że pod koniec życia zdobył szlachectwo i dokończył swoich dni w najbardziej okazałym domu rodzinnego miasta.

Na tym tle zwraca uwagę, że w teatrze elżbietańskim role kobiet grali młodzi chłopcy. Kobiety zostały dopuszczone na scenę dopiero w wieku XVII i XVIII, co od razu stworzyło modę na "breches' parts", dwuznaczne sytuacje z przebieraniem się w męskie stroje. Reakcja purytańska jeszcze przedtem uderzyła w teatr z fanatyczną zjadliwością i w r. 1642 spowodowała zamknięcie teatrów na kilkadziesiąt lat i ściganie karą nie tylko aktorów ale nawet widzów. Jedno i drugie — motyw religijny i motyw moralny — sprawił, że aktorzy byli traktowani przez prawo jako "rogues and vagabondes" (łotrzykowie i włóczęgi).

Dopiero wiek XIX przyniósł zmianę. Za Jerzego IV w r. 1824 ukazał się Relieving Act uchylający tę haniebną kwalifikację. Z górą pół wieku później najbardziej mieszczańska, najbardziej rygorystyczna wśród monarchów europejskich królowa Wiktoria nadała w r. 1895 szlachectwo Henry Irvingowi.

W kontraście z tymi faktami zastanawia okoliczność, że w Polsce poniżenie aktorów nie występuje nigdy w tak jaskrawej postaci lub nie występuje w ogóle. Do czasów Modrzejewskiej każda aktorka po zamążpójściu za człowieka z "innej sfery" poddawała się towarzyskiej konwencji, nakazującej opuścić scenę. Tradycja przekazała wieści, że wyjątkowo swobodne życie Zapolskiej wzbudzało odruchy protestu. W "Komediantce" i w "Fermentach" Reymonta można się dopatrzeć świadectwa socjalnej dyskryminacji aktora w pewnych warstwach. Ale te i podobne fakty są niczym w porównaniu z faktami, których dostarcza daleka i bliska historia teatru europejskiego i światowego. Przyczyny tej odmienności są złożone.

Najpierw teatr zawodowy jest u nas zjawiskiem stosunkowo późnym: pierwszy teatr publiczny powstaje w Warszawie w r. 1765, gdy w Anglii istniał dwa wieki wcześniej, w r. 1576.

Po wtóre pierwsi aktorzy zawodowi wywodzili się u nas z warstwy szlacheckiej. Szlachcicem był "ojciec teatru polskiego" Wojciech Bogusławski i w jego pierwszej kompanii bodaj trudno było znaleźć nieherbowych. Gdzie indziej aktorzy rekrutowali się z mieszczaństwa: Szekspir był synem rzeźnika, Moliere synem tapicera. Proces deklasowania się warstwy uprzywilejowanej, jej odchodzenie od ziemi, z powodów politycznych przebiegający u nas inaczej, niż gdzie indziej, pod-

trzymywał tę tradycję i jej następstwa społeczne.

Ale bodaj największy wpływ na odrębność oceny społecznej aktorstwa w Polsce miało to, że od pierwszych lat życia, właśnie od Bogusławskiego teatr i aktor zespolicili się ze sprawą narodową. Jeśli w zaborze carskim język polski można było słyszeć tylko z kazalnicy i ze sceny, tylko w kościele i w teatrze, w odczuciu społeczeństwa powstawał najbardziej naturalny, pierwotny sprzęg skojarzeń, a na aktora padał blask kapiańskiego powołania i posłannictwa. W walce o ocalenie odrębności narodowej i odzyskanie niepodległości odegrał on rolę zbliżającą się do roli literatury. To stawiało go w samym środku uwagi i na szczycie dążeń zbiorowych.

Zestawiony tutaj, dosyć kontrastowy, materiał faktyczny umożliwia próbne uogólnienia na temat stosunku widza do aktora w wymiarze społecznym.

Bez większego hazardu można zaryzykować stwierdzenie natury historycznej: laicyzacja teatru obniża stanowisko socjalne aktora; na scenie świeckiej odbudowuje on to stanowisko podwójnym dążeniem do wysokiego poziomu artystycznego i wysokiego poziomu moralnego.

Nie tylko historyczną ale zdaje się ciągle żywą wartość mają następujące stwierdzenia:

Widz sądzi i ocenia aktora według swego własnego systemu wartości. Od tego, gdzie w owej skali, gdzie w powszechnie uznanym systemie wartości aktor umieści sam siebie, zależy jego pozycja społeczna, jego godność osobista i zawodowa.

Im działanie aktora jest bliższe religijnej, sakralnej roli teatru, tym wyższe zajmuje on stanowisko w społeczeństwie. W teatrze liturgicznym, który rodzi się z obrzędu i mieści się w murach kościoła, duchowny jest aktorem, w teatrze laickim aktor w jakimś przenośnym ale istotnym sensie nie przestaje być kapłanem.

Im bardziej ambicje i możliwości oddalają go od tej roli, im jaskrawiej przekracza on obowiązujące normy moralne, im obojętniejszy się staje na wielkie sprawy, wielkie uczucia, wielkie zagadnienia, które poruszają jego zbiorowością, tym niżej spycha aktor samego siebie na drabinie społecznej.

Zachodzi i tutaj jakby zjawisko "empatii społecznej", działające w obie strony. Teatr, aktor mogą sięgać głęboko w treść przeżyć zbiorowych, w tajemny puls życia gromadnego. Widz mierzy teatr i aktora tą samą miarą, "empatycznie", intuicyjnie dostraja do osiągniętej przez nich miary swoją ocenę i kwalifikację społeczną.

Nie ma sztuki, nie ma dzieła sztuki, które wiązało by się z odbiorcą tylu tak czułymi i głębokimi powiązaniami. Bo też sztuka teatru urzeczywistnia się przez żywego człowieka, a jej dzieło jest przelotnym, ludzko śmiertelnym istnieniem człowieka stworzonego i stwarzającego na obraz i podobieństwo Boga, na obraz i podobieństwo nas samych.

Tymon TERLECKI.



## «It is our custom»

Arthurowi poświęcam.

“Och, jak z wami trudno, jacy wy jesteście nieznosni. Przyjedźcie, nic nie rozumiecie, a jak tylko inaczej jak u nas, to już zaraz krytyka. Przecież nie jest tu wam tak źle. Posiedźcie dłużej, potem krytykujcie!”

I do tego, ile z wami facecji, ukłonów, przeprosin, i ciągle “pszešana” i “pszešana”. U nas od pierwszej chwili “Joe” i “Arthur” i klepiemy się po ramieniu — tak mówi do nas Arthur, popijając whisky w polskiej “karczmie”, małej piwniczce, winiarni w Chicago, tuż koło Milwaukee Place.

Przyszliśmy tam w dzień święta narodowego, po wizycie u Dipisów na sali Matejki, gdzie poznałem Arthura, studenta medycyny. Jest potężny, barczysty i patrzy na wszystkich prosto, przyjaźnie i wojowniczo zarazem. Przychodzi do sali Matejki co niedzielę, gra w szachy, gawędzi i pije piwo z przybyszami z Niemiec. Zainteresował się nimi. Bynajmniej ich nie idealizuje, gdy go coś w nich razi, mówi im to w oczy. Uderzył mnie ciepły stosunek do niego, Dipisów, o tyle starszych od niego, smutnych ludzi. “Zdaje się, że lubi z nami przebywać” — mówią mi z rzadkim na ich twarzy uśmiechem.

Arthur mówi po polsku źle, zaledwie rozumie, gdy czyta po polsku, jest “American born” i namiętnym patriotą amerykańskim. Tutaj wśród Dipisów odkrywa jakąś Polskę, której nie znał, czy prawie nie znał i pomimo intensywniej pracy na uniwersytecie zaczął brać lekcje polskiego. Rodzice jego przybyli z Polski. Wszystko co osiągnął, osiągnął ciężką pracą. Ma koło 30 lat. Jest medykiem na ukończeniu, pracował przez 4 lata w fabryce, nieraz na dwie zmiany, by zebrać potrzebnych parę tysięcy dolarów na swój uniwersytet.

Wchodzimy do winiarni. Można tu kupić polskie kiełbasy i różne alkohole. Schodzimy wąską drewnianą drabinką schodów do miejsca uprzywilejowanego, małej piwniczki: półki z butelkami wokoło jednego heblowanego stołu. Jest kapitan Hallerczyk, filar Związku Narodowego, jest mecenas, jeden z niewielu Dipisów władających biegle paru językami, wytrawny prawnik, już dziś pracujący w tymże związku, jest redaktor

Białasiewicz, b. prezes międzynarodowego związku dziennikarzy w Niemczech, no i jest Arthur, jedyny z nas American.

W “karczmie” jest whisky, jest cherry, potem znowu whisky-born. W “karczmie” jest whisky, cherry, potem znowu whisky.

Mówię szczerze o moich wrażeniach ze święta narodowego, o tym, że ta mieszanina wodewilu i wzniosłości, mieszanina, którą widzę w Ameryce wszędzie, tak samo na święcie polskim jak na rewii irlandzkiej w New Yorku czy na rewii lojalności, mnie razi, że nie umiem cieszyć się gołymi łydkami i operetkowymi czakami, a jednocześnie wzruszać się obrońcami Warszawy. Arthur wybucha gwałtownie, agresywnie, broniąc tego stylu:

— *It is our custom.* Jecyście wy wszyscy nudni, wszystko się wam nie podoba. *It is our custom.* Więc i humor krytykujecie! A jak jest u Szekspira? Tam jest także tragedia i także komedia, a jednocześnie humor i nawet pornografia. Wszystko razem pomieszan.

(To porównanie mnie zastanowiło. Powtórzyłem je wybitnemu pisarzowi amerykańskiemu. “Słusznie panu odpowiedział, tylko że ja bym zamiast Szekspira powiedział... Marlow. Tam jest rzeczywistość i tragedia i komedia i humor najbardziej płaski: — *l'humeur le plus bas*).

Agresywność Arthura nie tylko nie jest nieprzyjemna, ale nawet wzrusza i cieszy. Tyle w niej szczerości i młodości. W każdym słowie przebija przekonanie tego Amerykanina, że jedno tylko, co jest między człowiekiem a człowiekiem niedopuszczalne, to obojętność, to formalna uprzejmość, to “pszešana”. Przebija wiara, że kontakt człowieka z człowiekiem jest możliwy, że nie jest żadnym złudzeniem i oparty być musi na odruchowym zaufaniu każdego człowieka do każdego człowieka. A nie na formach zdawkowej uprzejmości. Spotykam w nim te same co u nas punkty newralgiczne, pasje do tych samych zagadnień, tylko że wszystko przełamane w świadomości młodego entuzjasty, młodego szczęśliwego kraju.

Ale skąd ten American born student, namiętny patriotą amerykański, ciągnie do nas Polaków? Czy nie prościej zapomnieć o Polsce, jak najszybciej zerwać więzy z krajem dalekim, biednym i zawsze nieszczęśliwym. Co powoduje, że ten chłopak szuka naszego towarzystwa? Nie tylko jest dla nas dobry, ale i my jesteśmy mu po jakimś przyjemni czy pożyteczni.

Jest w jego zainteresowaniu Polską akcent dla mnie nowy, zupełnie inny niż uczucie do kraju starych ludzi, którzy kraj nasz opuścili w młodości, ten kraj wbrew wszystkiemu ma dla nich urok nieodparty kraju lat dzieciennych.

U Arthura to zainteresowanie, ten pociąg do starego kraju wyrasta z potrzeby pełnowartościowego człowieczeństwa, potrzeby kulturalnego, historycznego zaplecza. Dla Arthura dotychczas Polska to był kraj najcięższej pracy i nędzy, a jednocześnie to kraj najukochańszej matki, z której pracy i z któ-



rej miłości on wyrósł. Kwiat kultury to dla niego była nie Polska, to przez język angielski, to przez amerykański uniwersytet Arthur odkrywa kulturę. Przecież nie przez polskie gazety wychodzące w Ameryce, pewnie ich nie czyta, bo trudno bardzo mu czytać w polskim języku. A do tego jakże rzadko można w tych gazetach znaleźć coś co przypomina literaturę, z wyjątkiem w odcinkach drukowanych dzieł Rodziwiczówny, ostatecznie Sienkiewicza, lub wierszy Konopnickiej, a to wszystko jest literaturą w najlepszym razie drugorzędną, dla człowieka, który już wie, co znaczy wielka literatura.

— Bo, czy pan zna takiego pisarza — mówi mi — co się nazywa Szekspir? Ależ on jest wspaniały, on mówi o Kleopatrze, jakby ona żyła dziś, cóż za poeta!

Dla Arthura drogi poprzez które dociera do niego kultura, to pewnie też muzea w Chicago, ale czegoż może się on w nich dowiedzieć o kulturze polskiej?

Odwiedziłem w tym mieście dwa muzea: Art Gallery i Muzeum Polskie. Art Gallery to jedno z muzeów Ameryki, które zrobiło na mnie największe wrażenie. A to jest wiele, bo my nie wyobrażamy sobie w Europie nie tylko tej ilości arcydzieł sztuki tam przewiezionych, ale inteligencji i troski, z jaką te dzieła są wystawione. Nie będę wyliczał, ale choć wspomnę nierównane obrazy Greca, Velasqueza, kobietę służebną, Mauritanke wśród naczyni, koszów, w białym zawoju na głowie. Nie pamiętam bym w Prado widział piękniejszego Velasqueza, cudny portret Rembrandta: dziewczynka w czerwonych koralach, odlewy naturalnej wielkości nie tylko portalu, ale całego frontonu jednej ze świątyń francuskich. A sztuka nowoczesna! Kolekcje najpiękniejszych Cézanne'ów wielkie płótna Toulouse-Lautrec'a, nieznany i drogocenny Van Gogh. Utrilla z "białej" epoki i prawie cała sala Picassa, to wszystko co mówię, to część drobniotka kolekcji; ilość i gatunek eksponatów sztuki chińskiej, robi wrażenie bogactwa nie do ogarnięcia. Przy tym wszystko jest pełne młodzieży, młodzieży która rysuje, notuje. Widzę chłopaka o twarzy Keats'a o delikatnych rysach, zapisuje swoje wrażenia patrząc na obrazy Dali'ego i Miro, przy nim jego kolega, młody Japończyk, patrzy uważnie i także coś zapisuje, jakby pilnie naśladował kolegę. W sali hiszpańskiej oprowadzają dość galerią znudzonych chłopców wśród których nagle wybucha gwałtowne zainteresowanie, gdy między Velasquezy i Greki jeden z dozorców przywozi maszynowy odkurzacz na kółkach. O salę dalej uroczą, młodzieńca nauczycielka tłumaczy cierpliwie malutkim dziewczynkom czar kolorów, usadzając je pod włoskami prymitywami a potem pod ogromnym obrazem Seurata! Dalej widzę paru mężczyzn w kitlach: przymierzają nowy nabytek — Rubensa do ścian, wahając się czy go zawiesić na tle szarym czy kremowym. Widząc, że się tym interesują, natychmiast mnie wciągają do współpracy, pytają o moje zdanie, i zapraszają, bym wracał. To muzeum jest żywe, w tym muzeum są entuzjaści młodzi i starzy, w tym muzeum

są arcydzieła, naprawdę arcydzieła, zwiezione z całej kuli ziemskiej. Schodząc po schodach niżej, odkrywam szereg sal sztuki ludowej. Sale są bez okien, nieduże, świetnie oświetlone ukrytymi lampami elektrycznymi. Są tkaniny, jest garncarstwo, indyjskie, meksykańskie, południowo-amerykańskie, i cała sala sztuki ludowej szwedzkiej. Piękne malowidła 18-wieczne, malowane na płóciennych obiciach ściennych, przewiezione tutaj i z jakim smakiem, z jaką inteligencją pokazane. W Chicago jest 200-tysięczna emigracja szwedzka. Szwedzi tu zamieszkali to dzieci emigracji, datującej się z tych samych w przybliżeniu lat co nasza, z lat wielkich głodów w Szwecji, sprzed 1900 r. Ci ludzie, którzy tu przybyli, przybyli również za chlebem. Amerykanie szwedzkiego pochodzenia chodząc do tego muzeum, mają poczucie swego zaplecza kulturalnego, wysokiej, zakorzenionej w Szwecji od wieków, kultury.

Darmo jednak szukałem chociażby najmniejszej salki polskiej. Przecież Chicago to największe skupisko polskiej emigracji. Mówi się o 600 tys. Polaków. Cyfra ta naturalnie jest niepewna i płynna. Każdy inaczej ustawia granicę oddzielającą Polaków od Amerykanów, których związek ze starą ojczyzną coraz bardziej jest nikły. Faktem jest jednak, że te setki tysięcy, to emigracja przeważnie chłopska. Dzisiaj dostatnia. Wielu Polaków doszło do wielkich fortun. Nikomu widać nie przyszło do głowy, by pokazać współobywatelom swego miasta w tej Art Gallery i polską sztukę ludową.

Rządy Bieruta stwarzając w Polsce warunki tak ciężkie dla życia religijnego, podgryzając wszędzie gdzie się da, wpływy religijne, nie wahały się zorganizować dla zagranicy wystawy polskiej sztuki ludowej, przeważnie religijnej. Ta wystawa wywołała, nie przesadzam, sensację w Paryżu. Do tej sztuki ludowej, zapalił się Picasso, a Malraux zdążył do swojej "Historii Sztuki", do trzeciego tomu, kapitalnego pod względem treści i formy wydawniczej, który już był w druku, włączyć parę reprodukcji z tejże polskiej wystawy, reprodukcji polskich malowideł na szkle i polskich świątków. Kto mający środki w Ameryce pomyślał, że tą sztuką ludową polską możemy Amerykę zadziwić, na pewno nie mniej od Szwedów, że te świątki rzeźbione i wykuvane przez braci, ojców i dziadków tych chłopów, którzy przybyli do Chicago, są świadectwem wielkiej tradycji, nie tylko artystycznej, ale i duchowej w najszerszym słowa tego znaczeniu. Jeżeli Arthur tam szukał polskiej kultury, wyjść musiał ze świadomością, że polskiej kultury nie ma.

Odwiedziłem również jedyne muzeum polskie Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce. Głównym twórcą tego muzeum był człowiek ogromnych zasług, autor wielkiej ilości prac o Ameryce, Mieczysław Haiman, który do śmierci się szarpał, by to Muzeum wzbogacić, by wyprosić, wyebrać parę dolarów na zamówienie jakiejś dodatkowej gabloty czy szafy dla zbiorów. Ale jeżeli dziś porównać te dwa muzea, ogarnia przerażenie różnicy poziomu tej prowincjonalnej dżun-



gli pamiątek, upchanych, bez pojęcia o sztuce muzealnej, bez poczucia jakiegokolwiek hierarchii wartości i oddalonej o mie-dzę Art Gallery! Kosynierzy, Hallerczycy i Legioniści z wosku naturalnej wielkości, okropne mebelki z pokoju Paderewskiego, cenne druki, fotografie i trzeciorzędne obrazy. W tym lesie znalazłem przecie jedną piękną rzeźbę wiejskiego świątka. Wyrzuciła go tu fala wojenna, przysłano go na wystawę w New Yorku w 1939 r. Ale i ten świątek ustawiony w kącie wśród innych eksponatów nie narzuca się widzowi, trzeba go dopiero odkryć. Któż z obcych, zwiedzających, jeżeli tacy w ogóle istnieją, będzie miał na to cierpliwość. Tam odnalazłem również pozapychane po ścianach obrazy wówczas "młodych" malarzy polskich, także na wystawę w 1939 r. wysłanych. (Najlepszych malarzy tamtej generacji: Cybisa, Waliszewskiego, Czyżewskiego — nie odnalazłem). Te płótna uderzyły mnie przeciętnością, z drugiej ręki, pod Paryż i pod Pruszkowskiego. Znalazłem tam i mój obraz: Gołębnik. Zrobił na mnie wrażenie w kolorze głuche, ciężkie i trzeciorzędne. Obrazy tej klasy nie mogą być uważane za dobrą propagandę.

Jeżeli i w tym muzeum był Arthur, to dla niego kultura Polska to pewnie mebelki Paderewskiego, panopticum polskich żołnierzy no i słabe malarstwo!

Więc skąd ten czytelnik i entuzjasta "Cezara i Kleopatry", który już nie ma wspólnego języka z masą starej emigracji, skąd ten człowiek ciągnie do Polski?

— ... bo w moim uniwersytecie na 18 tys. studentów było 5 Polaków. I to jak im mówiłem "dzień dobry", to się wstydziła i odpowiadali "I do not understand Polish" i dlatego jak tylko ja jestem tam, gdzie nie ma Polaków, to ja się robię agresywnym, żeby wiedzieli, że Polacy też są".

— ... nie ma Polski — mówi ze złością — Niemcy tak, żydzi tak, ale nas to nie ma". I milknie zły. I potem zaczyna mówić dalej już głosem miększym.

— Cóż — ja nic nie wiem o Polsce. Musiałem wcześniej pracować, moja matka miała 12 dzieci, 6 wychowała tu w Ameryce, sama myjąc po nocach talerze u Greka. Ona była z Suwalskiej gubernii. Ojciec mój umarł zaraz po moim urodzeniu, ja byłem najmłodszy. O Polsce tyle wiem, że kiedy mamie kawałek chleba spadał ze stołu na ziemię, to moja matka go podnosiła, całowała i zjadała. Kiedy ja raz nie chciałem jeść chleba, tej skórki twardej na końcu chleba, matka mi nie dała kolacji. Aż potem, już późno zjadłem ze smakiem, bo byłem głodny. Tyle wiem o Polsce co ten kawałek chleba. — Arthur patrzy, milcząc, swymi krótkowzrocznymi jasnymi oczami przez okulary na niedopity kieliszek.

Mam ze sobą w teczkę książkę tłumaczeń poezji polskiej Michaela "Polish Antology". Pokazuje mu jeden z wierszy, na jednej stronie jest tekst po polsku, na drugiej po angielsku. Arthur czyta z trudem, wciąż rzucając okiem na tłumaczenie angielskie.

«Do kraju tego gdzie kruszynę chleba»...  
«To that land where people raise a crum  
of bread from the ground out

Podnoszą z ziemi przez uszanowanie  
dla darów Nieba

of respect for the gifts of Heaven  
I yearn o Lord».

Arthur cichnie, patrzy uważnie na strony książki. Przecie to tu, w obcej książce, znajduje on gest Zmarłej, której wspomnienie wciąż jeszcze dla niego jest obecne i rozdzierające. Matka te kruszyny chleba ciężko zapracowane także podnosiła z ziemi przez uszanowanie dla darów Nieba i ona tym gestem wiekowym prowadziła swe dziecko w świat dziwny i daleki polskiej kultury. Teraz ta jedna strofa poprzez gest matki, otwiera Arthurowi na zawsze dla tylu ludzi na siedem pieczęci zamkniętą szkatułę skarbów polskiej poezji. Kiedyś, w Galerii londyńskiej, po latach pracy nad malarstwem, umęczonej i bezpłodnej, zobaczyłem malutkiego Corota. Mężczyzna w szarych, długich spodniach siedział na siwym koniu na tle ciemnej zgaszonej zieleni. Ten jeden mały obrazek powiedział mi wszystko. Dzisiaj zdaje mi się, że już niczego więcej się później nie dowiedziałem, że w tej jednej chwili zrozumiałem w czym tkwi muzyka i w czym tkwi sens malarstwa.

Już teraz łatwo mi jest pokazać Arthurowi inne wiersze Norwida. Z radością patrzę na jego reakcję, na jego śmiech, kiedy czyta:

Kandelabry się skrzywią na realizm  
I wymalowane papugi  
Na plafonie jak długi  
Z dziobu w dziób zawołają: «Socjalizm».

Albo na błyskawiczne zrozumienie tak trudnego wiersza, jak "Cacka":

Myślałem, że wieszczów było tyle  
Ile jest blizn dotkliwych, a które  
Przez form czary, przez stosowną chwilę  
Opatrują się i leczą w porę.

Tego poetę, który nie czytany i nie drukowany pisał "na Babilon" — przecież nawet Krasiński i Cieszkowski twierdzili, że jest "ciemny" — Arthur, którego matka była z "Suwalskiej gubernii", wchłania dzisiaj z niechybnym czuciem sensu i plastyki słowa i metafory. Już teraz nie da się Arthura wciągnąć do dyskusji. Ma nos wetknięty w książkę.

Ty wspomnisz, późny wnuku...



Nagle tu, do naszej karczmy, Białasiewicz przynosi nam ostatni numer "Kultury"; nadszedł pocztą lotniczą. Na pierwszej stronie testament Piłsudskiego. Czytamy go wszyscy na zalanym whisky heblowanym stole. Każdy z nas ma za sobą inny świat przeżyć, jakże wszyscy jesteśmy różni, a przecie te słowa umierającego Marszałka, te strofy Słowackiego, pisane drżącą ręką, robią na nas wszystkich wrażenie wstrząsające. Białasiewicz zapisuje sobie w karnecie kieszonkowym parę zdań. Milczymy. A przecież ten testament wywołał reakcje tak różne. Pytam parę tygodni potem świetnego pisarza polskiego o jego wrażenie: "Zawsze uważałem Piłsudskiego za grafomana, zresztą bardzo wielkiego człowieka" — odpowiada mi nieoczekiwanie oschle.

— Czytała pani testament Piłsudskiego? — pytam w Waszyngtonie młodą działaczkę polską z Warszawy. Robi minę jakby się napiła octu. "Ten testament raz na zawsze odrzucił mnie od Piłsudskiego. Cóż za patos!"

Nie rozumiem tego zupełnie, przecież i mnie są niejednokrotnie obce niektóre zdania Piłsudskiego, zbudowane zbyt patetycznie, grandiloquentnie, ale co z tego? Czy na prawdę ten testament może nie wzruszyć? Zupełnie nie rozumiem, jak dokument tej miary mógł być dotychczas nieopublikowany. Czy doprawdy polityka tak zasłaniała moment ludzki wśród otoczenia Piłsudskiego i widocznie zasłania dotychczas, jeżeli ogłoszenie tego testamentu w "Kulturze" prasa polska prawie, że przemilczała. Przecie tylu ludzi już dziś nieżyjących kochało Piłsudskiego-człowieka. Oni mieli prawo znać ten testament. Ten umierający na raka stary człowiek, od którego czekają wskazówek politycznych i który pisze pismem nierównym, bez znaków przestankowych, cytując Słowackiego nieścisłe, bo z pamięci, bo już tak wrosły w niego te słowa: "Gdy mogąc wybrać wybrał zamiast domu gniazdo na skałach", i to ostatnie wyznanie: "Tak żyłem", i potem dalej ta prośba do wszystkich, co go kochali, by sprowadzić zwłoki matki z Sugint, wilkomierskiego powiatu, które są dzisiaj pewno głodnym niewolniczym kołchozem, i jeszcze ten wiersz z "Wacława"

*«Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą  
Za innych śladem iść tą samą drogą».*

kończąc słowami: "Przed śmiercią Mama mi kazała to po kilka razy dla niej czytać".

To "Mama" umierającego człowieka.

Dziwne są drogi poezji. Może to "Mama" Marszałka nagle zbliżyło nas wszystkich, nas i młodego medyka amerykańskiego, nie tylko do umierającego Marszałka, ale i do Słowackiego.

Widzi pan, mówię Arthurowi, pan nie rozumie, dlaczego tak źle reagujemy na "your customs", na wasze święta i na wasze obyczaje, ale tu w tej strofie Słowackiego ma pan odpowiedź. Boli pana, że my tu jesteśmy przyjmowani gościnnie, że znajdujemy pracę, że jesteśmy syci, a ciągle krytykujemy. Ale widzi

pan, "dumni nieszczęściem nie mogą za innych śladem iść tą samą drogą".

Nie trzeba wcale być dumnym nieszczęściem, nawet nie bardzo rozumiem takiego uczucia. Wystarczy *być* nieszczęśliwym. Wystarczy mieć inny kręgosłup przeżyć, zamiast wspomnień sukcesów, wspomnienia porażek czy katastrof, i już inna reakcja, inne odruchy. Ci ludzie tutaj przybyli będą się starali; lata przejdą i może, jeżeli ich tęsknota nie zeżre, ci, którzy mają więcej giętkości, albo ci, o których mówił Słowacki, że w sercu ich "nie trwa myśl nawet godziny", nabędą jeszcze ten styl tujejszy, radosny i wesoły i te wszystkie obchody będą czuli jako swój obyczaj. Ci najmłodsi z przybyszów — na pewno, ale większość tych starszych — prawdopodobnie nie. To trzeba zrozumieć, bo oni już nie mogą "za innych śladem iść tą samą drogą".

Wobec Słowacki nas tutaj pogodził. Nie wiem, czy jest poeta błyskawicznie działający, diamentowym błyskiem swojej mowy, olśniewającym lekkim skrótem metafory, nie tylko na Polaków, ale i na cudzoziemców, czy pół cudzoziemców. Jeden z dwóch najbardziej uniwersalnych naszych poetów (za drugiego uważam Norwida). Jakże obaj mało jeszcze są znani zagranicą, z naszej, i tylko z naszej winy. Przecie ten sam Słowacki, którego Piłsudski miał zawsze przy sobie i tak często cytował, był ukończonym poetą Cziczierina, pierwszego po Trockim komisarza spraw zagranicznych w Rosji sowieckiej i przyjaciela Lenina, który umarł w niełasce odcięty od wszystkich, pisząc życie Mozarta.

Cziczierin, będąc w Polsce, mieszkał jako młody student, w Krakowie, u mojej babki, na Wolskiej. Fenomenalnie uzdolniony poliglota, po przybyciu do Krakowa zabrał się zaraz do polskiego języka i do polskiej poezji i tak się do Słowackiego roznamietnił, że w listach do prof. Mariana Zdziechowskiego, pisał, że nigdzie, w całej światowej literaturze nie spotkał takiego rozmachu, polotu, "Schwungu" (ten Schwung był w liście napisany po niemiecku). Ten wyznawca światowej poezji i świetny muzyk chciał wówczas pisać o Słowackim jako prekursorze Nietzschego, a jakie 30 lat później, gdy jako komisarz spraw zagranicznych przyjmował u siebie na śniadaniu naszego posła Darowskiego, po wręczeniu przez niego listów uwierzytelniających, deklamował mu zaczął Słowackiego po polsku. Darowski bardzo się stropił, bo nawet nie wiedział, czyje to wiersze.

Znam polską uczoną działaczkę i patriotkę, wychowaną w Wiedniu, w zaustriaczonym rodzinie, z matki Niemki. Wyznała mi kiedyś, że mając 12 lat przeczytała "Testament" Słowackiego. Od *tej chwili*, pamięta to doskonale, stała się Polką bezpowrotnie i na zawsze.

Norwid "chwycił", myślę sobie, siedząc przy Arthurze, w piwniczce. Spróbuję teraz Słowackiego. Waham się jednak. Czy nie będzie dla niego zbyt romantyczny i "anielski"? Daję mu "Te-



stament" do czytania. Ale widzę, że Arthur czyta z wzrastającą uwagą i zachwytem.

*«Być sternikiem duchami napelnionej łodzi i tak cicho  
odlecieć jak duch, gdy odlata»*

*As quietly as the soul, when it flies away*

I ten wiersz ostatni, który zna w Polsce każde dziecko,

*«lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,  
aż was zjadaczy chleba w aniołów przerobi»*

*... you, eaters of bread, as to raise you into — angels.*

— Więc to jest wasza polska filozofia? — mówi Arthur — ona jest bardzo mistyczna. To wy nie musicie jej tracić nigdy. Żaden inteligent nie ma prawa jej tracić.

Jest późno. Wszyscy obecni, z wyjątkiem mnie, od rana idą do roboty. Arthur odwozi nas wszystkich długim czarnym autem. Bo to jest właśnie paradoks Ameryki. Biedny student ma piękne auto. Dojeżdżamy do mego hotelu, gdzie jest światło, 6 wind w ruchu, wciąż tłumy. Dziś jest specjalne ożywienie, przyjechał Aga Khan. Zapraszam ich jeszcze na chwilę do hotelowego baru. Ściany i sufit pomalowane na granatowo "pod niebo". Bar jest pół ciemny (nastroj), a na "niebie" lampki elektryczne, — gwiazdy i wielki księżyc w pełni jak żywy. Arthur już jest nie do rozmowy. Wypisuje starannie jeden z wierszy miłosnych Tuwima i strofy Norwida.

Dziś, tutaj przychodzą do mnie do Paryża listy Arthura. Piśmi mi w jednym: "Moja jedyna radość jest polska poezja, teraz jestem na Kasprowicza". A w drugim: "Pan rozumie, że moja nauka tyczy się z medycyną i mój czas do nauki polskiego języka jest ograniczony. Ale te parę słów i wierszyki co mogę nauczyć się są pociechą dla mnie. Czy pan rozumie, że poezja jest szalony luksus dla mnie, np. ten wiersz:

*«Rozmłowała się ma dusza  
W cichym szeleście drzew,  
Gdy koronami ich porusza  
Mój druh przecichy wiew».*

Te słowa "rozmłowała", ma takie nuance, co w angielskim języku nie ma! Shakespeare, który mówią jest uniwersalny, nie mógł napisać podobny wiersz... Tylko staram się skomunikować do Pana, że nawet te drobnostki są bogactwo dla mnie".

Może pisma polskie, zamiast wciąż mówić, że emigrant nie rozumie podobno bogatego polskiego języka, zrobiłyby ma-lutkie rubryki wielkiej i tej niby trudnej polskiej poezji, może by wówczas zdobyły dla siebie czytelników z tej właśnie generacji, która już gazet polskich nie czyta, może łatwiej tym nowym czytelnikom byłoby przeczytać Słowackiego i Kaspro-wicza, niż wielkie artykuły o "Panusiach w kapelusiach".

Na drugi dzień przyjeżdża do mnie Arthur w białym kitlu. Wyrwał się wprost ze szpitala: "Co ja panu będę piękne ulice pokazywał. Ja wolę slumsy pokazać, do rzeźni pana zawiozę. To wszystko ciekawsze".

Jedziemy do rzeźni. Jest duszna pogoda. Jedziemy kilometrami przez podobne do siebie ulice, o niskich domach, widzimy ogłoszenia w różnych językach, szyby sklepów nie myte, brudne rynsztoki i dzieci śmigające po ulicy, murzyńskie, meksykańskie, polskie czy włoskie. Arthur staje, przed starym domem, zbudowanym wśród samej nędzy chicagowskiej. Jakaś organizacja zajmuje się tutaj dziećmi wszelkiego koloru i wszelkiej narodowości. Staroświeckie pokoje, ściany obwieszono fotografiami dobrodziejów i inspiratorów, m. in.: Krapotkin i duża fotografia portretu Tołstoja z brodą i w chłopskiej rubaszce, pędzla Riepina. Przyjmują nas sympatyczne panie starsze, skromnie ubrane, z gładko zaczesanymi siwymi włosami. Sala zabaw, sala muzyczna, dzieci różnego wieku bawiące się tutaj, gdy rodzice są przy pracy. Jakże dobrze mi znany ten nastrój, ten sam na całym świecie ofiarnej, cichej i na prawdę bezinteresownej pracy.

Ruszamy dalej. Auta się prześcigają i trąbią wściekle przy każdym zatrzymaniu, jeżeli natychmiast nie ruszyć po zmianie światła. Arthur burczy: "Te cholerzy nie mają żadnej grzeczności". Wciąż jedziemy po tych ulicach, brudnych, niskich i bez drzew, bez śladu nawet próby estetyki.

— O, pan to nie wie, jacy tu są ludzie. Tu mogą w nocy młodzi, 14-letni chłopcy, złapać starego pijanego człowieka, zawlec go do zaułka, bić go, rzucić o ziemię i kopać w twarz, i to przeważnie robią Polacy i Włosi. — Ta uwaga mnie zaskakuje. W dniu mego przyjazdu do New Yorku szedł młody muzyk o 3 w nocy do domu, przez Madison Ave.

Czterech chłopaków, wyglądali na wysportowanych uczniów college'u, zagroziło mu drogę i powiedzieli, że chcą go obić. Widział ich po raz pierwszy w życiu. Muzyk miał żydowskie nazwisko. Może to był wybryk antysemicki, a może najprościej krzepa paru młodych drani. Bili go, powalili na ziemię i kopali również w twarz. Przerwał tę zabawę kierowca taksówki, który muzyka przewiózł do komisariatu. Tam obejrzano rany na twarzy, potłuczenia i powiedziano mu, że może wracać do domu, że to nie ważne. Na drugi dzień lekarz stwierdził, że muzyk ma uszkodzone oko, że mógł je łatwo stracić. To opowiada nie mam z całkiem wiarygodnego źródła i tutaj je wspominam, bo Arthur mi znów mówi o kopaniu w twarz. Stwierdzam, że sam nie widziałem nie tylko nic podobnego, ale nic co by nawet dawało przecucie takich możliwości. Ilek razy po nocy przechodziłem przez Central Park, gdzie pono tak często kradną, gwałcą i mordują. Nigdy nie widziałem nic poza mniej lub więcej "aktywnie" zakochanymi parami. Niemniej wystarczy czytać gazety, żeby wiedzieć, że akty brutalne są na porządku dziennym i tam, że nie ma w tym nic dziwnego. Dzikie tempo,



brak wyładowania poza pracą, nagle wybuchy woli użycia, czy woli gwałtu. Ludzie wszystkich ras i wszystkich krajów, przy tym ten klimat, to tropikalny, nieoddychalnie duszny, to północny z szalonymi zawiejami, te skupiska potężne. I cóż dziwnego, że życie tutaj ma *także* przejawy brutalne.

Jedziemy wciąż tymi samymi, tak podobnymi ulicami. Na skrzyżowaniu pędzi motocyklem policjant "A to drań, a to złodziej!!" — woła Arthur. "Ja tych policjantów widzieć nie mogę, bo to oni moralność kontrolują! Ja raz byłem w lesie z jedną panią. To była mężatka. Ale nic, naprawdę nic złego nie robiliśmy. To taki do nas podjechał patrzeć czy nie robimy jakiejś fornikacji. Widział, że nic, a kazał żebyśmy nasze dokumenty pokazali, że nas zapisze. Pan rozumie to zawsze nieprzyjemnie. Chciał wtedy, żebym coś zapłacił, ja jestem biedny student i tak jemu powiedziałem. Otworzyłem portmonetkę. Tam były cztery dolary. Jak ja długo je zbierałem. A on zaraz lampkę elektryczną wetknął do portmonetki i te cztery dolary wziął. Oni na tym grubo zarabiają. Bywa przecie taki co ma żonę, dom, dzieci, ale mu to nie wystarcza i czasami pójdzie z dziewczynką. To on i czterdzieści i sto dolarów zapłaci, żeby go nie zapisywać".

— Są naturalnie i inne policjanci. Teraz nowe, weterani. Teraz sprawiedliwe policjanci. Raz to mnie złapał jak ja w aucie jechałem, że szybkość za duża, że robi raport. I kazał płacić. "Justice for all". Ja jemu powiedziałem, że biedny jestem i mówił: "Zmieszaj sprawiedliwość z miłosierdziem" — a on nie. To był uczciwy chłop. A ja wtedy ostrożnie, ale tak go błędnym językiem: Jak ty będziesz miał dwoje dzieci, to ty będziesz brał sto dolarów. To suknia dla żony, to można do kina chodzić. Ale ten to był z tych sprawiedliwych".



Zajeżdżamy do rzeźni, do miasta rzeźni. Miliony szyn, parkanów, gmachów najróżniejszej wielkości, ulic i na każdym rogu pilnujących przepustek policjantów. Jest duszno, kurz i cuchnie. Wszyscy nam pozwalają przejeżdżać, bo kitel medyka wzbudza zaufanie. Arthur zaczyna wszystkich robotników i gada z nimi z tą samą braterską obcesowością. Zajeżdżamy do jednej z niezliczonych przychodni lekarskich. Siedzi rozwalony w krzesle gruby Murzyn i czeka swej kolejki. "Co ci jest?" — pyta Arthur. Murzyn odpowiada półgębkiem nie ruszając się z miejsca: "Mam reumatyzm w kościach, niech administracja płaci. Tu się nabiłem choroby, przy pracy". Jest południe. Robotnicy na ulicy się włóczą, gawędzą, słyszę śmiechy. Wielu Murzynów. Wszędzie ta sama prostota obcowania między ludźmi, jakieś odruchowe wzajemne zaufanie. To zdaje mi się najbardziej w Ameryce pociągające. Koleżeństwo ludzi, nawet takich, którzy nigdy się nie widzieli i nigdy się już może nie zobaczą. Koleżeństwo i usługowość jako norma.

Spotkałem tu, już w Paryżu, Amerykanke, żonę Europejczyka,

przyjaciółkę sprzed 17-tu lat. Powiedziała mi z cieniem goryczy: "Tu w Europie ciągle mi mówią, że my Amerykanie jesteśmy łatwi, że u nas zaraz przyjaźń, ale że ona nie wiele warta. Że tu w Europie jest dopiero przyjaźń, że trzeba ją zdobywać tu latami — ale też trwa lata. Ależ ja *nie mam czasu* czekać lata na jakąś przyjaźń. Byłam teraz z synkiem w Ameryce. Byłam w Kanadzie do Vancouveru, a wróciłam przez Kalifornię, New Orlean i New York. Nie mogłabym wyliczyć ileśmy doznali serca, natychmiastowej odruchowej pomocy od obcych ludzi, których już nigdy nie zobaczymy. Nie, to nie jest zdawkowe. Na pomoc nie można czekać 10 lat. Trzeba umieć pomóc *zaraz* nieznajomemu. I to jest w Ameryce, a tego jest stokrotnie mniej w Europie". Gdy mi to powiedziała już tu, w Paryżu, pomyślałem o Arthurze. Jego odruchy wszystkie, które zdążyłem podpatrzeć, były właśnie pod tym względem najbardziej amerykańskie. Jakże chętnie się mówi w Europie o tym, że ludzie, którzy tam przyjeżdżają barbaryzują się. Ale zapominaamy, jak się tam uczą *usługowości*, koleżeństwa, braterstwa amerykańskiego. Pewien mój przyjaciel wyjechał z synkiem i żoną do New Yorku. Pracuje ciężko, żona również, nie władają angielskim. Poznali wypadkowo Amerykanke; pochodzenie: żydowska rodzina ze Lwowa. Ta kobieta, właścicielka domu w New Yorku, już od paru dziesiątków lat nie miała stosunków z Polakami, jest zupełnie zamerykanizowana. "Pierwsze co musicie zrobić, to nauczyć się języka", — mówi moim przyjaciółom. I od pierwszego spotkania już wiele miesięcy codziennie przychodzi i uczy ich darmo angielskiego. "Ja nie mam słów wdzięczności" — mówi mi mój przyjaciel — "nawet niedzieli nam nie przypuściła ani jednej. A jak żona zachorowała i do szpitala zaprowadziła i dziecka doglądała, takiej dobroci nie widziałem nigdy".

W drodze powrotnej z rzeźni do hotelu wypytuję Arthura o rodzinę. — Moja matka nas wszystkich na ludzi wyprowadziła. Ojciec odumiał mnie jak miałem kilka tygodni. Mama pracowała po nocach, a siostra starsza od szesnastego roku życia w fabryce. Ja jeszcze pamiętam jej ręce, zgrubiałe i pocięte. Dwóch braci mi już umarło. Jeden to miał czterdzieści lat. Był w szkole profesor. Jak ja go kochałem! On był dobry. Ja miałem wtedy czternaście lat i powiedziałem jemu, że na pewno Boga nie ma, bo ja go nie widzę. On z taką dobrocią mi mówił argumenty, że to, że ja nie widzę, to jeszcze nic nie znaczy. I to tak mówił ze mną, zawsze poważnie, jak z dorosłym.

— Drugi brat umarł dwa lata temu. Mieszkał z nami. Miał atak serca. Chłop był silny. I nagle go ramię zaczęło boleć. I tak się tylko skręcał. Ja już byłem wtedy medyk. Ja go położyłem i zaczęłem masować. I sam sobie mówiłem — ja nie wiem, czy jestem agnostyk, czy atheist, czy mistyk... ale jeżeli ty jesteś Bóg to daj, żeby moja siła w niego weszła. Umarł. Siostra tak płakała i krzyku narobiła. A ja ani jednej łzy nie miałem.



łem. Ale jak śpię to jego widzę i płaczę. I budzę się i jeszcze mam na ustach to mówione słowo, co mówiłem we śnie.

— Moja matka — mówi dalej po przerwie Arthur — jakże ona się cieszyła, że ja się uczę, zawsze mówiła: ucz się, ucz się... Jak szedłem do profesora: "Weź czystą koszulę". Ja mówiłem, że tylko wczoraj nosiłem. A ona mówiła: "Nie — jak do profesora to nałóż czystą. Musisz być zawsze czysty". Pamiętam jak mnie wysłała do szkoły w ubraniu łatanym i mówiła: "nie potrzebujesz się wstydzić, bo ubranie czyste". A ja się wstydziłem. Miałem kolegów Niemców i Żydów, a oni mieli po 80 centów, żeby ice-cream kupić. Jak ja mamę często męczyłem: "Daj dwa centy, daj dwa centy". Aż mama miotła musiała mnie dać po tyłek.

— Mama umarła jak miała 67 lat. Ja byłem najmłodszy. Tak mnie mama całowała, tak pieściła i zawsze "ucz się!" Jak ja już byłem studentem, doczekać się nie mogła aż ja będę doktor. I tak mnie pytała po cichu: "już serce widziałeś, już kroisz?"

— Czy matka pana do śmierci tak ciężko pracowała?

— Nie, już jakieś dziesięć, piętnaście ostatnich lat dzieci ją utrzymywały. Już kiedy byłem studentem to mamie mówiłem: "pojedziesz mama do Polski. Pierwszy tysiąc zarobiony będzie twój. Ja mam czas, a ty już nie masz czasu. Pojedziesz do Polski na statku i będą skakać przed mamą i hierbatki podawać co chwila, a ty mama siedzieć sobie będziesz i nic nie robić". Mama lubiła jeść tłusto, masło, śmietankę, jak kawa to koniecznie ze śmietanką nie z mlekiem. A ja mamie mówiłem: "nie jedz mama tłusto, to mamie szkodzi". A ona wtedy śmiała się: "To na cóż ja całe życie pracowałam. Na co dzieci mam dorosłych, czy ja nie mogę sobie na tłuste jedzenie pozwolić?" A raz wchodzi do pokoju, a mama jadła chleb grubo masłem nałożony i tak popatrzała na mnie. Jak to po polsku... guilty? winnie".

— To ja ją zawsze tak w senu widzę. I ja płaczę i mówię jej: "jedz mama, jedz ile chcesz".

Arthur opowiada to wszystko polszczyzną pełną błędów, ale plastyczną dźwięczną z nieoczekiwaną, prawdopodobnie z angielskiego żywcem wziętą metaforą. I nawet błędy dźwięcza.

Profesor Składkowski, który wykłada polonistykę na Uniwersytecie de Paul w Chicago i ma ponad dwudziestu uczniów, mówi mi, że jeden z nich przygotowuje pracę doktorską o zmianach fonetycznych języka polskiego w Ameryce. Nie znam się na języku, ale wiem, że od czasu moich rozmów z kierownicą Prąkiewiczem, z którym tysiące kilometrów przejeździłem w czasie wojny we Włoszech, nie miałem takiej rozkoszy słuchania mowy polskiej. Nienawidzę purystów (wiem, wiem, że i oni potrzebni). Ale język polski i tutaj musi nasiąknąć tą dziwną gwarą amerykańską. Jakiś Norwid czy Mickiewicz i z tej polszczyzny by wyniósł "ponad gramatyczne" zwroty i nowe metafory. Słuchając tej mowy żywej, pełnej błędów nieoczekiwanych, ale tak giętkiej i wyrażającej każdy cień jego myśli wspominam to zdanie Norwida z listu do Fontany o mowie popraw-

nej, w której zaskrzepłoby wszelkie obcowanie żywiołów ducha i sił, "i byłaby mowa arcykrystaliczną zamarzłą sadzawką, której szyby dawałyby się geometrycznie rąbać i układać... ale to nawet wspomnienia po sobie nie pozostawia".

Pewien znawca literatury angielskiej i wyznawca Eliota, malarz angielski, mówił mi o niebezpieczeństwie takiego zamarzania mowy angielskiej w Anglii, twierdził, że właśnie slang amerykański może ten język odmłodzić. Może i z tego slangu polskiego można by wprowadzić niejedną zwrot do polszczyzny. Przecież Celine z gwary paryskiej potrafi zrobić literaturę.

Zajeżdżamy do mieszkania Arthura. Typowe mieszkanko w dzielnicy półmurzyńskiej, prędzej biednej. Na ścianach oleodruki, a między nimi duża fotografia Piłsudskiego i Paderewski siedzący przy fortepianie, czerwony i złoty, ze złotymi dymami wpływającymi z tego fortepianu. Główny stół w salonie zawalony książkami i papierami. Arthur pokazuje mi tomy poezji, które kupuje po 5, 10, 15 centów u bukinisty. I odkrywa poetów, jak odkrył Szekspira, zupełnie samodzielnie. Nie obchodzi go, czy pisarz ten jest sławny, czy przez wszystkich zapoznany. Teraz mi próbuje tłumaczyć na polski liryczny wiersz filadelfijskiej poetki o rudych liściach jesiennych. Zupełny brak snobizmu literackiego. I tak samo w poezji i tak samo w życiu ocena bezpośrednia, własna, bez oglądania się na nikogo. Mieszanina amerykańskiej prostoty zdobywczej wobec świata i braterskiej zarazem, zaufania do siebie, optymizmu i miłości życia z rzadką wrażliwością artystyczną i czułością serca. Fanatyczne przywiązanie do Ameryki a jednocześnie gwałtowna potrzeba nawiązania nici z Polską, wykrycia czym jest ta Polska, do której czuje dziwny pociąg, chociaż wie o niej tak mało. Tak mało? Może wie o niej to co najważniejsze, ten chleb podnoszony z ziemi.

Pokazuje mi fotografie braci "czy ma Pan fotografie matki?". "Tak mam" — mówi po wahaniu — aleśmy ją schowali do kufra. Nam bardzo ciężko na tę fotografię patrzeć. Ale mam jej głos, na płycie. Idzie do gramofonu i puszcza płytę.

— Mama umarła kiedy ja byłem na uniwersytecie. Jak już umierała to takim mocnym głosem powiedziała: "Good-Bye everybody".



Parę dni potem opuszczam Chicago. Żegnamy się z Arthurem przed moim hotelem. Wsiadam z jego auta. Można się zatrzymać, tyle czasu tylko, by wysiąść z auta, bo przed nami i za nami sznury samochodów i wszyscy "trąbią cholerzy, bo nie mają grzeczności".

Arthur siedzi przy kierownicy i ruszając dalej, jeszcze ponad spuszczoną szybą wychyla głowę i pyta: "Bo jak to jest w tym wierszu, żeby z tych, co chleb jedzą zrobić aniołów?" Poprawiam już krzycząc z trotuaru: "I was zjadaczy chleba".

"It is fine" — mówi z szerokim młodym uśmiechem i rusza dalej.

Józef CZAPSKI.



## Sprawy krajowe

### Sytuacja gospodarcza Polski (II)

#### PLAN SZESZCIOLETNI

##### I.

Plan trzyletni zakończył się wraz z rokiem 1949. Na długo przed jego zakończeniem zapowiadano wprowadzenie nowego planu, o dłuższym okresie trwania i o ambitnych celach już nie odbudowy, ale przebudowy gospodarczej państwa.

Zmiana struktury gospodarczej Polski wydaje się bezsporną koniecznością. Szczególnie pilnym zadaniem jest rozbudowa istniejącego przemysłu i stwarzanie nowych przemysłów, które by mogły wykorzystywać istniejące w Polsce surowce i dawać możliwości produktywniej pracy dla siły roboczej dotychczas nie wykorzystanej.

Prace nad planem długoterminowym były rozpoczęte w Polsce już w 1947 r. O ile się nie mylę — istniał nawet specjalny departament w Centralnym Urzędzie Planowania, odpowiedzialny za prace w tym kierunku. Pojawiały się też zaczątki dyskusji nad głównymi kierunkami rozwoju gospodarczego Polski.

Od początków 1948 r. sprawy długofalowego planu zostały usunięte nawet z tak skromnego jak dotychczas forum publicznego. Dyskusja nad założeniami planu przeniosła się wyłącznie do gabinetów najwyższych organów partyjnych. Ministerstwa miały w tej dyskusji rolę tylko ekspertów dla wydawania opinii technicznych. Główny rzut planu, jego istota, zostały narzucone z góry.

Pierwszy zarys nowego planu został przedstawiony uroczystie na Kongresie Zjednoczeniowym P. P. R. i P. P. S. w grudniu 1948 r. w Warszawie.<sup>1)</sup> Od tego czasu cyfry planu zmieniały się kilkakrotnie. Narodziny planu nie były łatwe. Dziś wiemy, że

1) Przemówienie H. Minca, Trybuna Ludu, Warszawa 21 grudnia 1948 r.

Sowieci wywierali silną i ciągłą presję na podniesienie zadań produkcyjnych planu. Wydaje się też, że żądania sowieckie nabrały na pewien opór w K.C. P.Z.P.P.R., bo plan — w jego ostatecznej formie — został ogłoszony dopiero w lipcu 1950<sup>2)</sup>, a więc w 7 miesięcy od chwili, w której miał zacząć obowiązywać, a w 19 miesięcy od chwili ogłoszenia pierwszego projektu. Do tego czasu opracowano przynajmniej pięć wariantów, z których każdy podnosił cyfry produkcji. Plan ciągle jednak uważany był przez specjalistów sowieckich za niewystarczający. W Warszawie zaczęto nawet mówić o "kryzysie planowania". Wreszcie plan został ustalony i ogłoszony.

W porównaniu z pierwszym zarysem założenia planu nie uległy zmianie, natomiast cyfry zostały podniesione bardzo znacznie. Wystarczy wskazać, że wzrost planowanej produkcji przemysłowej, który określano początkowo na 90% podniesiono do 160%, a więc prawie dwukrotnie. Produkcja rolna miała być podniesiona w końcu planu sześcioletniego o 40% w stosunku przewidywanej produkcji na rok 1949. Dzięki wyjątkowo pomyślnym warunkom klimatycznym w 1949 r. produkcja rolna była wyższa niż przewidziano i niż mogłaby być w normalnych warunkach klimatycznych. Mimo to — zadania dla rolnictwa podwyższono o dalsze 23% tak, że ma ona osiągnąć w 1955 r. o 63% więcej niż planowano w pierwszej redakcji planu, a o 50% więcej niż osiągnięto rzeczywiście w wyjątkowym roku 1949.

Już w końcu 1948 r. plan nazywał się "Planem budowy fundamentów socjalizmu w Polsce". Nazwa ta podkreślała fakt, że istotnym zadaniem planu jest osiągnięcie celów politycznych, jest wprowadzenie ustroju socjalistycznego — należy domyśleć się — na wzór sowiecki. Przebudowa gospodarcza jest zadaniem wtórnym, podporządkowanym i pomocniczym dla istoty planu. W ostatecznym sformułowaniu plan jeszcze bardziej uwydatnia to zadanie.

Istotne zadania planu zostały wyliczone w następujących pięciu punktach:

- 1) Znaczne podniesienie produkcji ze szczególnym podkreśleniem produkcji dóbr inwestycyjnych.
- 2) Zniszczenie "elementów kapitalistycznych" w tych dziedzinach, w których jeszcze występują.
- 3) "Dobrowolne przekształcenie poważnej części gospodarstw małorolnych i średniorolnych w gospodarstwa zespołowe".
- 4) "Oparte na zasadach socjalistycznej solidarności i wzajemnej pomocy pogłębienie i zacieśnienie wzajemnych stosunków ekonomicznych i współpracy gospodarczej" z Z.S.S.R. i innymi krajami komunistycznymi.
- 5) "Znaczny wzrost dobrobytu materialnego" mas pracujących.

2) Ustawa z dn. 21 lipca 1950 o sześcioletnim planie rozwoju gospodarczego i budowy podstaw socjalizmu na lata 1950-1955; Dz. Ust. Nr 37 z dnia 30 sierpnia 1950.



Widzimy z tego, że na pięć zadań planu tylko dwa, pierwszy i piąty mają charakter czysto gospodarczy, przy czym jest rzeczą znaną, że wzrost dobrobytu ludności postawiono na ostatnim miejscu w planie. Trudno nie zauważyć tu pewnej szczerości komunistów, z tym zastrzeżeniem, że nawet na tym skromnym miejscu jest on tylko dekoracją propagandową planu.

Punkt pierwszy ujmuje istotę potrzeb gospodarczych Polski. Dla Polski, kraju, cofniętego w rozwoju gospodarczym w stosunku do większości krajów europejskich, podniesienie poziomu wytwórczości jest bezwzględnie koniecznością. Aby stworzyć możliwości wydajnej pracy dla całej ludności, aby zaopatrzyć ją dostatecznie w żywność, odzież i mieszkania trzeba produkować więcej, lepiej i taniej. Trzeba kłaść nacisk na wytwarzanie dóbr inwestycyjnych, które umożliwiają rozwój przemysłu, rolnictwa i innych działów życia gospodarczego. Jest to w warunkach polskich konieczne i słuszne.

Dla podniesienia wytwórczości w kraju należy jednak użyć w sposób optymalny wszelkich czynników gospodarczych będących do dyspozycji. Jest to szczególnie ważne jeżeli żąda się od własnych obywateli ciągłych ofiar i ciągłych wyrzeczeń. Świadomy obywatel musi mieć pewność, że jego wysiłek i poświęcenie prowadzi naprawdę do rozbudowy kraju i do stworzenia w bliskiej przyszłości lepszych warunków bytu dla niego i jego bliskich, a nie dopiero gdzieś dla jego pra-prawnuków, którzy go w tej chwili mało obchodzą.

Plan sześcioletni pokazuje jednak, że jego twórcom nie zależy na pełnym wykorzystaniu elementów gospodarczych w Polsce dla szybkiej rozbudowy kraju. Zaraz bowiem na drugim i trzecim miejscu postawiono zadanie bądź zniszczenia tej części produkcji, która nie znajduje się pod bezpośrednią kontrolą państwa, bądź kolektywizację rolnictwa wbrew oczywistemu niebezpieczeństwu zmniejszenia produkcji rolnej i zmniejszenia spożycia wśród ludności rolniczej. Dlatego też plan sześcioletni jest przede wszystkim planem służącym do wprowadzenia do Polski ustroju komunistycznego na wzór sowiecki, a następnie dopiero planem rozbudowy gospodarczej.

Niszczenie drobnych zakładów przemysłowych i samodzielnych gospodarstw chłopskich tylko dlatego, że pozostają one w rękach prywatnych jest nonsensem gospodarczym tak jasnym, że nawet prasa komunistyczna nie usiłuje tłumaczyć tego względami ekonomicznymi. Dla usprawiedliwienia używa się wyświechtanych frazesów propagandowych o konieczności zniszczenia kapitalizmu, o wrogach klasowych, o sabotażu gospodarczym. W istocie reżim komunistyczny jest tak moralnie słaby, tak mało czuje poparcia w społeczeństwie, że nie może pozwolić na istnienie jednostek, posiadających choćby cień niezależności gospodarczej, bo to daje pewne podstawy niezależności politycznej i wolności myśli. Niszczenie drobnej przedsiębiorczości prywatnej jest zagadnieniem politycznym, które

ułatwi partii komunistycznej kierowanie państwem i całkowite podporządkowanie sobie społeczeństwa materialnie zależnego od państwa. Z punktu widzenia rozwoju gospodarczego kraju, pełnego wykorzystania surowców, oraz energii i zdolności ludzkich takie posunięcie jest katastrofalne.

Oczywiście, na użytek wewnętrzny prasa komunistyczna tylko wyjątkowo pisze o istotnych politycznych celach planu. Jeżeli robi to, to ostrożnie i bez jasnego stwierdzenia, że chodzi o wprowadzenie w Polsce ustroju komunistycznego na wzór Rosji sowieckiej, dla zrównania stosunków gospodarczych i społecznych w obu krajach, dla łatwiejszego wchłonięcia Polski przez Rosję. A przecież dla wykonania zadań materialnych postawionych przez plan potrzebna jest całkowita mobilizacja energii, zapału i poświęcenia społeczeństwa. Mobilizację taką można uzyskać wskazując ludności atrakcyjne cele, pobudzające wyobraźnię i ambicję, i dające nadzieję, że po ich osiągnięciu życie stanie się łatwiejsze. Oczywiście, cele polityczne nie spełniłyby tego zadania. Dlatego też w omówieniach planu sześcioletniego wskazuje się wyłącznie na cele gospodarcze: odbudowę miast, a szczególnie Warszawy, budowę nowych hut, kopalni, fabryk, produkcję maszyn i sprzętu technicznego dotychczas w Polsce nie wytwarzanego, rozbudowę komunikacji, zagospodarowanie województw gospodarczo zacofanych. Nade wszystko zaś mówi się o podniesieniu stopy życiowej ludności. Jest to obietnica, której dotychczas nie dotrzymano i prawdopodobnie się jej nie dotrzyma, tak jak w Rosji Sowieckiej.

Niektóre z zadań gospodarczych postawionych w planie mogą pobudzić Polaków do gorliwej pracy dla ich uzyskania. Wiele z nich jest niezbędnie potrzebnych dla kraju i należałoby szczerze życzyć sobie by zostały osiągnięte. Patrząc jednak na plan jako całość nie sposób oprzeć się przekonaniu, że wyniki olbrzymiego wysiłku ludności nie zostaną w całości w kraju i że Polska jako naród będzie wpadała w coraz większą niewolę sowiecką.

Punkt czwarty planu sześcioletniego mówi o pogłębieniu i zacieśnieniu wzajemnych stosunków gospodarczych z Rosją Sowiecką oraz z innymi krajami komunistycznymi. Punkt ten jest nowością w stosunku do pierwszej redakcji planu z grudnia 1948. Wprawdzie jest on osłodzony stwierdzeniem, że stosunki te mają być oparte na zasadach solidarności i wzajemnej pomocy, ale są to słowa, a nawet według oświadczenia Stalina, między Polakami a Rosją słowa się nie liczą — liczą się czyny.

Punkt ten kryje ważną treść. Pogłębianie wzajemnych stosunków gospodarczych z Rosją i innymi krajami komunistycznymi mogłoby w zasadzie przynieść wzajemne korzyści gospodarcze. Międzynarodowy podział pracy na dużym obszarze wolnym od ceł i innych hamulców dla swobodnego przepływu dóbr i usług mógłby ułatwić rozbudowę gospodarczą Polski. Przemysł włókienniczy Łodzi i Białegostoku, przemysł metalowy Warszawy i



wiele innych zostały zbudowane niegdyś dla wielkiego rynku Rosji. Jeśli taka współpraca byłaby możliwa na wzajemnie korzystnych warunkach, trudno byłoby podnosić zarzuty przeciw temu. Założeniem planu jest jednak coś innego. Chodzi mianowicie o oderwanie Polski od organizmu gospodarczego Europy Zachodniej z którym Polska wzajemnie się uzupełnia, i zwrócenie gospodarki polskiej w możliwie największym zakresie w kierunku gospodarki sowieckiej. I tak np. w hutnictwie produkcja surówki ma być nastawiona na rudę sprowadzaną z Krzywego Rogu, a nie jak dotychczas na szwedzką. W przemyśle przetwórczym nacisk położony jest na przemysł maszynowy, a zwłaszcza maszyny potrzebne Rosji, jak lokomotywy, lub tabor kolejowy. Rolnictwo jest dziedziną stosunkowo zaniedbaną, mimo, że produkcja rolna Polski jest przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony krajów Europy Zachodniej. W transporcie przewiduje się budowę wielkiej drogi wodnej Wschód-Zachód przez Bug i Dniepr.<sup>1)</sup>

Najwymowniejszą jednak ilustracją planowanego oderwania gospodarczego Polski od Zachodu, a włączenia go do bloku wschodniego jest dziedzina handlu zagranicznego. Dane dotyczące tego zagadnienia podaje poniższa tabelka.

**Tab. I. Obroty handlowe Polski z Z. S. S. R. i innymi krajami komunistycznymi.**

| ROK  | Ogólna wartość obrotów w milj. dolarów z 1949 | W tym obroty z Z.S.S.R. i inn. krajami komun. | Udział procentowy bloku komunistycznego |
|------|-----------------------------------------------|-----------------------------------------------|-----------------------------------------|
| 1938 | 940                                           | 100                                           | 11 <sup>1)</sup>                        |
| 1947 | 655                                           | 244                                           | 37                                      |
| 1949 | 1253                                          | 550                                           | 44                                      |
| 1955 | 1750                                          | 1190                                          | 68                                      |

Uwagi: Poza Z.S.S.R. dodano obroty z nast. krajami: Czechosłowacja, Niemcy Wsch., Węgry, Rumunia, Bułgaria, Chiny.

1) Obrót handlowy z Niemcami Wschod. przyjęto na 100 mil. zł. z 38 r.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w tekście ustawy o planie nie ma wzmianki o handlu zagranicznym. Nie mówi o tym nie konkretnego H. Minc w swym omówieniu planu.<sup>2)</sup> Być może autorzy planu nie chcieli wiązać się zbyt mocno ustawą w tym względzie. Być może uważają, cyfrę 68% należy zmienić. W dół, czy w górę? Przyszłość to okaże.

Należy tu również zwrócić uwagę, że rozwój handlu zagranicznego tak Polski jak i innych krajów Europy Wsch. nie rozwija się równomiernie w ramach bloku. Rozwija się on w sposób gwiazdzisty w kierunku Z.S.S.R. Tak np. Polska kupuje ru-

1) Budowa kanału Odra-Dunaj, o której tyle pisano w ostatnich latach w polskiej i czeskiej prasie nie jest w planie wymieniona.

2) *Nowe Drogi* nr 4 Warszawa 1950.

muńską naftę poprzez Rosję, a polski węgiel trafia do Finlandii tą samą drogą. Współpraca gospodarcza między Polską a Czechosłowacją która rozpoczęła się w 1947 r., i do której oba kraje przywiązywały tak dużą rolę staje się coraz bardziej formalna, coraz bardziej papierkowa. Jest to jednak zagadnienie odrębne.

Plan sześcioletni jest, jak już wspomniano, planem politycznym. Wydaje się rzeczą konieczną poddanie go głębokiej analizie z punktu widzenia politycznego. Nie jest to jednakże zadaniem tego artykułu. W tej chwili chcemy zająć się jedynie jego stroną gospodarczą.

Uderzającą cechą planu sześcioletniego jest brak zasadniczych danych gospodarczych, które umożliwiłyby zorientowanie się w istotnych proporcjach planu. Plan, w formie w jakiej został ogłoszony w Dzienniku Ustaw robi wrażenie dokumentu technicznego, a nie ekonomicznego. Wypełniony jest mnóstwem postanowień dotyczących szczegółów gospodarczych nieraz o drugorzędnym znaczeniu, nie ma natomiast omówień zasadniczych, których brak w dokumencie tego rodzaju jest uderzający. Jest to zgodne z ogólną polityką rządu komunistycznego, który, o ile to tylko możliwe, stara się, żeby ludność nie zdawała sobie sprawy z istotnych jego zamiarów, oraz, aby nie mogła spojrzeć na zagadnienia gospodarcze z pewnej perspektywy, umożliwiającej objęcie całości gospodarstwa narodowego.

Istotą każdego planu gospodarczego na skalę państwa jest planowanie dochodu narodowego. W każdym państwie produkuje się co roku pewną ilość dóbr i usług. Suma tych dóbr i usług tworzy Produkt Narodowy. Powstaje on w różnych działach życia gospodarczego np. w przemyśle, rolnictwie, budownictwie itp. Przy tworzeniu się produktu narodowego ludność i władze czerpią dochody w postaci płac, zysków, procentów od kapitału itp. Suma tych dochodów tworzy Dochód Narodowy. Z kolei uzyskane dochody wydatkowane są na bieżącą konsumpcję lub inwestycje. Suma tych wydatków tworzy Wydatki Narodowe.

Trzy te wielkości są odbiciem tego samego procesu i teoretycznie winny być sobie równe<sup>1)</sup>. W języku polskim ogólnie i niezbyt dokładnie nazywamy te trzy działy zagadnień gospodarczych Dochodem Narodowym. Powstawanie tego dochodu, jego wielkość, jego podział i konsumpcja jest centralnym zagadnieniem gospodarczym. Obliczenie Dochodu Narodowego, jego analiza dostarcza istotnych elementów dla polityki gospodarczej każdego kraju. Nie można wyobrazić sobie dzisiaj działalności gospodarczej jakiegokolwiek rządu bez badań i analizy Dochodu Narodowego.

1) W języku angielskim ustalili się następujące terminy: National Product, National Income, National Expenditure.



Plan sześcioletni nie daje żadnych danych dotyczących tego zasadniczego zagadnienia.

W braku danych w planie należy odtworzyć sobie obraz Dochodu Narodowego Polski własnymi siłami, na podstawie skąpych danych rozrzuconych w publikacjach polskich. Poniżej podajemy zestawienie Dochodu Narodowego Polski w ostatnich latach, jak również jego przypuszczalną wielkość w ostatnim roku planu, tzn. w 1955 r.<sup>1)</sup> Aby uniknąć nieporozumień należy mieć na uwadze, że dochód przedstawiony w latach powojennych wzięty jest ze źródeł warszawskich. Cyfry dla 1938 zostały oszacowane przez autora dla możliwości porównania z latami powojennymi, w których Dochód Narodowy został obliczony według tzw. "metody marksistowskiej". Wprawdzie metoda ta była znana i praktykowana już w monarchii austro-węgierskiej przed pierwszą wojną światową i dzisiaj jest stosowana szeroko w krajach kapitalistycznych jako jeden ze sposobów przedstawiania Dochodu Narodowego,<sup>2)</sup> to jednak nie przeszkadza to komunistom w rozdmuchaniu tej prostej sprawy do rozmiaru zasadniczego problemu. Dochodu Narodowego przedstawionego poniżej nie można porównać, bez wprowadzenia dodatkowych pozycji, z Dochodem Narodowym państw zachodnio-europejskich.

Do poszczególnych cyfr w podanej niżej tabelce można mieć zastrzeżenia. Szczególnie obliczanie dochodu w przemyśle w 1947 i 1949 roku wydaje się wygórowane. Zestawienie to jednak pokazuje na ogół proporcje między poszczególnymi działami gospodarczymi, a przede wszystkim pokazuje stosunek produkcji przemysłowej do produkcji rolnej. Zestawienie to jest ilustracją zmian strukturalnych w gospodarce Polski na przestrzeni ostatnich 10 lat, oraz jasno wskazuje kierunek i rozmiar przebudowy gospodarczej w planie sześcioletnim.

Tab. II. **Rozwój Dochodu Narodowego w Polsce**  
(w miliardach złotych, w cenach z 1937 r.)

|                         | 1938  |     | 1947  |     | 1949  |     | 1955  |     |
|-------------------------|-------|-----|-------|-----|-------|-----|-------|-----|
|                         | w zł. | w % | w zł. | w % | w zł. | w % | w zł. | w % |
| <b>OGÓŁEM</b>           | 16,8  | 100 | 14,7  | 100 | 22,5  | 100 | 48,0  | 100 |
| Przemysł                | 5,9   | 35  | 6,5   | 44  | 11,0  | 49  | 28,0  | 58  |
| Roln. i Leśn.           | 7,0   | 42  | 3,5   | 24  | 5,0   | 22  | 7,5   | 16  |
| Transport <sup>1)</sup> | 1,1   | 6   | 1,3   | 9   | 2,0   | 9   | 3,5   | 7   |
| Budownictwo             | 0,8   | 5   | 0,5   | 3   | 1,0   | 4   | 3,0   | 6   |
| Handel <sup>2)</sup>    | 2,0   | 12  | 2,9   | 20  | 3,5   | 16  | 6,0   | 13  |

UWAGI: Cyfry wzięto, lub oszacowano na podstawie danych opublikowanych w prasie krajowej.

<sup>1)</sup> Tylko transport towarowy.

<sup>2)</sup> Tylko strona materialna handlu jak przewóz, składowanie, pakowanie itp.

<sup>1)</sup> Jest to dokładnie mówiąc wartość Produktu Narodowego.

<sup>2)</sup> Mam tu na myśli obliczanie Dochodu Narodowego jedynie w sensie produkcji towarowej.

### Rozwój Dochodu Narodowego w Polsce.

Porównując cyfry powojenne z cyframi roku 1938 należy pamiętać o zmianach terytorialnych. Właśnie te zmiany sprawiły, że produkcja rolna w 1947 sięga zaledwie połowy produkcji przedwojennej. Zwiększenie się produkcji przemysłowej, przy spadku produkcji rolnej, zmieniło radykalnie strukturę gospodarczą Polski. Polska z r. 1947 jest z gospodarczego punktu widzenia innym krajem niż Polska z 1938 r. Już po wojnie przestała być ona krajem typowo rolniczym, a stała się krajem przemysłowo-rolnym. Udział rolnictwa w Dochodzie Narodowym spadł z 42 do 24%.

W ciągu następnych sześciu lat zmiany mają pójść jeszcze dalej w tym samym kierunku. Polska ma stać się krajem wyraźnie przemysłowym. Wzrost produkcji przemysłowej ma wynosić 160% w stosunku do produkcji z 1949 roku, tzn. produkcja ta ma stać się przeszło dwukrotnie większa. Produkcja rolna ma wzrosnąć o 50%. W wyniku ogólnym ma stanowić ona jedynie 16% całości produkcji materialnej. Jeśli planowane zamierzenia zostaną zrealizowane, Polska stanie się jednym z przemysłowych krajów Europy. Będzie miała ona tę dodatkową korzyść, że będzie ona samowystarczalna w zakresie produkcji rolnej.

Czy plany te są realne? Czy dadzą się wcielić w życie w okresie zaledwie sześciu lat, nawet jeżeli ten okres nie przyniesie zaburzeń międzynarodowych? Odpowiedź jest trudna. Zależy ona od tego, ile oszczędności będzie można wycisnąć z gospodarki narodowej i do jakiego stopnia będzie można zmusić ludność do pracy. Jedno jest pewne: jeżeli plany mają być wykonane to wysiłek ludności musi być wykorzystany do maksimum, a przeciętna stopa życiowa nie może ulec podwyższeniu.

Produkcja materialna w innych dziedzinach gospodarki ma wzrosnąć w stopniu określonym przez wzrost produkcji przemysłowej. Wartość produkcji budownictwa wzrasta nieprzerwanie w ciągu lat powojennych. Ma ona osiągnąć w 1955 roku 6% całości Produktu Narodowego. Pozwoli to na wykonanie zadań budowlanych w przemyśle i pokrycie minimum potrzeb wzrastającej ludności przemysłowej. Wartość produkcji transportu i handlu, choć wzrasta znacznie w cyfrach absolutnych, ma tendencje do powrotu do procentowego udziału w Produkcie Narodowym jak przed wojną.

### III.

Do istotnych zadań planu sześcioletniego należy uprzemysłowienie Polski. Należy przyznać, że zamierzony wysiłek w tym kierunku jest ogromny. Cyfry pokazujące wzrost produkcji w przyszłości są bardzo duże. Nasuwa się jednak przypuszczenie, że są one sztucznie podniesione. Władze komunistyczne dokładają starań, aby wyniki gospodarcze wyolbrzymiać i w



ten sposób utrzymywać ludność w przekonaniu o niezwykłych osiągnięciach. W czasie trwania planu trzyletniego popularnym chwytem propagandowym było porównywanie produkcji powojennej Polski z produkcją przedwojenną, nie zaznaczając przy tym, że obszar produkujący w pierwszym i drugim wypadku był zupełnie różny. W ten sposób produkcja węgla kamiennego wzrastała prawie o 100% w stosunku do produkcji w 1938 r. W rzeczywistości jeśli porównamy produkcję przed- i powojenną tego samego obszaru to okazują się, że z trudem osiąga ona poziom przedwojenny. Uwzględniając jednak zniszczenie wojenne tak w materiale jak i w ludziach należy i ten wynik uznać za dobry. Ale na potrzeby propagandowe wynik ten był za mały i trzeba go było "ubarwić".

W planie sześcioletnim jest również kruczek ukryty dla sztucznego podnoszenia wyników produkcyjnych. W przemyśle planuje się wzrost produkcji wielkiego i średniego przemysłu o 136%, a "drobnego przemysłu socjalistycznego" o 384%. Cóż to jest ten "drobny przemysł socjalistyczny"? Jest to po prostu już istniejący przemysł i rzemiosło, który zostanie uspołeczniony i jego produkcja dodana do przemysłu już upaństwowionego. Oczywiście nie zmieni to sytuacji w kraju, bo przecież drobny przemysł pracował już uprzednio. Statystycznie jednak wyniki produkcyjne dostarczają jeszcze jednego argumentu na wyższość ustroju komunistycznego nad innymi ustrojami.

Istotą planu przemysłowego jest rozwój produkcji maszynowej. Cała produkcja przemysłowa wzrasta o 158%, podczas gdy produkcja maszyn ma wzrosnąć o 364%, w tym maszyny transportowe o 271%. W tej dziedzinie nacisk położono na maszyny do obróbki metali, oraz na maszyny dotychczas w Polsce nie produkowane jak turbiny parowe, kotły wysokoprężne, maszyny papiernicze, maszyny rolnicze (jak żniwiarki-kombajny, snopowiązałki), a szczególnie traktory, samochody i statki morskie. Zestawienie produkcji przewidzianej w planie według najważniejszych artykułów pokazane jest w załączonej tabeli. Podana jest tam również produkcja w latach 1938 i 1949. Umożliwia to lepsze zdanie sobie sprawy z rozwoju produkcji przemysłowej w Polsce.

Plan przemysłowy jest skonstruowany w ten sposób aby umożliwić wykonanie zadań produkcyjnych przemysłu maszynowego. Plany innych przemysłów są podporządkowane głównemu zamierzeniu. Przemysł hutniczy ma podwoić produkcję stali. W tym celu ma być rozszerzona produkcja już istniejących hut do rozmiaru 3,8 milj. ton stali rocznie. W budowie jest również nowy ośrodek hutniczy — Nowa Huta — na przedmieściach Krakowa, która ma być w końcu planu miastem stutysięcznym. Jest jednak rzeczą ciekawą, że obok ustawicznego huku propagandowego na temat Nowej Huty i dostaw sowieckich dla zbudowania tam urządzeń hutniczych, plan nie przewiduje większej produkcji stali w nowych zakładach jak tylko 0,8 milj.

ton. Potwierdza to znaną już zasadę, że zwiększenie produkcji przemysłowej będzie odbywało się tylko częściowo na drodze rozszerzonego potencjału produkcyjnego, a przede wszystkim na drodze możliwie pełnego wykorzystania już istniejących maszyn i urządzeń. Wprawdzie maszyny te i urządzenia ulegną szybszemu zużyciu, ale zakłada się, że stworzą one nową produkcję, która umożliwi modernizację i budowanie nowego potencjału przemysłowego.

Tab. III.  
Rozwój produkcji podstawowych artykułów przemysłowych w Polsce

| Artykuł                                     | Jednostka miary | Produkcja w 1938 w granicach przedw. I) | Produkcja w 1949 <sup>2)</sup> | Produkcja planowana w 1955 r. |
|---------------------------------------------|-----------------|-----------------------------------------|--------------------------------|-------------------------------|
| Węgiel kamienny                             | mil. ton        | 38                                      | 74                             | 100                           |
| Ropa naftowa                                | tys. ton        | 507                                     | 140                            | 394                           |
| Energia elektryczna                         | mrd. Kwh        | 4,0                                     | 8,1                            | 19,3                          |
| Rudy żelazne                                | mil. ton        | 0,9                                     | 0,7                            | 3,0                           |
| Rudy cynk.-ołowiane                         | —"              | 0,5                                     | 0,8                            | 2,2                           |
| Rudy miedziane                              | —"              | ..                                      | —                              | 3,2                           |
| Surówka żelazna                             | —"              | 0,9                                     | 1,4                            | 3,5                           |
| Stal surowa                                 | —"              | 1,4                                     | 2,3                            | 4,6                           |
| Wyroby walcowane                            | —"              | 1,2                                     | 1,5                            | 3,2                           |
| Cynk                                        | tys. ton        | 108                                     | 100                            | 198                           |
| Miedź elektrolityczna                       | —"              | ..                                      | —                              | 25                            |
| Obrabiarki do metali i drzewa               | tys. szt.       | 1,5                                     | 4,9                            | 12,2                          |
| Turbiny parowe kondensacyjne                | M. W.           | —                                       | —                              | 125                           |
| Traktory rolnicze                           | tys. szt.       | —                                       | 2                              | 11                            |
| Kombajny do zbóż                            | sztuk           | —                                       | —                              | 750                           |
| Plugi traktorowe                            | tys. sztuk      | ..                                      | —                              | 14,3                          |
| Snopowiązałki                               | —"              | —                                       | —                              | 5,6                           |
| Statki morskie                              | tys. T.D.W.     | —                                       | 64                             | 575                           |
| Parowozy normalno-torowe                    | sztuk           | 28                                      | 270                            | 315                           |
| Wagony towarowe w prze-liczeniu na 2 osiowe | tys. szt.       | 0,6                                     | 16                             | 19                            |
| Wagony osobowe                              | sztuk           | ..                                      | 280                            | 630                           |
| Samochody ciężarowe                         | tys. szt.       | — <sup>3)</sup>                         | 0,3                            | 25                            |
| Samochody osobowe                           | —"              | — <sup>3)</sup>                         | —                              | 12                            |
| Żarówki ośw. normalne                       | mil. szt.       | 12                                      | 22                             | 33                            |
| Odbiorniki radiowe                          | tys. szt.       | 142                                     | 87                             | 300                           |
| Kwas siarkowy w prze-liczeniu na 100%       | tys. ton        | ..                                      | 280                            | 540                           |
| Soda kalcynowana                            | —"              | 89                                      | 140                            | 389                           |
| Soda kaustyczna                             | —"              | 30                                      | 55                             | 162                           |
| Nawozy azotowe w czystym składniku N        | —"              | 30                                      | 61                             | 231                           |



| Artykuł                                       | Jednostka miary     | Produkcja w 1938 w granicach przedw. 1) | Produkcja w 1949 2) | Produkcja planowana w 1955 r. |
|-----------------------------------------------|---------------------|-----------------------------------------|---------------------|-------------------------------|
| Nawozy fosforowe w czystym składniku $P_2O_5$ | — " —               | 53                                      | 70                  | 250                           |
| Barwniki                                      | — " —               | 2                                       | 3                   | 8                             |
| Cement                                        | t. ton              | 1719                                    | 2320                | 4950                          |
| Cegła budowlana                               | mil. szt.           | 1848                                    | 1050                | 3756                          |
| Wapno budowlane                               | mil. ton            | 0,8                                     | 0,8                 | 1,6                           |
| Szkło okienne                                 | mil. m <sup>2</sup> | 25 <sup>4)</sup>                        | 10,3                | 15,0                          |
| Porcelana techniczna                          | tys. ton            | 5,8                                     | 5,4                 | 15,2                          |
| Tkaniny bawełniane                            | mil. mb.            | 51,5 <sup>5)</sup>                      | 398                 | 608                           |
| Tkaniny wełniane                              | — " —               | 21,0 <sup>5)</sup>                      | 49                  | 75                            |
| Tkaniny jedwabne                              | — " —               | 3,0 <sup>5)</sup>                       | 44                  | 104                           |
| Wyroby dziane                                 | tys. ton            | 1,9                                     | 9,0                 | 14,5                          |
| Obuwie skórzane                               | mil. par            | ..                                      | 8                   | 22                            |
| Celuloza                                      | tys. ton            | 110                                     | 120                 | 414                           |
| Papier                                        | — " —               | 205                                     | 264                 | 530                           |
| Tarcica                                       | mil. m <sup>3</sup> | 6,0                                     | 4,7                 | 4,0                           |
| Cukier                                        | tys. ton            | 491                                     | 890                 | 1100                          |
| Spirytus surowy w prze-<br>liczeniu na 100%   | mil. l.             | 150                                     | 86                  | 215                           |
| Piwo                                          | — " —               | 150                                     | 180                 | 600                           |
| Mydło do prania                               | tys. ton            | 53                                      | 42                  | 88                            |
| Papierosy                                     | mrd. szt.           | 9,4                                     | 21                  | 30                            |

UWAGI: Dobór artykułów według danych planu 6 letniego.

- 1) W kilku wypadkach produkcji z 1937 r.
- 2) W szeregu wypadków, z braku danych, szacunki autora.
- 3) Produkcję samochodów ciężarowych i osobowych, głównie na potrzeby wojska uznano za nieznaczną.
- 4) Produkcja w 1938 w tys. ton.
- 5) Produkcja tkanin w 1938 r. w tys. ton.

Następnym przemysłem, który ma ulec rozbudowie jest przemysł chemiczny. Polska dysponuje surowcami, które są podstawą dla rozwoju tego przemysłu. Posiadamy sole potasowe, sól kuchenną, gips, wapień, a przede wszystkim bogate złoża węgla kamiennego, który jest podstawą dla nowoczesnej chemii. Polska ma wszelkie dane po temu aby przemysł chemiczny był jednym z najważniejszych jej bogactw. Jest to jednak przemysł, w którym kapitał zainwestowany na głowę robotnika jest duży — obok hutnictwa jest największy w przemyśle. Zbudowanie tego przemysłu jest zagadnieniem bardzo trudnym. Obok dużych kosztów potrzeba tu wielu wykwalifikowanych pracowników, trzeba rozwiniętego aparatu laboratoryjnego, instytutów naukowych, wreszcie trzeba pokonać wszystkie trudności związane z produkcją podlegającą prawu patentowemu. Przemysł chemiczny w Polsce był i jest dotychczas dopiero w zaczątkach.

Jego rozwój leży w interesie państwa. Plan przewiduje 350% wzrostu produkcji tego przemysłu.

Równolegle do rozwoju przemysłu metalowego i chemicznego rozwijać się mają przemysły energetyczne, a więc przemysł węglowy, paliw płynnych i energii elektrycznej. Przemysły te tworzą trzon i zamkniętą całość planu sześcioletniego. Plan ten ma na celu rozwój ciężkich przemysłów. Wszystkie inne mają tylko drugorzędne i pomocnicze znaczenie.

Produkcja węgla kamiennego ma osiągnąć 100 milionów ton rocznie, energii elektrycznej 19,3 milj. KWh. W produkcji energii elektrycznej mają być zużyte węgle odpadkowe i miał węglowy. Dlatego też produkcja elektryczna ma mieć miejsce w nowych termo-elektrowniach głównie na terenach zagłębia węglowego. Planowana jest również budowa elektrowni w Koninie, dla wykorzystania pokładów węgla brunatnego i w Wiźnie w woj. białostockim dla wykorzystania bogatych złóż torfu.

Rozwój produkcji elektrycznej idzie więc w kierunku elektrowni ciepłych. Zasoby energii wodnej w Polsce zostaną wykorzystane w Polsce w okresie planu tylko w niewielkim stopniu. Wykorzystanie sił wodnych dla produkcji energii elektrycznej jest zagadnieniem szczególnie ważnym ponieważ łączy się z palącą potrzebą regulacji górnych biegów rzek. Bez tej regulacji, bez budowy zbiorników wodnych nie można zapobiec katastrofom powodzi często spotykanym w Polsce. Nie można też racjonalnie uprawiać łąk i ziemi ornej znajdującej się w pobliżu rzek. Często ziemie te są bardzo dobre, jak np. wzdłuż Sanu, lub w dolnym biegu Wisły. Zaniedbanie prac na większą skalę w dziedzinie hydro-elektrycznej tłumaczy się wysokimi kosztami inwestycji związanymi z tymi pracami. Budowa termo-elektrowni pociąga znacznie mniejsze nakłady, jest też częściowo usprawiedliwiona koniecznością zużytkowania miałów węglowych.

Polityka inwestycyjna zmierzająca do zdecydowania do rozbudowy przemysłów ciężkich kosztem rozbudowy przemysłów lekkich może być przedmiotem poważnej krytyki. Przemysły ciężkie, jak hutnictwo, przemysł metalowy, ciężki chemiczny i energetyczny są niewątpliwie Polsce potrzebne i są podstawą do dalszej rozbudowy przemysłu. Trzeba jednak pamiętać, że budowa tych przemysłów jest trudna, przede wszystkim z powodu olbrzymich kosztów związanych z nią, a poza tym z powodu braku sił fachowych, znajomości procesów produkcyjnych, braku surowców itp. Budowa tych przemysłów pociąga za sobą tak wielkie wysiłki, że należy obawiać się wyczerpania społeczeństwa, szczególnie jeśli ta praca ma być prowadzona w ciągu kilku lat i bez pomocy z zewnątrz.

Z drugiej strony odczuwa się w Polsce brak przemysłów lekkich. Niektóre z nich po koniecznym zainwestowaniu mogą przynieść Polsce duże i szybkie korzyści. Wśród tych przemysłów na plan pierwszy wysuwa się w Polsce przemysł spożywczy,



szczególnie skierowany na przerób masowych produktów rolnych, przemysł mineralny, a w nim cement, produkcja którego jest szczególnie w Polsce korzystna, przemysł drzewny i papierniczy dla wykorzystania drewna odpadkowego i opałowego znajdujące się w Polsce ciągle w dużych ilościach. Przemysł skórzany w niedalekiej przyszłości może być również cennym źródłem dochodów.

Oczywiście produkcja tych przemysłów znajdowałaby zbyt przede wszystkim w Europie Zachodniej. Zaspokajałaby również potrzeby wewnętrzne, tak dawno nie zaspokajane i tak bardzo konieczne. Produkcja ta mogłaby liczyć nie tylko na zbyt w Europie Zachodniej ale również na skuteczną pomoc tej Europy dla budowy tych przemysłów, w postaci kredytów, urządzeń i pomocy technicznej. Nakłady finansowe na ten rodzaj przemysłu są na głowę robotnika stosunkowo małe, a stosunek wartości inwestycji do wartości produkcji bardzo korzystny. Przemysły te rozrzucone po województwach gospodarczo zacofoanych jak województwo mazurskie, białostockie, rzeszowskie, gdańskie dałyby zatrudnienie ludności miejscowej i przyczyniłyby się do szybkiego rozwoju gospodarczego tych obszarów.

Zwracanie jednak całego wysiłku w kierunku przemysłów lekkich byłoby polityką nieuzasadnioną, krótkowzroczną i szkodliwą dla przyszłości gospodarczej państwa.

Rozwój przemysłów ciężkich jest niezbędny, szczególnie w kraju takim jak Polska, który ma wszelkie dane dla ich rozbudowy. Przemysłów tych nie buduje się jednak dla nich samych, ale dla dobra kraju i tym samym dla dobra ludności.

Polacy są zmęczeni dwiema katastrofami wojennymi, które przewaliły się przez Polskę, są z mordowani okupacją niemiecką i rosyjską. Muszą jednak ciągle jeszcze pracować ciężiej i więcej niż mieszkańcy innych krajów europejskich. Muszą własną pracą wyrównać różnice gospodarcze dzielące ich od reszty Europy, muszą również wyrównać straty spowodowane wojną. Nawet przy najkorzystniejszym układzie stosunków politycznych i przy możliwości uzyskania pomocy z zagranicy istotnym czynnikiem odbudowy i rozbudowy kraju musi pozostać usilna praca całej ludności. Pomoc zewnętrzna musi być traktowana jako ułatwienie w pokonaniu niektórych trudności. Nie wolno jej uważać jako jedynego i wyłącznego sposobu rozbudowy kraju, nie wolno liczyć tylko na nią. Tylko pod tym warunkiem pomoc zewnętrzna może dać szybkie i właściwe rezultaty.

Dzisiaj Polska jest pozbawiona tej pomocy. Jeśli mimo tego rząd warszawski gnany naciskiem sowieckim i własną ambicją stawia przed ludnością polską zadania niezwykle trudne, jeśli żąda od niej ogromnych wysiłków, to jego obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby wysiłek ten ułatwić. W dziale rozbudowy przemysłowej rząd ten mógłby zmniejszyć wysiłki i złagodzić ofiary ponoszone przez społeczeństwo gdyby znalazł odpowiednią proporcję między rozbudową ciężkiego i lekkiego przemysłu.

Decyzja jednak jest już powzięta, a raczej narzucona i ogłoszona w planie: tylko ciężki przemysł, tylko nowe ofiary ludności. Nie należy sugerować się liczbą zakładów przemysłu lekkiego, wymienioną w planie i pokazaną na mapie Polski w dalszym ciągu tego artykułu. Liczba 100 lub 200 drobnych zakładów nie nie zmienia w skali państwa.

W planie położono silny nacisk na rozbudowę własnych źródeł surowcowych. Chodzi tu o pełną eksploatację własnych surowców oraz o możliwie pełne uniezależnienie się i odgraniczenie od dostaw spoza bloku komunistycznego.

Pierwsze założenie jest słuszne. Nasz kraj jest mało zbadanym pod względem geologicznym. Istnieją poważne podstawy do przypuszczeń, że na naszym terytorium znajdują się ciągle jeszcze nieodkryte bogactwa naturalne. Odkrycie bogatych złóż soli potasowych w Kłodawie pow. Koło potwierdza te przypuszczenia. Plan przewiduje wzmoczoną akcję poszukiwań geologicznych. Rozwinięta będzie również na dużą skalę eksploatacja znanych już bogactw. Produkcja rudy żelaznej wzrośnie z 0,7 do 3 mil. ton rocznie. Pozwoli to pokryć produkcję surowki żelaza własną rudą w wysokości 30%. Produkcja rudy miedzianej ma osiągnąć ilość 3,2 milionów ton. Produkcja cynku ma wzrosnąć dwukrotnie. Uruchomiona zostanie produkcja kwasu siarkowego z anhydrytów i gipsów krajowych. Spodziewane jest podniesienie produkcji ropy do ilości 394 tys. ton rocznie. Poczynione będą starania aby zwiększyć małą jak dotychczas hodowlę roślin włóknistych i oleistych i ich przerób.

Założenie drugie jest jeszcze jednym kamieniem rzuconym pod nogi narodu polskiego. Ma ono wszystkie cechy polityki wojennej, a mało cech myśli gospodarczej. Ilustracją tej polityki jest np. zrezygnowanie z wysokoprocentowych rud szwedzkich, które otrzymujemy wzamian za dostawy węgla, a eksploatacja własnych rud, ubogich i trudnych do przetopu. W decyzji tej nie odgrywa roli pytanie co warto robić. Argumentem jest tu konieczność uniezależnienia się od dostaw z zewnątrz. Według tej polityki warto jest sprowadzać rudę żelazną z Krzywego Rogu i to drogą transportu kolejowego, nie warto natomiast importować rudy szwedzkiej bliżej położonej, o większej zawartości żelaza, a przede wszystkim sprowadzanej drogą wodną, znacznie tańszą od lądowej. Różnicę w kosztach ktoś musi płacić. Ale o tym autorzy planu nie mówią. Od ludności wymaga się niewolniczej pracy i pełnego zaufania, że praca jej wykorzystywana jest jak najlepiej dla dobra całego państwa. Tak nie jest. Jeżeli interes Polski pokrywa się z interesem sowieckiego komunizmu to dobrze. Jeżeli interesy te rozbiegają to zwycięża interes sowiecki, kosztem interesu polskiego.

Na marginesie tych uwag przypomina się historia Poronina, wsi położonej pod Zakopanem. W ubiegłym roku praca kipiała w Poroninie. Ta uroczka, ale zaniedbana miejscowość zmieniła się nie do poznania. Uregulowano Białą Dunajec, przerzucono



nowy most, zbudowano piękną drogę wzdłuż rzeki. Jadąc z Zakopanego podróżny z przyjemnością patrzy na dokonaną pracę. Powstaje pytanie dlaczego spośród setek wsi tatrzańskich właśnie Poronin został uporządkowany? Czy dlatego, że jest on przysiółkiem Zakopanego? Nie, dlatego, że stworzono tam muzeum Lenina w domu, w którym mieszkał przed pierwszą wojną światową.

## IV.

Rolnictwo w planie sześcioletnim pozostaje w dalszym ciągu ubogim krewnym przemysłu. Wprawdzie robi się wielkie wysiłki aby rozwój rolnictwa przedstawić w jak najkorzystniejszej postaci, ale wysiłki te nic nie pomogą w obliczu faktów. W tablicach oznaczonych numerem 4, 5 i 6 porównano zasadnicze elementy produkcji rolnej na przestrzeni ostatnich lat, oraz zamierzenia planu w tym względzie. Uważny czytelnik znajdzie tam cyfry, które ilustrują kierunki rozwoju produkcji rolnej.

Tab. IV. Procentowe zmiany powierzchni zasiewów dla ważniejszych płodów rolnych w Polsce

|              | 1938 <sup>1)</sup> | 1947   | 1949   | 1955   |
|--------------|--------------------|--------|--------|--------|
| Jęczmień     | 8,5                | 8,7    | 10,1   | 10,4   |
| Pszenica     | 34,0               | 32,1   | 33,8   | 28,0   |
| Żyto         | 6,6                | 8,0    | 6,8    | 7,2    |
| Owies        | 12,4               | 11,6   | 12,2   | 11,0   |
| Ziemniaki    | 17,5               | 16,1   | 17,6   | 16,7   |
| Buraki cukr. | 1,5                | 1,6    | 1,7    | 2,0    |
| Inne         | 19,5               | 21,9   | 17,8   | 24,7   |
| RAZEM        | 100,0%             | 100,0% | 100,0% | 100,0% |
| W TYS. HA    | 15.780             | 12.400 | 14.800 | 15.900 |

Uwagi: 1) Polska w granicach obecnych

W tabeli 4 pokazane są procentowe zmiany powierzchni pod najważniejszymi zasiewami. Ogólna powierzchnia zasiewów osiągnie dopiero w końcu planu powierzchnię uprawianą przed wojną na tym samym obszarze. W podziale różnych zasiewów nie widać rewolucyjnych zmian. Najbardziej zwiększa się powierzchnia uprawy pszenicy oraz jęczmienia. Wzrost ten odbywa się głównie kosztem zmniejszenia upraw żyta prawie o 20% oraz ziemniaków. Natomiast podnosi się powierzchnię upraw buraka cukrowego. Wzrasta również uprawa roślin pastewnych. Są one zawarte w tab. 4 w pozycji "inne". Ta ostatnia uprawa jest ważna ze względu na produkcję zwierzęcą, dla której jest podstawą.

Tabela 5 podaje powierzchnię upraw, jak również plony z hektara i ogólną produkcję w liczbach bezwzględnych. W 1949 plany, z wyjątkiem tylko żyta, pozostawały daleko z tyłu za osiągnięciami sprzed wojny. Jest rzeczą ciekawą, że właśnie w produkcji żyta na którą plan nie kładzie nacisku, osiągnięto

Tab. V.  
Produkcja głównych płodów rolnych w Polsce

|                           | Powierzchnia uprawy<br>w tys. hektarów |      | Plony z hektara<br>w kwintalach |      | Produkcja<br>w tysiącach ton |       |
|---------------------------|----------------------------------------|------|---------------------------------|------|------------------------------|-------|
|                           | 1938 <sup>1)</sup>                     | 1949 | 1938 <sup>1)</sup>              | 1949 | 1938 <sup>1)</sup>           | 1949  |
| Pszenica                  | 1340                                   | 1500 | 14,6                            | 12,3 | 1960                         | 1840  |
| Żyto                      | 5350                                   | 5000 | 12,8                            | 13,1 | 6850                         | 6550  |
| Jęczmień                  | 1040                                   | 1000 | 15,7                            | 12,2 | 1633                         | 1220  |
| Owies                     | 1950                                   | 1800 | 14,7                            | 13,3 | 2830                         | 2400  |
| Ziemniaki                 | 2760                                   | 2600 | 138                             | 131  | 38036                        | 31400 |
| Buraki cukr.              | 230                                    | 250  | 260                             | 185  | 5960                         | 4640  |
| Len i konop <sup>2)</sup> | 70                                     | 100  | 3,4                             | 3,4  | 27                           | 34    |
| Rośliny olejs             | 50                                     | 107  | 1,1                             | 1,0  | 54                           | 107   |
|                           |                                        |      |                                 |      |                              | 250   |

Uwagi: 1) Dla 1938 r. przyjęto obecne terytorium. Porównanie pomiędzy poszczególnymi latami jest więc zupełne.

2) W plonach i produkcji uwzględniono tylko wagę włókna.



najlepszy rezultat. Należy również pamiętać, że rok 1949 był rokiem wyjątkowego urodzaju. Dzięki temu osiągnięto w nim plony przewidywane przez plan trzyletni. Były one jednak niskie w porównaniu z przeciętnymi plonami zebranymi w owym roku na Zachodzie Europy. Plony, planowane na rok 1955 stanowią pokaźny wzrost tak w stosunku do lat przedwojennych, jak i w stosunku do roku 1949. Jeśli jednak porównać je z przeciętnymi zbiorami w państwach o dobrej kulturze rolnej to nie są one zbyt wygórowane. Ogólnie biorąc plony z hektara pod koniec planu mają sięgać wysokości plonów osiąganych w Czechosłowacji w 1937 r. W niektórych uprawach, jak np. buraka cukrowego i owsa mają być nawet o wiele mniejsze niż w tym kraju. Przyszłość okaże o ile te przewidywania są słuszne. W każdym razie planowane ilości są stosunkowo łatwe w Polsce do osiągnięcia przy rzeczowej polityce rolnej. Wyniki te można nawet znacznie zwiększyć przy udzieleniu rolnictwu większej pomocy finansowej i przy prowadzeniu odpowiedniej polityki cen na płody rolne. Polska mogłaby nie tylko pokrywać własne zwiększone zapotrzebowania, ale mogłaby dysponować nadwyżkami eksportowymi tak zbóż, jak przede wszystkim produktów zwierzęcych. Nikt z Polaków nie chce zapchnięcia Polski do roli folwarku Zachodniej Europy. Mamy jednak cenne atuty w rozmowach gospodarczych z Europą w postaci naszej produkcji rolnej. Spychanie jej na daleki plan w hierarchii potrzeb państwowych na pewno nie leży w interesie Polski.

Tab. VI. Pogłowie zwierząt gospodarczych w Polsce. (W tys. sztuk)

|                    | 1938 <sup>1)</sup> | 1947 | 1949 | 1950   |
|--------------------|--------------------|------|------|--------|
| Konie              | 3800               | 2000 | 2540 | 3.000  |
| Bydło              | 9950               | 4300 | 6400 | 9.500  |
| Świnie             | 7140               | 5300 | 6100 | 10.500 |
| Owce               | 3000               | 830  | 1620 | 3.800  |
| Drób (w mil. szt.) | 50                 | 40   | 78   | 106    |

Uwagi: 1) Rok 1938 przedstawia stan pogłowia na starym terytorium Polski.

W hodowli zwierzęcej plan nie przewiduje dużych zmian w przyszłości. Ilość koni zwiększy się wprawdzie nieznacznie w stosunku do 1949, ale pozostanie mniejsza o 21% niż przed wojną. Różnicę w sile pociągowej mają wypełnić traktory. Pogłowie bydła nawet w końcu planu nie dorówna stanowi sprzed wojny. Trzoda chlewna ma wzrosnąć o 48% w stosunku do lat przedwojennych. Jest to rzeczywiście duże zamierzenie. Trzeba mieć jednak na uwadze, że jak dotychczas planowanie pogłowia świń okazało się zupełnie nierealne. W roku 1949 miało być 9 milionów świń. W rzeczywistości było ich tylko 6,1 miliona. Czy rolnicy w przyszłości chętniej wezmą się do ich hodowli?

W dwóch dziedzinach w rolnictwie ma być widoczny znaczny

postęp. Będzie to mechanizacja uprawy i zwiększenie użycia nawozów sztucznych. W ciągu sześćdziesięciu lat rolnictwo ma otrzymać 61 tys. traktorów. Ilość maszyn dostarczonych rolnictwu w ostatnim roku planu ma być trzykrotnie większa niż w 1949 r. Łączne zaopatrzenie we wszystkie rodzaje nawozów sztucznych w czystym składniku ma wynieść 40 kg na hektar zasiewów, co stanowi ilość pokaźną, choć ciągle znacznie niższą od ilości używanych w Europie, nawet w krajach o korzystniejszych warunkach glebowych i atmosferycznych niż Polska.

Produkcja roślinna i zwierzęca nie jest najważniejszym problemem w sześciolletnim planie rolniczym. Problemem górującym tu nad wszystkimi innymi jest wprowadzenie kolektywizacji. W czasie trwania planu "poważna część gospodarstw małopolskich i średniorolnych ma ulec dobrowolnemu przekształceniu w gospodarstwa zespołowe". Jak wpłynie to na produkcję rolną?

Jest rzeczą oczywistą, że kolektywizacja jest wprowadzana nie na podstawie argumentów gospodarczych tylko politycznych. Nie przeczą temu komuniści. Oto charakterystyczna wypowiedź jednego z nich: "Główna trudność polega na tym, że plan sześciolletni na wsi będzie realizowany równolegle z przebudową wsi, że wzrost produkcji będzie szedł w parze z rozwojem spółdzielczości produkcyjnej".<sup>1)</sup>

## V.

Podnoszenie siły wytwórczych w kraju wiąże się ściśle z zagadnieniem lokalizacji przemysłu i rejonizacji upraw i hodowli rolniczej. Oba te wielkie zagadnienia były w Polsce bardzo zaniedbane.

W pierwszej części tego artykułu wspomniano o trudnościach gospodarczych ze scalaniem różnych obszarów Polski po pierwszej wojnie światowej. Jeśli przyjrzymy się rozmieszczeniu przemysłu w Polsce z punktu widzenia granic byłych trzech państw zaborczych, to stanie się jasne, że obszary graniczne były roztępnie hamowane w rozwoju przemysłowym. Względnie militarne odgrywały tu decydującą rolę. Obszary w południowej Kielecczyźnie, nad środkową Wisłą, w południowej Lubelszczyźnie, nad granicą dawnych Prus Wschodnich były i są ciągle próżnią gospodarczą, którą trzeba co prędzej wypełnić.

W okresie dwudziestolecia niepodległości tylko w ostatnich latach przystąpiono do rozwiązywania tego problemu. Centralny Okręg Przemysłowy był wyrazem tych wysiłków. To prawda że cele militarne odgrywały tu zasadniczą rolę, a względny gospodarczy były tylko dodatkowym argumentem. Nie można jednak powiedzieć aby zagadnienia lokalizacji przemysłu były w Polsce zapomniane. Brakło funduszy, brakło dostatecznej energii i umiejętności, a nade wszystko zabrakło czasu do realizacji za-

1) Z przemówienia Chelchowskiego, *Nowe Drogi* nr 4, str. 200, Warszawa 1950.



gadnienia. Było ono jednak postawione. Działalność ówczesnego ministra Skarbu E. Kwiatkowskiego jest tego najlepszym dowodem.

W prasie krajowej zagadnienie lokalizacji przemysłu opisuje się dzisiaj jako niemal jeszcze jeden wynalazek myśli sowieckiej, a początki jej realizacji jako nową inicjatywę rządu komunistycznego. Mimo jednak wielkich wypowiedzi na ten temat, planowanie w tym względzie jest skromne.

Polska posiada obecnie dwa obszary przemysłowe. Jest to Zagłębie Górnośląskie ze stolicą w Katowicach, oraz Zagłębie Przysudeckie z Wałbrzychem na czele. Łódź jest wielkim miastem przemysłowym, nie stanowi jednak obszaru przemysłowego. Posiadamy ponadto szereg dużych zakładów przemysłowych, rozrzuconych po kraju, ale nie powiązanych w odrębne obszary gospodarcze.

Okręgi przemysłowe przewidziane w planie można podzielić na trzy zasadnicze grupy. Do pierwszej należą okręgi wysoce zagospodarowane, rozbudowa których stwarzałaby pogłębianie istniejących różnic i dysproporcji w rozmieszczeniu przemysłu. Do drugiej grupy należało by zaliczyć rozwinięcie okręgów zasobnych w bogactwa naturalne i posiadających już istniejące przemysły. Rozwój ten ma na celu pełne wykorzystanie bogactw naturalnych i zwiększenie możliwości produkcyjnych istniejących zakładów. W ostatniej grupie znajdować się będą okręgi, które w przyszłości powinny w Polsce powstać, a których budowa jest raczej przewidziana niż realizowana w planie.

Zgodnie z tym podziałem większość inwestycji przemysłowych przewidzianych w planie, a mianowicie 80%, będzie dokonana poza okręgiem Górno- i Dolnośląskim. Na Górnym Śląsku powstać mają nowe zakłady, związane bezpośrednio z wydobyciem i przeróbką węgla. Zakłady te zatrudnią 50 tys. robotników. Inne, związane z podstawą surowcową Górnego Śląska mają zatrudnić 80 tys. robotników i mają być budowane na krawędziach niecki węglowej. W rezultacie Górny Śląsk zmniejszy wprowadzić ilość zatrudnienia z 32% w 1949 do 26% w 1955 w stosunku do reszty kraju, pozostanie jednak tak jak dotychczas naszym głównym okręgiem przemysłowym.

Rozwój okręgu podsudeckiego ma być niewielki. W powiecie Wałbrzych ilość zatrudnionych ma wzrosnąć o 5 tys. robotników, a w innych ośmiu powiatach tego okręgu o około 35 tys.

W Łodzi zatrudnienie ma wzrosnąć o 30 tys. i to głównie w nowych zakładach przemysłowych zatrudniających mężczyzn dla zrównoważenia dotychczasowej przewagi w zatrudnieniu kobiet. W pięciu powiatach otaczających Łódź zatrudnienie ma wzrosnąć o 25 tys. i to przeważnie w przemysłach włókienniczych i w przemysłach obsługujących włókiennictwo.

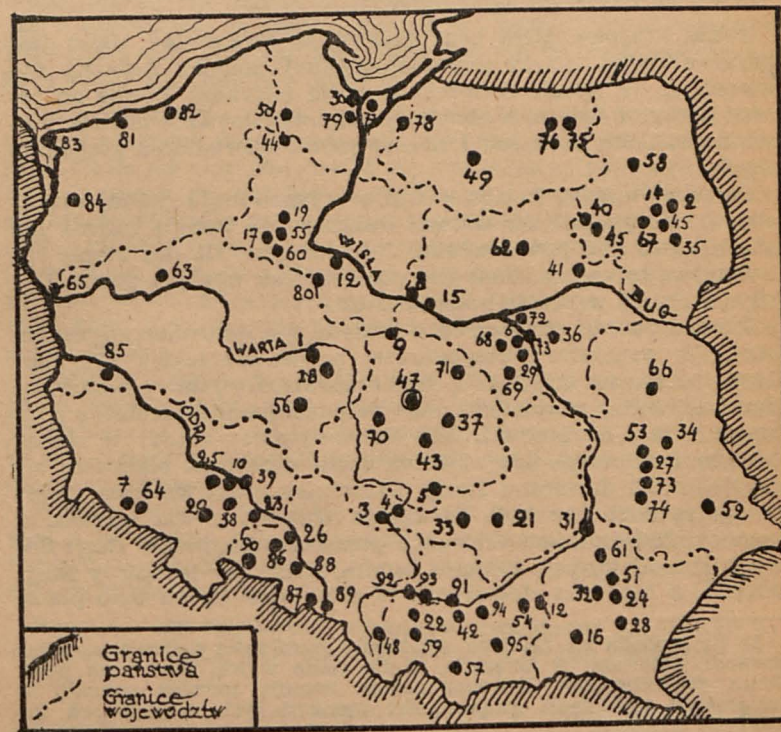
W drugiej grupie wybija się okręg krakowski. Zostanie tu silnie rozbudowany przemysł w pasie ciągnącym się od Zagłębia Węglowego, poprzez Kraków do Tarnowa i w górę biegu Du-

najca. Najważniejsze inwestycje to Nowa Huta pod Krakowem, zakłady chemiczne w Oświęcimiu, wykorzystanie bogactw mineralnych okolic Jaworzna i Olkusza i zapora wodna na Dunajcu. W ośmiu powiatach województwa krakowskiego zatrudnienie ma wzrosnąć o 70 tys. ludzi.

Na północ od Krakowa ma być rozbudowany okręg przemysłowy Częstochowy. Podstawą ma tu być hutnictwo i przemysł metalowy. Okręg ten ma łączyć się w przyszłości z okręgiem tzw. Staropolskim, obejmującym Kielecczynę. Plan przewiduje zwiększenie tu wydobycia rudy żelaznej, miedzianej, kwarcytów, wapnia, gipsu, marmurów i piaskowca. Zatrudnienie w powiecie częstochowskim i pięciu powiatach województwa kieleckiego ma wzrosnąć o 55 tys. ludzi. Okręg ten łączyć się w przyszłości z dawnym COPem poprzez Sandomierz, Nisko i Rozwadow.

W obszarze Górnej Odry zostanie rozbudowany przemysł w rejonie Opola. Mają tu powstać zakłady przemysłu chemicznego i metalowego. W czterech powiatach województwa opolskiego,

## ROZMIESZCZENIE PLANOWANYCH NOWYCH ZAKŁADÓW PRZEMYSŁOWYCH W POLSCE





położonych nad Odrą, zatrudnienie w przemyśle ma wzrosnąć o 25 tys. ludzi.

Wreszcie podjęte będą wysiłki dla stworzenia nowych okręgów przemysłowych. Na pierwszym miejscu należy tu postawić okręg Konina i Kłodawy. Powstać tu mają głównie przemysły energetyczny i chemiczny, wykorzystujące bogate złoża węgla brunatnego i soli potasowych. Wreszcie w okolicach Białegostoku, Łomży i Lublina mają powstać w przyszłości przemysły lekkie, przerabiające bogactwa naturalne tych województw, a szczególnie plody rolne.

Jest rzeczą uderzającą, że plan nie przewiduje rozwoju przemysłów na Pomorzu, w Poznańskim i w Prusach Wschodnich.

Załączona mapka Polski pokazuje obiekty przemysłowe wymienione w planie. Znajduje się tam wiele zakładów o małym znaczeniu, tak, że zagęszczenie punktów nie zawsze odpowiada zarysowującym się nowym okręgom przemysłowym. Szczególnie województwa białostockie i lubelskie sprawiają wrażenie uprzywilejowanych. Duża ilość punktów umożliwi jednak czytelnikowi stwierdzenie jakie zakłady przemysłowe mają powstać w znanych mu okolicach Polski.<sup>1)</sup>

## VI.

Prasa krajowa pisze bez przerwy, że wykonanie planu jest możliwe tylko dzięki wspaniałomyślnej pomocy Związku Sowieckiego. W istocie Związek Sowiecki odgradza Polskę od reszty Europy i świata, a następnie wspaniałomyślnie udziela Polsce niewielkich kredytów i trochę swych doświadczeń gospodarczych.

Stosunki między Polską a Rosją przypominają dzisiaj sytuację, w której silniejszy wrzucił słabszego do wody i trzyma mu głowę nieco nad powierzchnią. Jeśli nie pozwala mu utopić się, to nazywa to wspaniałomyślną pomocą. Tak wygląda pomoc Rosji dla Polski w planie sześcioletnim.

Trudno tu nie wspomnieć o małym, ale charakterystycznym szczególe współpracy gospodarczej polsko-sowieckiej. Przy budowie tunelu na trasie W-Z w Warszawie, Rosjanie obiecali podarować stolicy schody ruchome przenoszące publiczność z podstawy tunelu na plac Zamkowy. Rzeczywiście schody te zmontowano i dzieciaki, jak również wielu dorosłych oddawało się przyjemności darmowej jazdy. Czytelnicy prasy krajowej przypominają sobie, że była to okazja wyjątkowa dla wykazania pomocy Związku Sowieckiego i przewagi technicznej Rosji Sowieckiej nad innymi krajami świata. Kto inny jednak w Rosji obiecał, a kto inny dostarczył. W rezultacie trzeba było płacić

1) Ze względu na cel tego artykułu i możliwości techniczne, miejscowości lokowano w okręgach, a nie ściśle w ich właściwym położeniu geograficznym. Prawdopodobnie istnieją również pomyłki w oznaczaniu niektórych miejscowości wymienionych w planie, a nie znanych autorowi.

za schodki i to tyle, że w Anglii lub Francji można by kupić lepsze po niższej cenie.

Pomoc finansowa Rosji w planie sześcioletnim wygląda następująco. W styczniu 1948 roku podpisano umowę z Rosją, na mocy której Rosja miała udzielić Polsce kredytów towarowych w ciągu pięciu lat w wysokości 450 milionów dolarów. Kredyty te miały być spłacone w ten sposób, że po upływie czterech lat Polska miała spłacić ratę otrzymaną w pierwszym roku, w piątym roku ratę otrzymaną w ciągu drugiego roku itd. W roku 1948 dostawy kredytów rosyjskie nie zostały do Polski przysłane. Dopiero w 1949 roku rozpoczął się pewien import związany z umową. 2 lipca 1950 podpisano w Moskwie nowy protokół do poprzedniej umowy, mocą którego Związek Sowiecki udziela Polsce dalszego kredytu 400 milionów rubli (100 milionów dolarów) w okresie od 1953 do 1958. W sumie Polska otrzymuje od Związku Sowieckiego 550 milionów dolarów tytułem krótkoterminowej pożyczki w okresie 10-ciu lat.<sup>1)</sup> Przeliczenia rubli na dolary dokonano po oficjalnym kursie sowieckim 4 ruble = 1 dolar. Po uwzględnieniu rzeczywistej siły nabywczej na rynkach światowych suma kredytu uległaby znacznemu zmniejszeniu. Nawet jednak po oficjalnym kursie kredyt sowiecki daje Polsce przeciętnie rocznie 55 milionów dolarów. Należy tu jeszcze raz przypomnieć, że Polska dostarcza bezpłatnie Związkowi Sowieckiemu 7 milionów ton węgla rocznie tytułem kaduka za cenę około 100 milionów dolarów.

Warunkiem wykonania planu 6-cioletniego jest możliwie pełne wykorzystanie czynników produkcji znajdujących się w kraju. Kładzie się olbrzymi nacisk na wykorzystanie maszyn, przez wprowadzenie drugiej lub nawet trzeciej zmiany. Wprowadza się zarządzenia dla oszczędzania materiałów i energii w procesach produkcyjnych. Kładzie się nacisk na czynniki zarządzania i organizacji pracy. Wysiłkom tym towarzyszy taka wrzawa propagandowa, że przeciętny obywatel zapomina, że są to wysiłki, które dokonują się w każdej działalności produkcyjnej na całym świecie.

Nasilenie propagandy na tym polu świadczy o tym że w ustroju komunistycznym wykorzystanie czynników produkcji jest problemem o wiele trudniejszym niż w ustrojach, w których drobna i średnia własność znajduje się pod bezpośrednim zarządzaniem właścicieli.

Wykorzystanie czynników produkcji wymienionych powyżej, można prowadzić tylko do pewnego oznaczonego punktu. Przekroczyć tego punktu nie można. Z maszyn i surowców nie sposób wykrzesać entuzjazmu.

Pozostaje najważniejszy czynnik w gospodarce narodowej, to jest praca ludzka. Ten czynnik można w Polsce zwiększyć po-

1) Poland today, Nr 8, August 1950, str. 3; Polish Research and Information Service, New York.



przez zwiększenie zatrudnienia, jak również i przede wszystkim poprzez zwiększenie wydajności pracy.

Zatrudnienie w przemyśle ma wzrosnąć w planie o około miliona ludzi. Wydajność pracy w przemyśle w ciągu następnych 6 lat ma wzrosnąć o 66%, w budownictwie o 85%, w kolejnictwie o 52%, w Państwowych Gospodarstwach Rolnych o 90%. Postawione zadania mają być dolną granicą możliwości podniesienia wydajności pracy. Dla porównania podaję, że przeciętny roczny wzrost wydajności pracy w przemyśle na przestrzeni ostatnich 20 lat w Europie Zachodniej wynosi około 3%. Porównanie wykazuje rozmiar wysiłku jaki ma być wykonany dla uzyskania zadań postawionych przez plan 6-letni w Polsce.

### Konstanty BRZÓSKA

#### OMÓWIENIE MAPKI ZE STR. 91.

- 1) Elektrociepłownia na bazie węgla brun. Konin. Zagł. konińskie.
- 2) Elektrociepłownia na bazie torfu. Wizna, woj. białostockie.
- 3) Huta J. Stalina w Łabędziach
- 4) Huta J. Stalina w Częstochowie } rozbudowa
- 5) Rozbudowa kopalni "Miedzianka" w górach Świętokrzyskich.
- 6) 2 zakłady o taśmowym montażu wysokosprawnych obrabiarek w rejonie W-wy.
- 7) Rozbudowa zakładu budowy maszyn papierniczych w Cieplicach.
- 8) Fabryka maszyn rolniczych Płock.
- 9) Fabryka maszyn rolniczych Kutno.
- 10) Dokończenie fabryki wielkich maszyn elektr. we Wrocławiu.
- 11) Wielkoseryjna fabryka małych silników elektr. w Tarnowie.
- 12) Dokończenie fabryki aparatów niskiego napięcia w Toruniu.
- 13) Fabryka lamp elektrycznych, huta baloników żarówkowych, fabryka central automatycznych i fabryka urządzeń radiotechnicznych — w Warszawie.
- 14) Gazownia w Białymstoku.
- 15) Gazownia w Płocku.
- 16) 3 stopniowa destylarnia wieżowa w okręgu Jasła.
- 17) Fabryka supertomasyny w Nakle.
- 18) Kopalnia i zakład przetwórczy soli potasowych w Kłodawie.
- 19) Fabryka sody w Pakości.
- 20) Fabryka kwasu siark. w Wizowie (Dolny Śląsk).
- 21) Fabryka kwasu siark. w kielecczyźnie.
- 22) Kombinat syntezy chemicznej w Oświęcimiu.
- 23) Wytwórnia podstawowych półfabrykatów organicznych w Brzegu (woj. wrocławskie).
- 24) Fabryka barwników w Sarzynie (woj. rzeszowskie).
- 25) Fabryka farb i lakierów we Wrocławiu.
- 26) Cementownia w Opolu.
- 27) Cementownia w Rejowcu.
- 28) Cementownia w Wierzbicy.
- 29) Stacja przemiałowa dla produkcji cementu w Warszawie.
- 30) Stacja przemiałowa dla produkcji cementu w Gdańsku.
- 31) Fabryka porcelany elektrotechnicznej koło Sandomierza.
- 32) Fabryka porcelany elektrotechnicznej koło Rzeszowa.
- 33) Fabryka krzemionki kwaso-odpornej w Suchedniowie (woj. kiel.).
- 34) Huta szkła opakowaniowego w woj. lubelskim.

- 35) Huta szkła opakowaniowego w woj. białostockim.
- 36) Huta szkła technicznego w Warszawie.
- 37) Huta szkła galanterijnego w rejonie Tomaszowa Maz.
- 38) Huta szkła klejonego w Kunicach (woj. wrocł.).
- 39) Huta włókna szklanego we Wrocławiu.
- 40) Zakłady przemysłu bawełn. w Zambrowie.
- 41) " " " " Ostrowiu Maz.
- 42) " " " " Andrychowie
- 43) " " " " Piotrkowie
- 44) " " " " Kościerzynie
- 45) " " " " Białymstoku
- 46) " " " " Łomży
- 47) " " " wełnianego w Łodzi
- 47) " " " wełnianego w Bielsku-Białej
- 49) Zakład konfekcyjny w Olsztynie
- 50) " " " Kartuzach
- 51) " " " Rzeszowie
- 52) " " " Zamościu
- 53) " " " Lublinie
- 54) " " " Tarnowie
- 55) " " " Bydgoszczy
- 56) " " " Kaliszu
- 57) Kombinat obuwniczo-garbarski w Nowym Targu.
- 58) Garbarnia skór chromowych w woj. białostockim.
- 59) Fabryka futrzarska w Jordanowie
- 60) Fabryka ekstraktów garbarskich w Bydgoszczy
- 61) Fabryka opon w Dębicy.
- 62) Kombinat celulozowo-papierniczy w Ostrołęce.
- 63) Kombinat celulozowo-papierniczy w Drawskim Młynie.
- 64) Fabryka celulozy wiskozowej w Jeleniej Górze.
- 65) Fabryka celulozy wiskozowej i bielonej w Kostrzynie.
- 66) Kombinat olejarsko-mydlański w Klemensowie (woj. lub.).
- 67) Kombinat olejarsko-mydlański w rejonie Białegostoku.
- 68) Fabryka frezarek w Pruszkowie p. Warszawą.
- 69) " " papieru w Jeziornej.
- 70) " " krosien bawełnianych
- 71) " " silników spalinowych wysokoprężnych w Skierniewicach
- 72) " " samochodów osobowych w Warszawie.
- 73) " " samochodów osobowych w Lublinie.
- 74) " " łożysk kulkowych w Kraśniku (woj. lubelskie).
- 75) " " konserw rybnych w Giżycku (woj. olsztyńskie).
- 76) Przędzalnia włókien lękowych w Giżycku (woj. olsztyńskie).
- 77) Rozbudowa stoczni okrętowych w Gdańsku.
- 78) Rozbudowa zakładów mechanicznych w Elblągu.
- 79) Fabryka dziewiarska w Gdańsku.
- 80) Kombinat olejarsko-mydlański i fabryka sody w Mątwach k. Inw.
- 81) Kombinat przetwórczo-rybny w Kołobrzegu.
- 82) Chłodnia w Koszalinie.
- 83) Fabryka mączki rybnej w Świnoujściu.
- 84) " " sztucznego jedwabiu w Żydowcach (woj. szczecińskie).
- 85) " " włókien sztucznych w Gorzowie (woj. Zielona Góra).
- 86) " " związków azotowych i aparatów chemicznych w Kędzierzynie (Opole).
- 87) " " kotłów w Raciborzu (woj. opolskie).
- 88) Zakłady kokso-chemiczne w Koźlu.
- 89) Fabryka elektrod i fab. obrabiarek w Kuźni Raciborskiej (Opole).
- 90) Zakłady przemysłu metalowego w Nysie.
- 91) Nowa Huta pod Krakowem.
- 92) Zakłady górniczo-hutnicze cynku i ołowiu w Chrzanowie } krak.
- 93) Zakłady górniczo-hutnicze cynku i ołowiu w Olkuszu }
- 94) Fabryka włókien ciętych i fabryka dwusiarczku węgla w Bochni (woj. krakowskie).
- 95) Elektrownia ciepła w Jaworznie.



## Archiwum polityczne

### List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

#### Epoka komitetów

Wielokrotnie spotykałem się z zapytaniem dlaczego istnieje taka przepaść między publicystyką a polityką? Dlaczego publicyści mają zawsze na wszystko odpowiedź i lekarstwo a politycy, niepomni krytyki, popełniają dziesiątki razy te same błędy?

Czytelnicy mają istotnie rację twierdząc, że w żadnej innej dziedzinie ludzkiej działalności nie istnieje tak uderzający rozdźwięk jak między polityką a jej publicystyczną krytyką. Można by również przytoczyć jakże wiele świetnych przykładów, że bieg wydarzeń częściej potwierdza słuszność tez publicystów niż kalkulacje polityków. Dlaczego tak jest?

To jest pytanie zarówno naiwne jak i zasadnicze. Zagadnienie to bowiem dotyka "Heart of the Matter" ustroju demokratycznego. Czytelnik na Zachodzie pragnąłby bowiem by polityka zagraniczna była racjonalna i celowa, równocześnie jednak pragnie nie mniej gorąco by podatki były możliwie najmniejsze, by dóbr konsumpcyjnych było coraz więcej, a ograniczeń coraz mniej. Godzenie na drodze kompromisu tych sprzecznych pragnień czytelnika-wyborcy jest treścią polityki państw demokratycznych.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Rozpatrzmy to zagadnienie na terenie międzynarodowym. Czytelnik czyta w prasie terminy: "Unia Zachodnia", "Pakt Atlantycki", "Dowództwo Unii Zachodniej" itp. Na temat każdej z tych instytucji napisano tak wiele, ogłoszono tyle programów i planów, że terminy te już samym dźwiękiem zdają się sugerować poczucie bezpieczeństwa.

W Fontainebleau mamy sztab Unii Zachodniej z marszałkiem Montgomery na czele. Dowódcą wojsk lądowych Unii Zachod. jest gen. de Lattre de Tassigny — dowódcą lotniczym Sir James Rob, dowódcą sił morskich adm. Robert Jaujard. — Wszystko to

brzmi b. ładnie i technicznie optymizmem. Ale w gruncie rzeczy ów sztab nie jest sztabem, a dowódcy nie są dowódcami. Najdziwniejsze jednak w tym wszystkim jest to, że ci doskonali zresztą wojskowi nie mają w ogóle wojska... Nikim i niczym nie dowodzą. W sumie, nie jest to żadne dowództwo, lecz jeszcze jeden komitet a marszałek Montgomery nie jest (niestety!) niczym więcej jak tylko "chairman'em" tegoż komitetu. Jakby jutro wybuchła wojna to komitet w Fontainebleau nie ma władzy rozkazodawczej nad armiami sojuszniczymi w Niemczech — krótko — nie miałby nawet możliwości przemienienia się w Kwaterę Główną Unii Zachodniej. W praktyce, gdyby walec sowiecki ruszył ku Zachodowi, moglibyśmy mu jedynie przeciwstawić kilka tuzinów komitetów w połowie poważnionych a w połowie... odroczonech.

Lecz dlaczego tak jest? Bo na to, żeby mogło być inaczej, trzeba by pieniędzy i ograniczeń suwerenności poszczególnych państw. By to zrealizować, wyborcy muszą uchwalić odpowiednie podatki, ograniczenia i ustawy.

Celem dla którego powstał Pakt Atlantycki i Unia Zachodnia — jest obrona. Co należy zrozumieć przez ten termin?

Weźmy teren nam najbliższy, Europę Zachodnią. Tak jak sprawy obecnie wyglądają celem polityki zachodniej jest zorganizowanie w ciągu najbliższych 2 czy 3 lat 30 dywizji do obrony Europy Zachodniej. Według świeżo wydanego raportu Chatham House\*), 30 dywizji jest siłą niedostateczną do obrony Europy zachodniej. Raport przewiduje, że trzeba by 50 do 55 dywizji by podołać temu zadaniu.

A teraz postawmy drugie pytanie: czy Zachód może się dobroić? Przesuńmy to zagadnienie celem zwiększenia jego konkretności na teren brytyjski. Jeżeli w ogóle ma mieć ono jakiś sens trzeba je sformułować następująco: czy wyborca brytyjski zdecydowany jest poprzeć rząd, jeżeli rząd ten uzna, że wydatki na zbrojenia winny mieć pierwszeństwo przed innymi wydatkami.

W demokratycznych ustrojach miast klasycznej Grecji wyborca nie tylko znał osobie swego parlamentarnego reprezentanta ale miał również codziennie możliwość omawiania z nim bieżących spraw politycznych. Dzisiejsze demokracje jakże daleko odbiegły od tego ideału. Od owych czasów polityka skomplikowała się dość znacznie a wyborca wprawdzie zachował prawo głosowania na kogo mu się podoba, nie jest on jednak już dziś znawcą zagadnień politycznych. To jest fakt, który pociąga za sobą daleko idące konsekwencje. Poseł do parlamentu musi się z tym liczyć i jeżeli przedstawiłby wyborcy pełną prawdę zbyt ponuro to ryzykuje, że wyborca odda swój głos za innym kandydatem, którego program będzie może mniej racjonalny ale za to bardziej optymistyczny. Polityka państwa demokra-

\*) Defence in the Cold War — A Report by a Study Group of the "Royal Institute of International Affairs".



tycznego nie musi być ani racjonalna ani dalekowzroczna. Musi natomiast mieć poparcie większości. Nie zawsze nawet w dojrzałych demokracjach, jest rzeczą łatwą zdobyć poparcie dla racjonalnej i dalekowzrocznej polityki, która dość często jest polityką trudną i wymagającą ofiar.

Być może, że w tym zespole cech charakterystycznych ustroju demokratycznego należy szukać przyczyny, że świadomość niebezpieczeństwa w państwach tego typu upowszechnia się niezmiernie wolno. Nie waham się twierdzić z całą stanowczością, że los świata zależy dziś nie od wyścigu zbrojeń ale od wyścigu z czasem — z czasem potrzebnym do ugruntowania w masach wyborców Zachodu poczucia śmiertelnego zagrożenia.

Publicystyka polityczna reprezentuje politykę racjonalną. Jej dociekania opierają się na założeniu, że wyborca postąpi racjonalnie obliczwszy chłodno wszystkie "pro" i contra". W praktyce jednak, polityka nawet dojrzałych demokracji jest tylko w pewnym stopniu racjonalna. Albowiem racjonałisci, niestety, jeszcze wszędzie na świecie stanowią mniejszość.

Jeżeli obecną sytuację Anglii należało by ująć w jednym zdaniu, to sądzę, że zdanie to winno mieć formę pytania: czy zbrojenia są do pogodzenia z gospodarczą odbudową?

Zagadnienie to stanowi treść wszystkich ostatnich inicjatyw i wystąpień. Mieli go na myśli krytycy polityki rządu zarówno z Labour Party jak i konserwatyści. Problem ten nurtuje w politycznych poglądach zarówno konserwatystów, którzy są za programem zbrojeniowym jak i w poglądach pacyfistów i "niemal-pacyfistów" z lewego skrzydła Labour Party, którzy są przeciwnikami zbrojeń. Zagadnienie to stanowiło oś przemówienia Lorda Salisbury i znanego listu Lorda Vansittarda do redaktora "The Manchester Guardian".

Wydaje się, że problem jest fałszywie postawiony. Sprawa zbrojeń nie jest w gruncie rzeczy zagadnieniem ekonomicznym. Sądzę również, że przeciwstawianie pomyślności gospodarczej zbrojeniom jest również całkowicie mylne.

W gruncie rzeczy w obecnej sytuacji zbrojenia są zagadnieniem światopoglądowym i politycznym. Nie są zagadnieniem ekonomicznym w dosłownym tych słów znaczeniu — bo jeżeli zbrojenia mogą uchronić Zachód od wojny to ile by nie kosztowały będą asekuracją niezmiernie taną. Przeciwwstawianie zbrojeń odbudowie pomyślności gospodarczej jest bezsensowne, jeżeli się zważy, że pierwszym warunkiem "prosperity" musi być bezpieczeństwo. Argument ten nabiera specjalnej wagi w odniesieniu do Anglii, której gospodarka w całości oparta jest na handlu międzynarodowym i światowym systemie komunikacyjnym.

Do tej pory nie wszystko zrobiono by szerokim warstwom wyborców, którzy mają poprzeć program zbrojeniowy — wyjaśnić z bezwzględą otwartością całość zagadnienia. Dla polityki partyjnej nie jest to zadanie łatwe. Trzeba bowiem zacząć od stwierdzenia, że zbrojenia nie istnieją jako oddzielne wewnętrz-

no-brytyjskie zagadnienie. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Anglia pragnęła "izolacjonistycznie", na własny rachunek w pełni się dozbroić pociągnąć by to musiało za sobą ruinę ekonomiczną. Zbrojenia są możliwe jedynie w ramach wspólnoty sojuszniczej, w ramach paktu atlantyckiego. I dlatego użyłem określenia, że jest to zagadnienie światopoglądowe i polityczne bo o ile izolacjonizm został w Ameryce pogrzebany nie można w pełni powiedzieć tego o Anglii.

Przejrzyjmy następującą listę:

1) Do obrony Europy Zach. potrzeba 50 dywizji. Do dyspozycji w chwili obecnej mamy 12.

2) Sztab Unii Zachodniej w Fontainebleau nie dysponuje władzą rozkazodawczą. W jego pracach nie biorą udziału Amerykanie choć przecież nikt nie wyobraża sobie obrony Europy Zachod. bez pomocy Ameryki.

3) Organizacja Obrony Europy Zachod. (Western Union Defence Organisation) składa się z 17 komitetów. Planowanie regionalne opracowywane jest przez 50 komitetów.

4) Komitet wiceministrów Paktu Atlant. urzęduje w Londynie — główne "ciało" wojskowe w Waszyngtonie. — Regionalne grupy planowania znajdują się jedna w Paryżu, dwie w Londynie, dwie w Waszyngtonie. Zaiste ideał rozproszenia.

5) Cokolwiek by planowano i na cokolwiek by się zgodzono w komitetach — decyzja w każdym wypadku zależy wyłącznie od ministrów spraw zagranicznych a nie od wojskowych.

6) Ministrowie spraw zagranicznych tworzący organ naczelny zarówno Traktatu Brukselskiego jak i Paktu Atlantyckiego — są wyłącznie i jedynie reprezentantami poszczególnych rządów. Ich komitet nie jest sojuszniczą ponad-narodową, atlantycką instytucją.

7) Ramieniem zbrojnym Paktu Atlantyckiego jest potencjał militarny Stanów Zjednoczonych. Ostatnie wypadki na Korei wykazują jednak, że potencjał ten może być każdej chwili na mocy decyzji amerykańskiej przesunięty z Atlantyku na Pacyfik.

Ten zestaw (bynajmniej nie kompletny) "pięt Achillesowych" maszynierii atlantyckiej powinien ułatwić czytelnikowi orientację w tej powodzi komunikatów, deklaracji i wywiadów, które czytając w prasie, jakże łatwo jest planowanie wzięć za działanie, a wojskowych "chairman'ów" komitetów za sojuszniczych dowódców.

Jedno wydaje się całkowicie pewne — mianowicie, że taką armią komitetów nie można prowadzić wojny ani zimnej ani "gorącej". Pakt Atlantycki jest bez głowy. Najwyższy jego organ tj. Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych jest po prostu sesją ministrów suwerennych państw a nie radą przywódców



sojuszniczej organizacji obronnej. Ten punkt trzeba mieć nieustannie w pamięci rozważając politykę atlantycką.

Owe 7 punktów, które zestawilem powyżej stanowią również miernik zadziwiającej żywotności idei suwerenności. W komitetach regionalnych na prawach absolutnej, suwerennej równości zasiada reprezentant — powiedzmy, Francji obok reprezentanta Luksemburgu. Nikt nie chce bowiem niczego uronić ze swej suwerenności. Nawet Luksemburg. Tymczasem dożyliśmy epoki w której suwerenność staje się coraz bardziej synonimem izolacjonizmu.

Do "pięt Achillesa" Paktu Atlantyckiego należy jeszcze dziwna sprawa dublowania planów obrony Europy Zach. Po 6 tygodniach konferowania w Londynie zgodzono się, że Francuzi będą nadal usiłowali organizować "armię europejską" równocześnie jednak i równolegle opracowywane będą plany obrony Europy Zach. w ramach atlantyckich. Punkt ciężkości całej sprawy znajduje się w Niemczech. Bo z jednej strony Amerykanie uzależniają swą pomoc w tworzeniu "kontyngentu europejskiego" od zgody na udział Niemców — z drugiej zaś strony Francuzi nie zgodzą się na udział Niemiec dopóki ewentualne oddziały niemieckie nie zostaną włączone do "armii Europejskiej" i dopóki Plan Schumana nie będzie w całości zaakceptowany. W rezultacie mamy wprawdzie dwa plany nie mamy natomiast ani jednej armii. Ponieważ nie ma powodów sądzić by negocjacje nad planem Plevana trwały krócej niż nad planem Schumana — stan naszkicowany może trwać miesiącami.

W chwili gdy piszę te słowa prem. Attlee jest w Waszyngtonie. Trudno jest — pisać do miesięcznika — komentować sytuację wojenną, która uległa zmianom z dnia na dzień. Jaki by nie był jednak dalszy rozwój wydarzeń na Korei — jedno jest pewne i jasne: w Azji pojawiła się nowa, decydująca siła mianowicie komunistyczna armia chińska. Według ocen rzeczoznawców amerykańskich armia ta jest wysokiej klasy i w nowoczesnej historii żadne z państw azjatyckich nie dysponowało taką armią.

Sowiecko-chiński potencjał zbrojny, jeżeli ma być zrównoważony, wymagać będzie całkowitego podporządkowania wszystkiego zbrojeniom. Przede wszystkim sytuacja wymaga prawdziwej jedności działania i nie komitetów lecz wspólnego dowództwa. W Indochinach, na Malajach, na Korei — wszędzie jest ten sam wróg. Ani Anglię ani Francję nie stać dziś na prowadzenie "prywatnych" wojen.

Dopóki nie będzie ustalone wspólne dowództwo atlantyckie Europa Zachodnia nie wyjdzie za stanu ciągłego zagrożenia. W Europie nie ma nawet 38 równoleżnika by móc apelować do ewentualnego agresora by się zatrzymał...

Jeżeli trzeba będzie ewakuować Koreę by za tę cenę uniknąć otwartej wojny z świeżo objawioną potęgą komunistycznych Chin — będzie to cios i przegrana o wielkich konsekwencjach. Utrata Korei byłaby ciosem — natomiast utrata Europy Za-

chodniej byłaby klęską i katastrofą o skutkach nie dających się wprost wymierzyć. Europa — jeżeli w ogóle ma trwać — już nigdy więcej nie może być wyzwalamą. Europa Zachodnia musi być broniona za wszelką cenę i do upadłego.

W politycznym klimacie Zachodu dźwięczy fałszywa nuta. Pragnienie pokoju jest dziś silniejsze niż pragnienie bezpieczeństwa. Ten nastrój wyborcy ciąży na parlamentach i na kancelariach dyplomatycznych. Chcąc odpowiedzieć tej dominującej nucie wypracowano teorię pokojową, której fundamentem jest hasło stałe otwartych drzwi dla rokowań z Rosją oraz przekonanie, że gdy odbudujemy światowy "balance of power" zbrojeniowy, stanie się wreszcie osiągalne pokojowe wyrównanie różnic ze Związkiem Sowieckim. Ostatnio wysuwa się amerykańską koncepcję "sytuacji siły". Według tej koncepcji, z Rosją opłaci się rozmawiać tylko wówczas, gdy na danym odcinku istnieje możliwość poparcia argumentu politycznego argumentem wojskowym. Jakież mogą być szanse rozmów z Sowietami gdy nie mamy "sytuacji siły" ani w Europie ani w Azji.

W Izbie Gmin min. Bevin stwierdził, że po prostu nie wie czy interwencja chińska na Korei oznacza chęć zabezpieczenia stref przygranicznych czy też stanowi część wielkiego planu "rosyjsko-chińskiego spisku na skalę światową". Wprawdzie Thorez powiedział: "La France c'est mon pays — l'U.R.S.S. c'est ma patrie" — wielu ufa jednak, że Mao Tse nie powiedziałaby tego o Chinach i o Sowietach.

Ową fałszywą nutą, która dźwięczy w polityce Zachodu jest a-racjonalna wiara w możliwość porozumienia się z Rosją i ułożenia pokojowych, sąsiedzkich stosunków między Wschodem a Zachodem. Ta filozofia polityczna jest zła nie tylko dlatego, że jest z gruntu fałszywa, ale jest zła przede wszystkim dlatego, że zawodzi jako instrument polityczny.

Sklonny jestem sądzić, że coraz więcej ludzi na Zachodzie wyczuwa rażącą dysproporcję między żądaniami ofiar i ograniczeń a kategorią celów w imię których te ofiary należy podjąć.

Domagać się rezygnacji — choćby częściowej — z wielowiekowej tradycji suwerenności, głosić konieczność oparcia porządku europejskiego na całkowicie nowych założeniach, planować wspólnotę atlantycką — armię i ponad narodowe instytucje gospodarcze, żądać od milionów Europejczyków po tej i tamtej stronie Kanału by 10% a może i 15% dochodu narodowego przeznaczyli na zbrojenia, by znosili tysiące ograniczeń i prywatacji — wszystko to w imię mglistej nadziei, że kiedyś Sowiety zechcą żyć z Zachodem w pokojowej współpracy — to jest za mało. Takich ofiar można się domagać tylko w imię prawdziwie wielkiego celu. Gigantycznej przebudowy jaką zakreśla Organizacja Paktu Atlantyckiego mogłoby się podjąć jedynie pokolenie, które czerpałoby siłę moralną i odwagę z potężnej idei a nie z egoistycznej chęci uratowania swojej połówki świata.

Być może, że nie byłoby taktycznie wskazane by min. Bevin



czy Sekretarz Stanu Acheson z trybun parlamentarnych ogłosił urbi et orbi, że komunizm i chrześcijańska cywilizacja Zachodu są koncepcjami nie do pogodzenia i że żadna z tych dwóch cywilizacji nie może wyrzec się dążności do uniwersalizmu jeżeli nie ma przekreślić sensu swego istnienia. Lecz przecież w państwach demokratycznych istnieje wiele innych sposobów wpływania na opinię publiczną.

Politycy Zachodu są niepomniernie powściągliwi w formowaniu ideowego pionu atlantyckiej polityki. Lęk przed prowokowaniem Rosji posuwają czasem do trudno zrozumiałych (dla Polaka) ostateczności. Komentując dyskusje na temat jak wielkie winny być siły sojusznicze w Europie (szczególnie w Niemczech) jeszcze rok temu gen. Bradley uważał za celowe wypowiedzieć następującą opinię: "Jeżeli my (St. Zjednoczone) i nasi sojusznicy będziemy usiłowali zbudować zbyt potężną machinę wojenną — stopniowo osłabimy tym naszą strukturę gospodarczą, naszą wytrzymałość i siły. Możemy tym wywołać u przywódców komunistycznych niesłuszny lecz naturalny lęk, że przygotowujemy się do ataku a tym samym możemy pchnąć ich do podjęcia wojny z rozpaczą" (to start a war of desperation). (Cytowane za "Saturday Evening Post", 15 October 1949).

Możemy spokojnie stwierdzić, że przez rok jaki upłynął od wygłoszenia tej opinii nie zrobiono niestety w Europie nic co by mogło Sowiety doprowadzić do... rozpacz.

Jest dla każdego rzeczą zrozumiałą, że oficjalni rzecznicy polityki zagranicznej muszą być powściągliwi i unikać czegokolwiek co mogłoby być poczytane za prowokację. Mimo to jednak za ową powściągliwością musi się kryć jakaś sprecyzowana treść. Obecnie wytwarza się bowiem błędne koło. Przesadna powściągliwość w formowaniu celów politycznych obozu wolnych narodów sprawia, że z jednej strony poczucie niebezpieczeństwa i grozy sytuacji w masach Zachodu jeszcze ciągle nie jest powszechne — z drugiej zaś strony owa powściągliwość stoi w jaskrawym kontraście do olbrzymich żądań wysuwanych pod adresem obywateli.

Jeżeli "zimna wojna" przeplatana "dywersjami" typu Korei trwać będzie dłużej a ciężary, ograniczenia i podatki będą wzrastać oddalając mit "prosperity" — wydaje się, że politycy Zachodu będą musieli porzucić dotychczasową ciasną filozofię i powiedzieć jasno i bez lęku: walczymy o wolność dla wszystkich uciemnionych i o pokój dla całego świata. Nie wierzymy by nasz glob dał się podzielić na atlantycką wolność i sowiecki łagier. Nie da się bowiem budować wolności jednym narodom w sąsiedztwie katowni innych.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Z notatnika

Lata międzywojnia obfitowały w rewelacje na temat roli odgrywanej przez fabrykantów i handlarzy bronią za kulisami polityki międzynarodowej. Przesadne prawdopodobnie opisy machinacji koncernów — w rodzaju Schneider z Creuzot, czy "handlarzy śmierci" — w guście legendarnego Zacharowa, wywołały oburzenie opinii i przyczyniły się niewątpliwie do upaństwowienia przemysłu wojennego w wielu krajach. Powojenna tendencja do nacjonalizacji pogłębiła ten ruch i w chwili obecnej nie wiele fabryk broni czy amunicji w Europie pozostało we władaniu kapitału prywatnego. Reakcja opinii przeciw ciągnięciu zysków materialnych z produkcji czy handlu narzędziami śmierci, a często dostawom ich faktycznemu czy potencjalnemu wrogowi, była naturalna i moralnie zdrowa.

Od czasu upaństwowienia przemysłu wojennego, a zwłaszcza z chwilą objęcia w wielu krajach władzy przez rządy socjalistyczne, mogło się zdawać, że problem handlu bronią przestał istnieć; w każdym razie żaden Zischka go nie podnosi. Rzeczywistość jednak wygląda cokolwiek inaczej.

W czasie wojny domowej w Hiszpanii, gdy sympatie rządu polskiego były niedwuznacznie po stronie rządu gen. Franco, państwowe przedsiębiorstwo "Sepewe" dostarczało samolotów, broni i amunicji, pochodzącej ze składów Min. Spraw Wojskowych lub z bieżącej produkcji państwowych fabryk uzbrojenia, rządowi czerwonej Hiszpanii, który płacił za nie złotem skonfiskowanym w skarbcu Banco d'Espana. Obecnie rząd laburystowski pośpiesza z uznaniem komunistycznych Chin, zapewne głównie w tym celu, aby za pośrednictwem Hong Kongu dostarczać ropę naftową, kauczuk i inne produkty przydatne w wojnie koreańskiej rządowi Mao Tse Tung'a, korzystając z nieobecności na rynku chińskim konkurentów amerykańskich.

Podobne fakty zdają się nie zakłócać spokoju sumienia opinii. Czyżby fakt, że zysk ze sprzedaży broni idzie do kasy państwowej, a nie do prywatnych kieszeni, rozgrzeszał sumienie? A może rządy potrafią lepiej otaczać tajemnicą swoje ciemne operacje eksportowe, niż firmy prywatne?

Liberalna szkoła ekonomiczna powiedziała już chyba wszystko co można powiedzieć przeciw monopolom w przemyśle i handlu. Kraje "kapalistyczne" wypracowały w obronie konsumentów szereg gospodarczych i ustawowych środków wcale skutecznych przeciw znikom producentów. Jak dotąd nie widać jednak ani teoretycznych wskazań ani praktycznych poczyniń w kierunku zwalczania monopolistycznych przerostów niektórych związków zawodowych.

Odnosi się niekiedy wrażenie, że szeroka opinia jakby nie zdawała sobie sprawy, że niczym nie kontrolowany mo-



nopol związków zawodowych może być bardziej szkodliwy dla rozwoju życia politycznego i gospodarczego kraju i interesów konsumenta niż najbardziej zachłanny kartel kapitalistyczny. Ostatecznie zmowa fabrykantów, polegająca na sztucznym ograniczaniu produkcji dla uzyskania wyższych cen, ma poza ujemnymi skutkami z punktu widzenia zatrudnienia, eksportu itd. ograniczony wpływ na kieszeń konsumenta. Granica wzrostu spożywcy jest jasno zarysowana i widzialna w rachunku zysków i strat monopolisty. Gdy cena jest zbyt wysoko wyśrubowana, spadek konsumpcji danego dobra czy usługi wywoła spadek dochodu monopolu.

Związki zawodowe zapominają często o rachunku gospodarczym i nie interesują się bilansami. Podnoszenie płac górników węglowych w Stanach Zjednoczonych przyczyniło się w dużej mierze do postępu technicznego, gdyż zmusiło zarządy kopalń do wprowadzenia urządzeń mechanicznych, by zastąpić drogą pracę fizyczną. Dalsze jednak śrubowanie płac i innych beneficjów robotniczych doprowadziło do takiego podrożenia węgla, że spożycie jego zaczyna zmniejszać się na korzyść produktów gazu ziemnego, "białego węgla" itd. Jednym słowem związek zawodowy przez nadużywanie swej władzy podcina gałąź, na której sam siedzi, nie mówiąc już o bardzo poważnych stratach gospodarczych tego stanu rzeczy.

Kartel wyzyskuje spożywcy przez podnoszenie ceny ale nie odmawia mu towaru. Związki zawodowe stosując strajk pozabawiają niekiedy zupełnie konsumenta możliwości nabycia danego dobra lub usługi. Można wprawdzie odpowiedzieć, że strajk bywa jedyną skuteczną bronią jaką w walce swej dysponują związki robotnicze, ale faktem pozostaje, że broń ta jest wyjątkowo brutalna i bardziej dotkliwa dla spożywcy niż dla kapitalisty przeciw któremu jest wymierzona.

Specjalnie dokuczliwe stają się strajki "przez sympatię" a zwłaszcza strajki wywołane na tle konkurencji między uniami robotniczymi czy też wewnętrznymi tarć w związkach. O ile strajki będące wyrazem solidarności związków robotniczych mogą czasami wywoływać zrezygnowaną sympatię konsumenta, o tyle wstrzymanie dostawy dobra czy usługi z przyczyn agospodarczych jest nie do usprawiedliwienia.

Porównanie polityki związków zawodowych z praktyką przedsiębiorstw kapitalistycznych, konkurujących ze sobą w drodze obniżania cen i podnoszenia jakości, wypada wyraźnie na niekorzyść unii robotniczych. Podobnie nikt nie słyszał, aby fabryka przestała dostarczać towarów dlatego, że dwóch jej dyrektorów się pokłóciło; znamy natomiast strajki na tle nieporozumienia wśród urzędników unii.

Ofiarą podobnego stanu rzeczy padają oczywiście wszyscy. Zapomina się niekiedy, że od kołyski do grobu każdy jest spożywcą, bez względu na to czy jest poza tym rentierem, dyrektorem fabryki czy członkiem związku zawodowego robotników.

W. A. Zbyszewski przypomniał przed wojną, w "Polityce", powiedzenie marszałka Wellingtona, że powierza on pieniądze jedynie największemu pesymiście wśród bankierów, gdyż tylko taki pesymista potrafi ulokować powierzone mu kapitały w sposób gwarantujący ich zwrot. Anegdota ta ilustruje, świadomy, czy nieświadomy, stosunek wielu ludzi do spraw majątkowych. Ostrożność, rozkładanie ryzyka, ubezpieczenie przed niepowodzeniem to normalne cechy działalności gospodarczej, zwłaszcza gdy operuje się cudzymi pieniędzmi. Bankier, zanim udzieli kredytu, bada szanse powodzenia klienta, zabezpiecza pożyczkę, często asekuruje ją w towarzystwie ubezpieczeń, zaprasza inne banki do współdziałania itd. Nie tylko postęp wiedzy i techniki bankowej ale także ustawy, zabraniające instytucjom finansowym ryzykownych operacji przyczyniły się do tego, że z większym spokojem można obecnie powierzać pieniądze bankom, niż choćby przed stu laty.

Postęp w tej dziedzinie pozostaje w jaskrawym przeciwieństwie do stosunków panujących w polityce. Tutaj najważniejsze decyzje dotyczące czasami przyszłości państwa i życia milionów podejmowane bywają w atmosferze emocjonalnej, ulegania nastrojom mas, a wyjątkowo z myślą o możliwości, a tym bardziej — skutkach, ewentualnego niepowodzenia.

Czym innym wytłumaczyć decyzję, a zwłaszcza moment, rozpoczęcia powstania warszawskiego? Czy ktoś z tych co rozkaz ten wydali zważył przed tym w myślach skutki klęski, którą przecież przy miazdzącej przewadze sił niemieckich i przy braku możliwości liczenia na szczerą pomoc sowiecką, łatwo było przewidzieć?

Wobec braku wiedzy politycznej, która by chroniła przed błędami choć w tym stopniu co wiedza bankowa i wobec nie istnienia ustawodawstwa, które zabraniałoby ryzykownych kroków politycznych, jedyne co nam pozostaje to powierzanie, śladem marszałka Wellingtona, dyspozycji politycznej urodzonym pesymistom. Popełnią zapewne mniej i znacznie mniej kosztownych błędów.

Wśród wielu haseł, które pozostawił nam w spadku wiek XIX-ty twierdzenie o międzynarodowej solidarności robotników należy bodaj do najmniej szczęśliwych. Teoria ta jest typowym przykładem spekulacji umysłowej, nie mającej żadnego pokrycia w rzeczywistości. Rozumieją to komuniści, którzy złożyli do lamusa slogan "proletariusze wszystkich krajów łączcie się" i wygrywają nastroje nacjonalistyczne robotników gdy tylko to im dogadza w rozgrywkach międzynarodowych, a hasła nienawiści lub przeciwieństw klasowych wewnątrz społeczeństw. Sądzę, że postępują tak nie tylko dla tego, że hasła negatywne (nienawiść) wywołują silniejszy odzew emocjonalny niż hasła pozytywne (miłość, solidarność) ale dlatego, że mit o międzynarodowej solidarności klasy robotniczej jest zupełnie bezuży-



teczny gdy chodzi o trafienie do mas. Wierzą zresztą w niego głównie socjaliści odmiany idealistycznej: pierwsze ofiary cmentarzy sowieckich.

Solidarność robotnicza w skali międzynarodowej nie istniała nigdy. Warunkiem niezbędnym dla poczucia solidarności jest przede wszystkim uczucie sympatii a to znów wymaga znajomości i zrozumienia przedmiotu tej sympatii. Największą przeszkodą zbliżenia w stosunkach międzynarodowych na każdej płaszczyźnie jest nieznajomość obcych krajów i języka jego mieszkańców. Ciosem dla uniwersalizmu cywilizacji zachodniej było wyrugowanie łaciny przez języki narodowe a potem języka francuskiego, który łacinę w znacznej mierze zastępował.

Klasy wyższe pielegnowały zwykle znajomość obcych języków, zawsze chętnie podróżowały za granicę i, co ważniejsze, z tytułu swoich interesów zawodowych musiały poznawać i rozumieć obce narody. W ten sposób mogła istnieć w pewnym sensie "międzynarodówka" rodzin panujących czy arystokracji wzmocniona więzami rodzinnymi, potem "międzynarodówka" wielkich domów handlowych, morskich czy bankierskich powiązanych niekiedy wspólnymi interesami i zbliżonych podobną kulturą lub przynajmniej stylem życia. Cóż jednak wiedzą o sobie, i jak mają znaleźć wspólny język, robotnicy Mediolanu i Sztokholmu? A przecież solidarność proletariatu ma obejmować kulisa chińskiego, murzyna w kopalniach południowo-afrykańskich, górnika węglowego w Szkocji i robotnika od Forda z Detroit.

Reakcja Labour Party na plan Schumana potwierdza starą tezę, że w miarę jak systemy polityczne demokratyzują się stają się coraz bardziej nacjonalistyczne. Wiadomo również, że ruchy szowinistyczne, antysemityzm, rasizm itd. mają największe powodzenie wśród proletariatu miejskiego.

Wprawdzie międzynarodowe kongresy parlamentarzystów, historyków, lekarzy, ogrodników, filatelistów itd nie doprowadziły do pokoju powszechnego ale niewątpliwie przyczyniają się one do wzajemnego poznania się narodów a zatem stanowią pierwszy krok na tej drodze. Wobec tego należy sobie życzyć aby nauczanie powszechne objęło jak najprędzej obce języki, a wycieczki zagraniczne i wymiana robotników przybrały jak najszerze rozmiary. Skutku możemy oczekiwać za paręset lat.



Zawsze zastanawiało mnie ile prawdy jest w twierdzeniu, że Zachód nie jest w stanie zrozumieć nie tylko "duszy" ale nawet zwykłych reakcji ludzi Wschodu. Wprawdzie Azji nie znam, ale potrafiłem — jak mi się zdaje — zrozumieć i podziwiać wyjątkowe zjawisko jakim był Gandhi. Bez podziwu, za to z głęboką irytacją, śledziłem karkołomne próby Pandit Nehru stworzenia w obecnej sytuacji, naokoło Indii niezależnego bloku czy też azjatyckiego "klubu trzeciego miejsca". Wprawdzie

Europejscy czy amerykańscy znawcy stosunków tłumaczą często stanowisko Nehru wpływem nauki mistrza, ale wydaje mi się, że obecna polityka indyjska pozostaje w bez porównania mniejszym stopniu pod wpływem etycznych wskazań zmarłego proroka, niż pod wpływem — tak typowej dla narodów, które odzyskały wolność — nienawiści lub przynajmniej niechęci do wszystkiego co reprezentuje dawny okupant i co go przypomina. Sądzę, że w tym kompleksie a nie w naukach Gandhiego szukać raczej trzeba klucza dla zrozumienia niechęci Indii do wchodzenia w sojusz z państwami anglosaskimi.

W "The Economist" z 4 listopada 1950 czytam w notatce, omawiającej zajmowanie Tybetu przez wojska komunistycznych Chin, że "inwazja ta nie jest bezpośrednim zagrożeniem Indii poza tym, że przybliżyła rządy komunistyczne do ich granic".

Wbrew opinii znakomitego tygodnika londyńskiego nie mam wątpliwości że okupacja Tybetu przybliżyła nie tylko rządy ale i samoloty komunistyczne do granic Indii.

Ciekawe co myślą sobie, liczni na pewno, Hindusi czytający tę notatkę w "Economist". Czy nie dochodzą oni czasami do wniosku, że ludzi Zachodu nie można zrozumieć, jeżeli czołowy organ londyńskiej City zachowuje się tak, jakby nie widział zagrożenia dawnej perły korony brytyjskiej, w której jakby nie było — posiada Anglia jeszcze ciągle ogromne interesy polityczne i gospodarcze? Mnie ta "tajemnicza dusza Zachodu" rysuje się na kształt strusia, trzymającego głowę głęboko zakopaną w piasku.

T. S.

## Kronika emigracyjna

### P.U.C.

P.U.C. (Polish University College) jest jedną z polskich osobliwości w Anglii. Nie wydaje mi się bowiem, aby było łatwo znaleźć drugą wyższą polską uczelnię, której studentami i profesorami byłby sami Polacy a językiem wykładowym był język obcy.

Emigranci zdumiewają zdolnością przystosowania się do nowych warunków. Jest to cecha dodatnia. Mimo to jednak, widok polskiego profesora, wykładającego dla 100% polskiego audytorium po angielsku — na mnie osobiście — jeszcze ciągle robi raczej dziwne wrażenie.

Nie od początku tak było. Ewolucja P.U.C. jest poniekąd ilustracją do dzieł polskich na tych wyspach. W r. 1942 Rząd Polski powołał Radę Akademickich Szkół Technicznych, której zadaniem było umożliwienie kontynuowania studiów technicznych studentom przebywającym w Anglii. W pierwszym roku 1942/43 było 40 studentów, w roku następnym 100. W 1944 r. Dekret Prezydenta R.P. nadał



Radzie Akademickich Szkół Technicznych pełne polskie prawa akademickie.

Sytuacja uległa zmianie, gdy rząd brytyjski cofnął uznanie rządowi polskiemu, a następnie gdy tzw. "Polish Resettlement Act" stał się obowiązującą ustawą. Na mocy tej ustawy brytyjski minister oświaty i Sekretarz Stanu dla Szkocji powołał tzw. "Committee for the Education of Poles in Great Britain". Komitet ten objął pieczę nad instytucjami zarządzanymi do kwietnia 1947 przez Radę Akademickich Szkół Technicznych — przemianowując je na Polish University College.

O ile Rada Akademicka Szkół Tech. miała na celu przygotowanie inżynierów do odbudowy Polski po wojnie i zgodnie z tym założeniem, swój naukowy program dostosowywała ściśle do programów polskich politechnik, o tyle PUC ma odmienne zadania. Jest to prawdziwie emigracyjna uczelnia, której jedynym zadaniem jest przygotować Polaków do życia i pracy zawodowej w Anglii, względnie w jej dominach czy koloniach.

Ta zmiana założeń pociągnęła za sobą konieczność licznych reform. Przede wszystkim reformy objęły program studiów. Tytuł inżyniera w sensie stopnia naukowego jest w Anglii nie znany. Słowo "Engineer" używane jest jako określenie funkcji lub zawodu, nie mówi jednak nic o stopniu wykształcenia osoby, która daną funkcję pełni. Każdy szeregowiec saperów jest w Anglii "Royal Engineer", nie oznacza to jednak bynajmniej, że musi być "królewskim inżynierem". Programy PUC'u dostosowano zatem w ten sposób, by przygotować studentów do egzaminu wymaganego przez Uniwersytet Londyński od osób, które ubiegają się o stopień "B. Sc." (Bachelor of Science — magister nauk ścisłych).

Oczywiście, dla kończących studia zrobiono wyjątek. W bieżącym roku akademickim będą wydane ostatnie dyplomy według dawnego stylu.

PUC obejmuje dziś wydziały: elektryczny, chemiczny, mechaniczny, inżynierii lądowej oraz wydział Ekonomii i Handlu oraz tzw. Polska Szkoła Architektury. Kierownictwo spoczywa w rękach zarządu, którego przewodniczącym jest Sir William Brockington. Ze strony polskiej zasiadają w zarządzie amb. E. Raczyński, prof. H. P. Herbich, prof. V. M. Narbutt, i prof. Skoczylas, i prof. Kolbuszewski.

Wielką pomoc w organizowaniu wydziałów technicznych, a zwłaszcza świetnie wyposażonych laboratoriów, okazały londyńskie City and Guild College oraz Imperial College of Science and Technology.

Zwiedzając laboratoria, oglądając wystawę prac architektonicznych, patrząc na gwarne, ruchliwy tłum studentów kipiący życiem — przybyszowi z zewnątrz trudno jest uwierzyć, że PUC jest instytucją na wymarcie.

Zdawałoby się, że trudno o bardziej kwitnącą uczelnię. A jednak statystyka mówi co innego: w r. akademickim 1947/48 szkoła liczyła 1100 studentów. W r. 1948/49 — 981, w r. 1949/50 — 859, w bieżącym roku jest już tylko 719.

Prof. inż. S. Połujan, dyrektor Szkoły Architektury powiedział mi, że w ub. roku było tylko 6 zgłoszeń na 1 rok studiów architektury. W ub. roku nie otwarto już pierwszego roku studiów. Gdy obecnie studiuje na wszystkich wydziałach PUC'u złożyła końcowe egzaminy — uczelnia zamknie swe podwoje. Wielka akcja "rozmieszczenia" Polaków zapoczątkowana jedyną w swoim rodzaju formacją "Polish Resettlement Corps" czyli tzw. P.K.P.R. dobiegnie końca.

Do tej pory ukończyło PUC 324 Polaków. 259 z tej cyfry — otrzymało pracę w Anglii. 41 wyemigrowało do dominiów brytyjskich. Tylko 10 wróciło do Kraju.

Jest kilka projektów utrzymania uczelni, a przynajmniej pewnych jej wydziałów. Największe szanse przetrwania ma Architektura. Dziś są to jednak tylko plany i trudno nawet w przybliżeniu określić stopień prawdopodobieństwa ich realizacji.

### Emigranci o dwóch nazwiskach

Również pewną osobliwością polskiej emigracji w Anglii są coraz liczniejsi uchodźcy, którzy prowadzą dosłownie podwójne życie. Mam na myśli Polaków, którzy nie tylko przyjęli obywatelstwo brytyjskie, lecz również zmienili nazwiska na angielsko brzmiące. Można przyjąć jako regułę, że Polacy tej kategorii używają stale dwóch nazwisk. W organizacjach polskich, w kole Kombatantów czy w polskim stowarzyszeniu kulturalnym gentleman taki występuje tylko pod swoim polskim nazwiskiem. Natomiast w angielskiej firmie w której pracuje, na policji, w brytyjskim związku zawodowym, figuruje jako Smith, Green czy Burns.

Osobiście znam szereg takich "podwójnych" osobistości w Londynie. W bardzo wielu wypadkach znajomi p. Green'a nie wiedzą, że ma on w kieszeni kartę identyczności na nazwisko Green. Znają go bowiem tylko pod polskim nazwiskiem. Często dopiero przypadek odkrywa "drugie wcielenie" pana Zielenki, czy Buczkiewicza.

Sprawy te w środowisku polskim w Anglii traktowane są wstydliwie i z największą dyskrecją.

Omawiając to zagadnienie, które niewątpliwie należy do socjologicznej problematyki emigracji naszej w Anglii — sądzę, że zamiast drzeć szaty lepiej zastanowić się obiektywnie nad genezą tego osobliwego zjawiska.

W tym kraju nie ma bezpośredniego nacisku na cudzoziemca w kierunku naturalizacji. Ale istnieje wiele innych okoliczności, które sprzyjają temu procesowi. Weźmy następujący przykład: Polak, który ukończył Polską Szkołę Architektury (PUC), by być w pełni uprawnionym architektem musi zostać członkiem swego "cechu" — w tym wypadku "Royal Institute of British Architects". Gdy posiada członkostwo tej instytucji zyskuje prawo umieszczania za swym nazwiskiem liter: A.R.I.B.A. — Litera "A" oznacza słowo "associate" — stowarzyszony członek instytutu.

Istnieją analogiczne instytuty elektryków, chemików, mechaników itp. By zostać członkiem instytutu kandydat musi złożyć odpowiednie egzaminy. Polska Szkoła Arch. jest uznana przez R.I.B.A. i dlatego absolwenci zdają tylko końcowy egzamin ubiegając się o członkostwo instytutu. Ale to jeszcze nie wszystko. Polak złożony choćby z najlepszym wynikiem egzaminu do instytutu, nie zostaje jego członkiem dopóki nie przedłoży dowodu, że jest obywatelem brytyjskim. Instytut nie przyjmuje bowiem na członków cudzoziemców.

Innymi słowy, pełno-uprawnienie zawodowych kwalifikacji w wszystkich analogicznych wypadkach wymaga naturalizacji. Jest rzeczą nie notowaną, by firmy prywatne czy instytucje państwowe — poszukując np. architekta zaznaczały, że kandydat musi posiadać obywatelstwo brytyjskie. Zaznaczone jest natomiast niemal zawsze, że kandydat musi być członkiem R.I.B.A., co w praktyce wychodzi to samo.

Rząd polski udziela niezmiernie liberalnie zezwoleń na przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego. Badając tę sprawę z ramienia KULTURY dowiedziałem się w miarodajnym referacie rządu, że do tej pory odmówiono zezwolenia tylko w jednym wypadku. Petentem był zawodowy oficer wysokiego stopnia. Polacy, naturalizowani obywatele brytyjscy, pozostają nadal członkami Stow. Pol. Kombatantów oraz innych emigracyjnych stowarzyszeń i biorą aktywny udział w życiu polskim.

Sprawę zmiany nazwiska wyjaśnić można w pewnym stopniu faktem, że nie ma chyba na świecie drugiego kraju gdzie odnośna procedura byłaby równie prosta i nie kłopotliwa. Nazwisko zmienia się (bez podań, ogłoszeń w dziennikach, opłat itp.) po prostu w najbliższym Urzędzie Żywnościowym (Food Office). Otrzymuje się nową kartę identyczności i nowe książeczki żywnościowe. Na tym koniec. Kłopoty zaczynają się dopiero gdy ktoś zamierza zmienić nazwisko po raz... trzeci. Wówczas władze wymagają by petent podał waż-



ne powody. Przy pierwszej i drugiej zmianie nie potrzebuje nikt podawać żadnych powodów. Angielskie ustawodawstwo nie zna również pojęcia "własności" nazwiska w sensie kontynentalnym. Gdyby piszący te słowa zechciał zmienić sobie nazwisko na Churchill — Winston Churchill — nie miałby do swej dyspozycji żadnych środków prawnych, by temu przeszkodzić.

Polskie nazwiska niewątpliwie sprawiają wiele kłopotu Anglikom. Polacy pracujący wśród Anglików często mają tzw. "nick-name" czyli przezwiska. Zwykle urobione ono bywa z pierwszych liter nazwiska i wymawiane jest po angielsku. Np. Mieroszewski na Miero.

Jeżeli chodzi o moralną stronę tego zagadnienia — to myślę, że wszelkie generalizowanie byłoby fałszywe i krzywdzące. To są bądź co bądź sprawy tak osobiste i indywidualne, że tylko badając każdy poszczególny wypadek można by ocenić procent oportunistów w odróżnieniu od tych, których do tej przemiany zmusiła konieczność. Bo niewątpliwie są i tacy.

### Wybory i Skarb Narodowy.

W poprzedniej kronice (KULTURA Nr 12/38), zacytowałem przemówienia Prezydenta R.P. i premiera gen. Odzierżyńskiego z których należało by wnioskować, że przyszła Rada Narodowa składać się będzie w większości z przedstawicieli stronnictw, a tylko w pewnej części z radnych pochodzących z wyborów. Prezydent zamykając pierwszą sesję III Rady Narodowej powiedział m. in., że pragnie "stworzenia Rady Nar. składającej się w przeważającej części ze stronnictw politycznych a w części z działaczy wyłonionych z uchodźstwa na zasadzie wyborów".

Obecnie, po przeprowadzeniu rozmów z członkami rządu i przedstawicielami Rady Narodowej mogę autorytatywnie wyjaśnić, że zarówno Prezydent jak i rząd stoją nadal w zasadzie na stanowisku, iż zgodnie z projektem dekretu o Ordynacji Wyborczej — 50% mandatów przyszłej Rady Nar. winno przypaść radnym wyłonionym z wyborów. Obecna Rada Nar. — jak mnie zapewniono — w ogromnej większości wypowiada się również za tym, by połowa mandatów przyznana była radnym z wyborów.

Rada Nar. kończy swój żywot w pierwszych dniach lipca 1951. W drugiej połowie stycznia Rada przystąpi do obrad nad budżetem. Budżet zajmuje zazwyczaj 2 do 3 miesięcy. Na uchwalenie Dekretu o Ordynacji Wyborczej zostanie więc niewiele czasu. Ordynacja musi być jednak uchwalona, by nowa Rada Narodowa mogła się zebrać.

Na emigracji istniały aż trzy różne koncepcje zastępczego ciała reprezentacyjnego. Pierwszy projekt odrzuca w ogóle wybory. Według tej koncepcji Rada Narodowa winna składać się z osób delegowanych przez stronnictwa, oraz osób zaproszonych nie związanych z partiami. Za tym projektem do dziś wypowiadają się stronnictwa opozycji skupione w Radzie Politycznej.

Wedle drugiego pomysłu mandaty winny być podzielone na trzy części. Jedna trzecia mandatów przyznana by była delegatom stronnictw, jedna trzecia przedstawicielom organizacji społecznych, a jedna trzecia radnym wyłonionym z wyborów.

Trzeci projekt, który powinien być uchwalony przed lipcem br. — przewiduje, że nowa Rada Narodowa składać się będzie w połowie z delegatów stronnictw a w połowie z radnych pochodzących z wyborów.

W kołach rządowych przewiduje się, że wybory trzeba będzie przeprowadzać "ratulnie". Wszystko bowiem zależy od gotowości organizacyjnej w danym kraju. Szkieletem organizacji wyborczej będzie sieć ogniw Skarbu Narodowego. Są kraje, gdzie organizacja tej sieci jest już dojrzała do przeprowadzenia wyborów lecz są i kraje, gdzie do tej pory nie zdołano pokonać licznych trudności.

Interesującą ilustrację stanowią następujące cyfry. W Anglii ok.

30% Polaków posiada legitymacje Skarbu Narodowego. Najlepiej pod tym względem zorganizowane są Niemcy. Około 40% Polaków przebywających w Niemczech popiera aktywnie akcję Skarbu Narodowego. Na drugim miejscu znajduje się W. Brytania, na trzecim Belgia.

Do dziś dnia nie wiadomo czy w pewnych krajach, na skutek miejscowego ustawodawstwa, będzie w ogóle można przystąpić do organizowania wyborów. Do takich krajów należy Argentyna. Gdzie indziej brak większych skupisk, trudności komunikacyjne, wielkie rozproszenie, mogą również w praktyce uniemożliwić wybory. Przykładem takiej sytuacji jest Australia.

Być może przeto, że po uchwaleniu Ordynacji Wyborczej rząd przystąpi do organizowania wyborów wszędzie tam, gdzie będzie to możliwe i wykonalne. Wydaje się bowiem, że nie byłoby rzeczą słuszną rezygnować w ogóle z projektu wyborów z tego tylko względu, że nie we wszystkich krajach w których przebywają Polacy — projekt ten będzie wykonalny.

LONDYŃCZYK.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

*jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.*

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

**Korespondenci:** we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

**Ogłoszenia:** 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

**Redakcja, administracja, drukarnia:**  
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönaun  
US Zone, Germany.



## Najnowsza historia Polski

### Sprawa Michała Żymierskiego

Łyżwiński, skromny zwrotniczy kolejowy w Krakowie, nie przeczuwał, jaką szaloną karierę zrobi jego syn Michał. Nie przewidywał również, jak zbladzi drugi jego syn, który przed pierwszą wojną światową pracował jako praktykant w księgarni Gebethnera i Wolfa w Krakowie. Ten drugi syn zabił w celu rabunku zarządzającego wspomnianą księgarnią 60-letniego Świszczowskiego. Sprawa ta miała w Krakowie duży rozgłos i w związku z tym Michał Łyżwiński zmienił nazwisko Łyżwiński na Żymirski. W ten sposób poległy w bitwie pod Olszynką Grochowską (bitwa toczyła się 25 lutego 1831 roku) dowódca dywizji generał Żymirski dostał niespodziewanie "przyszywanego" potomka. Biorąc udział przed pierwszą wojną światową w drużynach strzeleckich pod pseudonimem "Zawisza", Michał Żymirski w roku 1914 wyruszył w pole jako dowódca jednego z batalionów legionowych. Żymirski na czele swego batalionu walczył z Moskalami w bitwie pod Laskami (22 - 26 października 1914 roku) i był ciężko ranny odłamkami szrapnela. Rannego odwieziono do Wiednia i umieszczono na kuracji w jednym ze szpitali wojskowych. Wśród Polonii wiedeńskiej bohaterki potomek bohaterskiego generała Żymirskiego stał się głośny. Głównym protektorem Żymirskiego był wówczas profesor historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego dr hr. Mycielski. Robił on Żymierskiemu, — i to właśnie jako potomkowi generała Żymirskiego — wielką reklamę. Opiekująca się szpitalem arcyksiężna austriacka odwiedziła rannego Żymirskiego. Odwiedzały go frejliny dworu wiedeńskiego. To wszystko tak podziałało na Żymirskiego, tak mu uderzyło do głowy, że poczuł się arystokratą i za takiego się podawał. Lubił opowiadać o ró-

żach hodowanych w majątku jego matki na Ukrainie, o tym jak on tam obcinał setki róż... itp. Wieści o nowym arystokracie doszły do władz legionowych, zajęto się osobą Żymirskiego i ujawniono jego pochodzenie, po czym zabrano ze szpitala wiedeńskiego i przywieziono do Krakowa. Ponadto rodzina generała Żymirskiego po kądzieli (Komorowscy) zapragnęła pozbyć się intruza i wystąpiła przeciwko posługiwaniu się przezeń nazwiskiem poległego generała. Wtedy Żymirski powiększył swoje nazwisko o literę "e" i wówczas powstał "Żymierski".

Kiedy Żymierski po powrocie do zdrowia przybył do szeregów, dowcipni koledzy legionowi dali mu złośliwe przezwisko "margrabia Halifax". Przeważano Żymierskiego "margrabią" z uwagi na jego hochstaplerskie pięcie się do arystokracji, a "Halifax" — ponieważ wtedy były w użyciu łyżwy tzw. "halifaxy"; były one uważane za stosunkowo najgorsze i były najtańsze.

Żymierski brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku; po jej zakończeniu awansował na generała brygady i otrzymał stanowisko zastępcy szefa administracji armii, to jest zastępcy drugiego wiceministra spraw wojskowych.

Kiedy stała się aktualna kwestia zaopatrzenia wojska w maski gazowe, powstała wówczas firma "Protekt", która założyła fabrykę masek typu, używanego w armii francuskiej. Maski tego typu nie należały do najlepszych, a produkowane przez "Protekt" pozostawiły mi niezbyt pochlebne o ich jakości wspomnienie.

Oto w roku 1928, jako pułkownik ówczesnego korpusu sądowego i sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego, byłem na pierwszym kursie przeszkolenia oficerów tego korpusu. W zakres kursu wchodziło parę wykładów o gazach bojowych i o obronie przeciwgazowej, a następnie uczestnicy kursu w maskach fabrykacji "Protekt" zamknęli byli w komorze gazowej na Marymoncie. Komorę napełniono gazem łzawiącym. Maski tak słabo chroniły od gazu, że trudno było wytrzymać, a gdy, po ukończeniu ćwiczenia, zdjeliśmy je, twarze nasze były mokre od łez, a w oczach w ciągu następnych godzin czuliśmy mocne swędzenie. O ile gorzej wyglądalibyśmy, gdyby puszczone na nas gaz bojowy!

Dyrektorem "Protektu" był niejaki Saxon, a współnikiem jego znany poseł Popiel. Działalność "Protektu" i stosunek do niej Żymierskiego tudzież stosunek jego do firmy "W. Zieliński" (gaśnice), doprowadziły do wszczęcia przeciw Żymierskiemu śledztwa. Śledztwo prowadzili wojskowi sędziowie śledczy: major (ostatnio pułkownik) dr Tadeusz Porębski i major (ostatnio pułkownik) dr Konrad Zieliński. Akta śledztwa zawarte były w osiemnastu tomach. Rozprawa sądowa przeciwko generałowi brygady Michałowi Żymierskiemu toczyła się w roku 1927 w Wojskowym Sądzie Okręgowym Nr 1 w Warszawie.

Według obowiązującej wówczas w sądownictwie wojskowym, austriackiej ustawy wojskowego postępowania karnego z 5 lipca 1912 roku (patrz rozp. Rady Ministrów w Dz. U. R. P. Nr 59, poz.

\* ) Niektóre szczegóły do niniejszego artykułu zostały zaczerpnięte z artykułu Jana Krzysztofa Kwiatkowskiego pt. "Ludzie reżimu tymczasowego", *Przegląd Polski*, Londyn, wrzesień 1946, Nr 3.



368 z 1920 r.) w sprawach przeciwko generałom na przewodniczącego rozprawy wyznaczony był jeden z sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego, asesorami (sędziami niezawodowymi) zaś byli czterej generałowie.

Na rozprawie głównej przeciwko generałowi Żymierskiemu przewodniczącym był sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego generał brygady dr Bronisław Sikorski. Asesorami byli: generałowie brygady Mieczysław Mackiewicz, Józef Olszyna-Wilczyński i Stanisław Wróblewski oraz kontradmirał Borowski. Jako oskarżyciel publiczny występował podprokurator Wojskowego Sądu Okręgowego Nr 1, major (ostatnio podpułkownik) Zygmunt Rumiński, obrońcą zaś był adwokat dr Stanisław Szurlej. Na rozprawę wezwano dwóch rzeczoznawców księgowych. Jednym z nich był podpułkownik Mieczysław Staszewski, drugiego nazwiska nie wymieniam.

W toku przewodu sądowego ustalono, iż Żymierski, jako zastępca szefa administracji armii, polecił wypłacić firmie "Protekta" milionowe zaliczki na zamówione dla wojska maski gazowe, zanim jeszcze ta firma posiadała jakiegokolwiek warsztat do fabrykacji. Z udzielonych zaliczek firma kupiła 100%-wy portfel akcji spółki akcyjnej "But" w Radomiu, posiadającej tamże fabryczkę. W tej fabryczce poczęto później produkować maski gazowe, za które wojsko drogo płaciło. Dalej ustalono, że portfel akcji "Buta" w Radomiu kupiono za 196.000 złotych, a do aktywów "Protekt" wstawiono majątek "Buta" jako równowartość 600.000 złotych. Ta ostatnia suma była pokryta "kapitałem" "Protekt" w sumie 400.000 złotych i pożyczką 200.000 złotych z Banku Zjednoczonych Kooperatyw, którego dyrektorem był także Saxon. Powyższy Bank Z. K. posiadał w owym czasie kapitał akcyjny, który po przeliczeniu na złote polskie wynosił około 18 złotych, wyraźnie osiemnaście złotych. Z tej operacji było widoczne, iż Saxon et consortes, obracając zaliczkami na produkcję masek, "zarobili" na portfelu akcji "Buta" ponad 400.000 złotych.

Taki był wcale niezły początek zarobkowania firmy "Protekta", która powstała dzięki zaliczkom skarbowym, wypłaconym przez Żymierskiego.

Ustalono także, iż w "Protekt" 50% portfelu akcji posiadali bracia Saunier z Paryża, mający licencję na wyrób masek gazowych wzoru francuskiego. Wyłoniły się podejrzenia, że jedna trzecia portfelu akcji Saxona należała do Żymierskiego, wobec czego Saxon dzielił się z Żymierskim tak zwanymi "cichymi", to jest niebilansowymi, zyskami. Formalnie jednak posiadaczem całego polskiego portfelu akcji "Protekt" był Saxon.

Ustalono wreszcie, że w dwóch wypadkach "Protekta" za pośrednictwem konta swego dyrektora Saxona w Banku Zjednoczonych Kooperatyw przekazała na rachunek Żymierskiego w tymże Banku poważniejsze sumy, które w każdym wypadku stanowiły jedną trzecią cichego zysku, wycofanego przez Saxona z przedsiębiorstwa "Protekt".

W charakterze świadków na rozprawie występowały dwie ko-chanki Żymierskiego, ale ich zeznania nie wniosły niczego istotnego do sprawy.

Rozprawa sądowa w sprawie przeciwko Żymierskiemu budziła w Warszawie olbrzymie zainteresowanie. O wyroku doniosły pisma codzienne, a kilka z nich wydało dodatki nadzwyczajne. Między innymi ogłoszono wyrok w dodatku nadzwyczajnym dziennika "Rzeczpospolita" z dnia 6 września 1927 roku.

Wojskowy Sąd Okręgowy Nr 1 w Warszawie uznał generała brygady Michała Żymierskiego winnym, że będąc zastępcą szefa administracji armii nadużył świadomie swego stanowiska służbowego na szkodę interesów państwa przez: a) danie zamówienia na 100.000 masek gazowych firmie "Protekta" po cenie równoważności 4,75 dolara, wiedząc, że cena ich nie powinna przekraczać 3,10 dol., czym naraził Skarb Państwa na utratę około 150.000 dol.; b) faworyzując firmę "Protekta", wydał jej zaliczki na sumę 1.237.500 złotych, do czego nie miał prawa; ponieważ zaliczki te były bezprocentowe, naraził Skarb Państwa tytułem procentów na stratę sumy 48.756 złotych; c) czyny te popełnił za łapówki otrzymane od wspólnika firmy "Protekta" dyrektora Saxona; d) ze stratą dla Skarbu Państwa, ze względów i powodów czysto osobistych popierał firmę "W. Zieliński" przy dostawie gaśnic dla potrzeb armii.

Za powyższe czyny generała Żymierskiego skazano w myśl art. 578 k. k. na pięć lat ciężkiego więzienia i na wydalenie z wojska.

W Rzeczypospolitej Polskiej, na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego, obowiązywał wówczas tymczasowy kodeks karty rosyjski z roku 1903. Artykuł 578 tego kodeksu, który dał podstawę do skazania generała Żymierskiego, opiewał, co następuje:

Urzędnik... winny użycia swego stanowiska służbowego świadomie na szkodę mienia lub interesu majątkowego, powierzonego mu z tytułu służby, jeśli skutek nadużycia nastąpiła szkoda, ulegnie karze:

wiezienia na czas od jednego do sześciu lat.

Jeśli wyrządzona szkoda była tak znaczna, że spowodowała ważny uszczerbek dla skarbu... winny ulegnie karze: ciężkiego więzienia na czas od czterech do ośmiu lat.

Przyjęcie, zażądanie i wymuszenie łapówek przewidywały artykuły 656 i 657 tegoż kodeksu, lecz kary groziły mniej surowe, niż z art. 578 część 2. Dlatego przy wymierzeniu kary powołano tylko artykuł 578.

Należy przy tym wyjaśnić, iż skazanie na karę ciężkiego więzienia pociągało za sobą w myśl artykułu 28 powołanego kodeksu karnego utratę tytułów honorowych, rang, orderów i odznaczeń, godności honorowych i pensji, a także usunięcie z urzędów państwowych i innych.

Ta utrata była bezpowrotna, chyba że skutki skazania byłyby następnie darowane aktem łaski przez Prezydenta Rzeczypospolitej.



Tak jednak się nie stało.

Obrona Żymierskiego założyła od wyroku sądu pierwszej instancji środki prawne — zażalenie nieważności co do orzeczenia o winie i karze oraz odwołanie od wymiaru kary. W związku z ogromnym materiałem faktycznym, ustalonym w protokółie rozprawy głównej, i bardzo obszernym wyrokiem sądu pierwszej instancji zażalenie nieważności i odwołanie były wielce szczegółowe i drobiazgowo, powiedziałbym możliwie najstaranniej wywiedzione. Zajmowały te środki prawne, o ile pamiętam, 160 stron maszynowego pisma i były zbroszurowane jak książka. Zażalenie nieważności i odwołanie podlegały rozpoznaniu przez Najwyższy Sąd Wojskowy jako drugą i ostateczną instancję sądową.

Prezesem Najwyższego Sądu Wojskowego był wtedy generał brygady dr Jakub Krzemiński. Ja byłem sędzią tego sądu. Zostałem wyznaczony jako sędzia referent (sprawozdawca) w sprawie przeciwko Żymierskiemu. Opracowanie projektu wyroku, co było obowiązkiem sędziego referenta, wymagało w tej sprawie ze względu na ogrom materiału bardzo wiele trudu i czasu. Należało zaś się spieszyć, bo sprawa była tak zwana aresztowa, to jest oskarżony był w areszcie rewizyjnym. Pracowałem bez wytchnienia, wyłącznie w tej jednej sprawie, nieco ponad miesiąc. Wniosek mój obejmował 220 stron maszynowego pisma — największy w mojej przeszłości trzydziestoletniej pracy sądowej. Wniosek był tak długi, gdyż trzeba było przytoczyć każdy zarzut zażalenia i odwołania, rozpoznać go i rozstrzygnąć.

Najwyższy Sąd Wojskowy w komplecie sędziów, złożonym z przewodniczącego prezesa tego sądu generała brygady dr Jakuba Krzemińskiego i sędziów pułkownika Józefa Zołoteńkiego oraz mnie, po wysłuchaniu prokuratora Najwyższego Sądu Wojskowego pułkownika Jana Rzymowskiego (brata Wincentego Rzymowskiego, zmarłego byłego reżimowego ministra spraw zagranicznych), który mój wniosek całkowicie poparł, orzekł zgodnie z tym wnioskiem, a mianowicie zażalenie nieważności i odwołanie obrońcy Żymierskiego, adw. dr S. Szurleja, odrzucił.

W ten sposób (w drugiej połowie 1928 roku) wyrok stał się prawomocny.

Skoro piszę o sprawie Żymierskiego, to nie mogę pominąć jednego, nie pozbawionego wagi, aspektu tej sprawy.

Zdarzyło mi się nieraz słyszeć w czasach późniejszych, że sprawa przeciwko Żymierskiemu była wynikiem chęci zemsty na nim za to, iż w czasie przewrotu w maju 1926 roku stanął po stronie walczącej przeciwko marszałkowi Piłsudskiemu.

Nawiasem mówiąc, Żymierski po rozpoczęciu przewrotu wyjechał z Warszawy do pobliskiego Ożarowa, gdzie znajdowały się oddziały wojskowe, mające udać się do Warszawy na pomoc wojskom rządowym w walce z Piłsudskim. Tak jednak się nie stało, a Żymierski żadnego dowództwa nie obejmował.

Zdarzyło mi się, że w czasie mej rozmowy w ostatnim dziesiąt-

ku lat z pewną dość wysoko postawioną osobistością zgadało się o moim udziale w sądzie Żymierskiego. Ze strony owej osobistości padło pytanie:

— A czy ten Żymierski istotnie był winien?

Gdyby takie pytanie zadano mi w kraju, przed wybuchem ostatniej wojny, kiedy akta sprawy Żymierskiego spoczywały w archiwum sądowym i były dostępne, jedyną odpowiedzią ze strony sędziego mogłaby być propozycja, aby pytający przeczytał wyrok. Takiej jednak odpowiedzi po wrześniu 1939 roku i na obczyźnie dać już nie mogłem, przeto oświadczyłem:

— Jako sędzia postąpiłem w tej sprawie, jak w każdej innej, zgodnie z moim sumieniem i ustawą. I dzisiaj w tej sprawie, na podstawie tych samych akt, zawyrokowałbym tak samo, jak wówczas w roku 1928.

Ta odpowiedź byłaby całkiem aktualna i dzisiaj, ale ją nieco rozszerzę.

Zupełnie kategorycznie stwierdzam, że w ciągu przeszło czterech lat zajmowania przez mnie stanowiska sędziego Najwyższego Sądu Wojskowego (1927 - 1931), w którym to okresie czasu załatwiłem nie jedną setkę sądowych spraw oficerskich, w tym dużo większej wagi — nie było wypadku, aby, poza sprawą Żymierskiego, ktokolwiek spośród osób będących tą czy inną "władzą", spośród "możnych" w owym czasie, czynił jakiegokolwiek próby czy usiłowania wpływania na mnie co do sposobu załatwienia sprawy.

W sprawie przeciwko Żymierskiemu zagadnienie o jego zachowaniu się w roku 1926 ani w ogóle jakiegokolwiek momenty tak zwane polityczne w żadnej formie nie występowały i nie były poruszane. Ale właśnie w tej jedynej w mojej praktyce sprawie zaszła niżej opisana próba wpłynięcia na mnie jako na sędziego.

W czasie gdy wniosek w tej sprawie miałem już opracowany i gdy był on w przepisywaniu, pewna osoba, reprezentująca stosunkowo wysoką władzę, zapytała mnie, czy rychło skończę wniosek. Osoba ta była uprawniona do otrzymywania informacji ode mnie. Nie wymieniam tu jej nazwiska, ponieważ wkrótce po wybuchu ostatniej wojny zmarła. Odpowiedziałem owej osobie, że wniosek już sporządziłem.

Oto przebieg dalszej naszej rozmowy:

— Zażalenie nieważności oczywiście projektuje pan odrzucić. Wiem, że nie nadaje się ono do uwzględnienia. Ale co z odwołaniem?

Muszę tu wyjaśnić, iż Najwyższy Sąd Wojskowy w razie istnienia właściwych podstaw mógł uwzględnić odwołanie i karę w granicach ustawowych obniżyć. Na pytanie odpowiedziałem:

— Odwołanie wnioskuje także odrzucić.

— Lecz czy pan wziął pod uwagę, że w razie utrzymania orzeczonego przez Wojskowy Sąd Okręgowy wymiaru kary generał Żymierski będzie musiał odbywać karę w więzieniu dla osób cywilnych?



— Generał Żymierski nie będzie odbywał kary w więzieniu dla osób cywilnych.

— Jak pan to rozumie?

— Jeżeli Najwyższy Sąd Wojskowy przyjmie mój wniosek, to z chwilą wydania przez ten sąd orzeczenia wyrok Wojskowego Sądu Okręgowego stanie się prawomocny i nie będzie już generała Żymierskiego, lecz po prostu Michał Żymierski.

— Są osoby, dla których on pozostanie generałem.

— Pozwolę sobie przypomnieć panu, iż jestem sędzią i że ten sposób rozmawiania ze mną nie jest właściwy...

Końca rozmowy wolę nie przytaczać, powiem tylko, iż po tej rozmowie nasza znajomość przerwała się na dwa lata i była potem wznowiona z inicjatywy mego rozmówcy, który widocznie uświadomił sobie, iż postąpił, powiedzmy, niezręcznie.

Była jeszcze jedna nieśmiała próba interwencji.

W czasie pracy mej nad wnioskiem w sprawie Żymierskiego zgłosiła się do mnie, do mojego mieszkania, nieznaną mi młoda, przystojna i elegancka kobieta, oświadczyła, iż jest siostrzenicą generała Żymierskiego i że przyszła do mnie, bo się dowiedziała, że ja mam tę sprawę. W tym momencie rozplakała się i już więcej nic nie mówiła. Wyjaśniłem tej osobie, że jej przyjście do mnie było całkiem zbędne i nie może ono mieć żadnego wpływu na sposób załatwienia sprawy. Młoda kobieta przeprosiła mnie za swoje najście i wyszła. Nie miałem i nie mam pojęcia, jaki był stosunek tej osoby do Żymierskiego.

Poza tym nikt ze mną o sposobie załatwienia sprawy Żymierskiego nie rozmawiał.

Wobec prawomocności wyroku Wojskowego Sądu Okręgowego Żymierski, jako osoba już cywilna, powinien być przekazany w celu odbycia kary do więzienia cywilnego. Lecz wpływy osób, dla których Żymierski pozostawał generałem, widocznie robiły swoje, Żymierski bowiem był dalej trzymany w więzieniu wojskowym przy ul. Dzikiej w Warszawie i korzystał z szeregu takich ulg, iż było to tylko pozbawienie wolności, ale nie odbywanie kary ciężkiego więzienia. Między innymi, Żymierski zajmował się wtedy tresurą psów, w czym miał duże powodzenie. Lecz były generał miał ciągle pretensje i swymi bezpodstawnymi żaleniami tak się naprzykrzał, iż wreszcie wywołał — było to już po odbyciu większej części kary — przekazanie go do cywilnego więzienia na Mokotowie.

Z tego więzienia przeniesiono Żymierskiego do innego więzienia cywilnego — na Górnym Śląsku. Stamtąd Żymierski wystosował podanie o darowanie mu w drodze łaski nieodbytej jeszcze reszty kary, przy czym wyznał, iż zbłądził, i wyraził z tego powodu skruchę. Podanie to przez Departament Sprawiedliwości Ministerstwa Spraw Wojskowych z wnioskiem odmownym było przedstawione Prezydentowi Rzeczypospolitej, który postanowił zgodnie z wnioskiem, to jest podania nie uwzględnić. Oficer audytor, który sporządził wniosek w tej sprawie, mieszka obecnie w Londynie. O podaniu Żymierskiego, jego przyzna-

niu się do winy i prośbie o łaskę tenże oficer audytor opowiadał wielu kolegom.

Pod koniec 1943 roku Żymierski zaczął współpracować z Polską Partią Robotniczą jako Lipiński. Następnie jako generał Rola (widać dawny pociąg do ziemiaństwa) został dowódcą Armii Ludowej. Odtąd począł błyskawicznie robić karierę i doszedł, z łaski Kremla, do stopnia marszałka i stanowisk naczelnego wodza oraz ministra obrony narodowej.

Mimo pozostawania wyroku z lat 1927 - 1928 w mocy (nie było wznowienia postępowania i rehabilitacji ani aktu łaski) nastąpiły wyżej wymienione awanse Żymierskiego. Ponadto odznaczono go nowymi orderami. Szczególnie zaś było dziwne, że zdegradowany i wydalony z wojska za nadużycia władzy i łapownictwo Żymierski otrzymał z rąk generała Eisenhowera jeden z najwyższych orderów amerykańskich i od rządu francuskiego order Legii Honorowej.

Nie można się natomiast dziwić Kremlowi, iż do udziału w marionetkowym rządzie polskim powołał sądownie zdegradowanego generała-łapownika: taki człowiek gorliwie spełnia dane mu polecenia i takiego człowieka bardzo łatwo się pozbyć, przypominawszy mu jego grzechy.

Ten drugi etap stosunku Kremla do Łyżwińskiego-Zawiszy-Żymirskiego-Żymierskiego-Lipińskiego-Roli już się rozpoczął.

Stanisław LUBODZIECKI

## „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym

tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>

C.C.P. 4955-03



## Kronika kulturalna

### Laureat Nobla

Gdy William Russell, opryszek i łotrzyk z Devonu, dostaw-  
szy się na dwór Henryka VIII, jeden z pierwszych opowiedział  
się za nowinkami religijnymi i gorąco podsuwał monarsze myśli  
rozwiązania zakonów i obdarzenia faworytów zrabowanymi  
dobrami kościelnymi, przyświecała mu niewątpliwie chęć  
zapewnienia potomstwu magnackiej fortuny, ale zapewne  
nigdy ani w marzeniach ani w koszmarach nie przyszło mu  
do głowy, że któraś tam już z jego latorośli będzie laureatem  
Nobla, otrzyma ten grand prix literacki świata, i to jeszcze  
za dzieła z zakresu filozofii!

Bertrand Russell, 3-ci hrabia (Earl) Russell, pochodzi z rodu,  
który w dziejach Anglii odegrał rolę wielką, choć niesympa-  
tyczną. Wśród grabieżców, którzy złupili dobra kościelne w  
okresie reformacji — a wywodzi się z nich prawie cała wiel-  
ka arystokracja angielska — Russellowie łatwo wybijają się  
na miejsce naczelne. Dla innych wielka polityka, zaszczyty i  
dostojęstwa, amory i zbytki, wojaże i ambasady, protegowanie  
sztuk pięknych czy nawet zabawy w poetów: oni przyziem-  
ni, brzydacy, skąpi, kreci, źli i bezwzględni, chciwi i okrutni,  
czujni i pracowici, zagrabiali tylko opactwo po opactwie, klasz-  
tor po klasztorze, probostwo po probostwie, nie gardzili żadną  
arendą, żadnym delatorstwem, żadnym kawałkiem gruntu. Zbyt  
słabi, zbyt podłej kondycji, by móc sięgać po zamki biskupie,  
po rezydencje infułatów, na głębokiej prowincji szukali mor-  
gów zakonnych, które by zaspokoili ich wieczny głód ziemi.  
Z czapeczką w ręku wystawali pokornie w przedpokojach Hen-  
ryka i Elżbiety, żebrząc o ochłapy. I tak wytuptali, wyżebrali  
prawie całe hrabstwo Bedford i sąsiadujący z nim Fenland, te  
bagna dookoła Ely, to Polesie angielskie, niedostępne i ubo-  
gie, którym gardzili szczęśliwi doradcy — te mokradła by-

ły w sam raz dla dorobkiewiczów, nuworiszów, bez klejnotu i  
bez antenatów, lecz których należało jakoś za gorliwość pro-  
testancką wynagrodzić!

Długo trwało to gromadzenie bogactw i tytułów: od skrom-  
nego sir'a do splendoru diuka minęło 5 pokoleń, 150 lat. Do-  
piero za Wilhelma III za cenę jeszcze jednej zdrady, głową  
rodu został Duke of Bedford, który zrównał się z najpierwszy-  
mi magnatami kraju. W międzyczasie Russelle po kolei poślubi-  
li jedynaczki — dziedziczki dwóch innych fortun poreformac-  
kich lordów Southampton i lordów Wriothsesley (jest to na-  
zwisko nawet dla Anglików trudne do wymówienia), zao-  
kręglając posiadłości i przodując protestanckiemu skrzyd-  
łu opinii; wszak jeden z nich, Lord John Russell, The Pro-  
testant Lord, jak go nazywano, głowę położył pod topór kata  
za Karola II, za udział w spisku, który tego kryptokatolika miał  
pozbawić korony.

W XVIII wieku, przy pomocy holenderskich inżynierów i  
mierniczych, Russell-Bedfordowie osuszyli swój "Fenland",  
swoje Polesie i nieużytki zamienili w pola urodzajne i żyzne.  
Była to pierwsza tego typu operacja na wielką skalę na świe-  
cie. Jeszcze bardziej wzmocniła ona zasoby Russellów a wraz  
z tym ich pozycję polityczną.

Główną gwiazdą tego rodu był w XIX w. Lord John Russell,  
młodszy syn księcia Bedford, który, jak to zwykle młodzi sy-  
nowie ówczesnych magnatów (Lord Randolph Churchill, oj-  
ciec Winstona, jest drugim przykładem) poświęcił się polityce.  
Należał on do oligarchii Whigów, poprzedników później-  
szych liberałów i około połowy wieku, na spółkę z Palmersto-  
nem, ex-Torysem, na kilkanaście lat stał się czołowym mę-  
żem stanu, piastując na przemian z "Old Pam" (Palmersto-  
nem), stanowisko premiera i ministra spraw zagranicznych.  
Między innymi był on premierem w 1850 r. równo sto lat te-  
mu, gdy Rzym, po wiekowej przerwie, przywrócił hierarchię  
katolicką w Anglii, a nowokreowanego arcybiskupa Westmin-  
steru, Mikołaja Wiseman'a, pół-Irlandczyka, pół-Hiszpana, uro-  
dzonego w Seville a wychowanego w Rzymie, zrobił kardyna-  
łem. Lord John Russell zavrzał, z trybuny wypowiedział  
wojnę "agresji papieskiej", i przepchał przez parlament usta-  
wę, grożącą 2-letnim więzieniem i strasznymi grzywnami każ-  
demu, kto by od papieża śmiał przyjmować "terytorialne tytu-  
ły" w Anglii. Lecz potem stary bigot sam nie śmiał stosować  
swej ustawy. Pozostała ona w dzienniku ustaw, ale ani razu  
żaden sąd, żaden prokurator nie próbował jej wcielić w życie.  
Dopiero w r. 1871 Glastone ją odwołał.

Na innym odcinku Russellowi się lepiej powiodło. Jego mi-  
nister spraw zagranicznych, Palmerston, dyplomata fan-  
tazyjny i impulsywny, zapalał nagle sympatią do Napoleona III  
i bez poinformowania Wiktorii i Alberta uznał a nawet zaapro-  
bował jego zamach stanu z 5-go grudnia 1851.

Wiktorii była orleanistką i dalej chlpała nad "biednym



Ludwikiem Filipem" (choć już nie żył), zmieniło się to dopiero później, gdy mieszczkę olśniła swą elegancją Eugenia. Albert po prostu nienawidził Francji, i w jego niemieckiej duszy samo imię Napoleona wzbudzało coś zbliżonego do paniki. Ale jeszcze bardziej zależało mu na odbudowaniu prerogatyw korony, które pracowicie wygrzebywał z archiwów w imieniu zakochanej i wiecznie ciężarnej Wiktorii. Nie darmo Lytton Strachey pisał, że gdyby Albert żył równie długo jak Wiktorii Anglia może by stała się despotyczną monarchią!

Albert więc wytoczył wszystkie działa, twierdząc, że korona ma specjalne uprawnienia w dziedzinie stosunków z innymi władcami i żądał głowy Palmerstona. Była to ostatnia próba wtrącania się korony do polityki — ale w Anglii; jeszcze w naszych czasach podobne poglądy wyznawali nie tylko Hirohito i Leopold belgijski, który za to zapłacił abdykacją, ale i wielu prezydentów. Pokonany przez papieża, Lord John Russell zapomniał o "agresji papieskiej", by zająć się bliższą i realniejszą "agresją Buckingham Palace" — i tu odniósł drugoczące zwycięstwo. Od tego czasu ostatecznym arbitrem zagranicznej polityki Anglii jest premier, nie korona. Edward VII był tylko doradcą, a jeszcze bardziej koronowanym ambasadorem swych frankofilskich ministrów.

Lord John Russell zajaśniał jeszcze w 1859 r. gdy dla odmiany był w gabinecie Palmerstona ministrem spraw zagranicznych. Wówczas poparł on dyplomatyczną akcją zbrojną Napoleona III, zmierzającą do zjednoczenia Włoch. Jest jednak różnica między wysłaniem noty a zmobilizowaniem armii. Nie przeszkodziło to nawet poważnym, a w każdym razie głośnym, historykom angielskim, jak Taylerowi i Rowse, przypisywać Anglii główną zasługę w zjednoczeniu Włoch i grzmieć o "niezależności" Mussoliniego.

Syć chwały, Lord John Russell, który posiadał dotychczas tylko tzw. tytuł kurtuazyjny, jako młodszy syn księcia Bedford, przeszedł w końcu z Izby Gmin do Izby Lordów, przybierając tytuł hrabiego (Earl) Russell. Właśnie jego wnukiem jest Bertrand Russell, tegoroczny laureat Nobla. Tytuł odziedziczył dopiero po 70-ce, już w czasie wojny. Początkowo, jako radykał i socjalista, chciał go odrzucić — tak jak poprzednio nie używał prefixu "Hon." — "honorable", należącego się synom wszystkich parów.

Ale wówczas dowiedział się, nie bez zdziwienia, że na mocy nadal obowiązującej ustawy z XV wieku za nieprzyjęcie odziedziczonego tytułu lordowskiego grozi kara śmierci. Dlaczego? Oto tron angielski, który nam się dzisiaj wydaje symbolem stałości, był przez przynajmniej lat 300, od XV do XVIII w. wiecznym jabłkiem niezgody i nie było monarchy, którego prawa nie byłyby kwestionowane, i to przeważnie słusznie. W tych warunkach, gdy umierał któryś z parów a jego syn odmawiał zjawienia się w Izbie Lordów i złożenia przysięgi wiernopoddańczej, należało słusznie wnioskować, że łobuz coś knuje, już

wącha się z pretendencją, rezerwuje się na następne panowanie, więc szybko ścinano mu głowę. A w ogóle być lordem w XVI wieku nie było wcale rzeczą zabawną, de tout repos. I tak czterej pierwsi książęta Norfolk po kolei złożyli głowy na szafocie, dopiero 5-ty zmarł śmiercią naturalną. Tak więc Bertrand Russell oficjalnie nazywa się Earl Russell, i nawet nie wolno mu się podpisać Bertrand Russell, bo parowie podpisują się tylko nazwiskiem. Podobnie commonerom nie wolno się podpisywać samym nazwiskiem, bo tak czyniąc podawali by się za lordów, którymi nie są. Churchill nie ma prawa podpisać się "Churchill", lecz tylko W. C. Churchill, musi co najmniej dodać inicjały, jeśli nie pełne imię.

Jak wiadomo w zeszłym roku akademii sztokholmskiej przyznała nagrody Nobla z dziedziny literatury, bo się podzieliła za i przeciw Churchillowi; podobno jego kontrkandydatem był Graham Greene; teraz ten spór rozstrzygnięto przyznając nagrodę za rok ubiegły W. Faulknerowi, drugorzędnemu pisarzowi amerykańskiemu. Ale pod względem talentu pisarskiego ani Churchill, ani nawet Graham Greene nie mogą iść w paragon z Russell'em. Churchill jest barokowy, ozdobny, płytki; styl jego nosi ślady oratorstwa i publicystyki; przy doskonałych tu i ówdzie zdaniach ma napuszoną i pompatyczność, która à la longue musi nużyć, Graham Greene jest raczej zajmujący jako fenomen niż wybitny jako pisarz: skąd się w tej zacnej, nudnej Anglii znalazł Dostojewski nie sposób zrozumieć. Greene ma tylko jedną cechę niepospolitą, bo tak szalenie nieangielską: prawdziwą pasję, chwilami il fait l'impression d'un possédé. Oczywiście, góruje niesłychanie nad Priestleyem, nad Croninem, nad Virginią Woolf i tylu innymi znanymi wystudiowanymi miernotami: ale nawet z angielskich pisarzy katolickich wolę Evelyn Waugh, który nad Greenem góruje kulturą, różnorodnością talentu i finezją psychologiczną.

Russell, dziś blisko 80-letni, wsławił się naprzód jako matematyk; dla laików to księga zamknięta. Z biegiem lat pociągnęła go filozofia i po paru mniejszych wyczynach jak "Marriage and morals" gdzie awangardowo wyszydział instytucję małżeństwa, Russell już po ostatniej wojnie dał nam wspaniałą "History of Philosophy", która jest, być może, największym pomnikiem literatury angielskiej XX wieku. Ta "historia" jest wspaniała stylistycznie i trudno o język prostszy, klarowniejszy, a jednocześnie bardziej precyzyjny, nigdy nie wpadający w trywialność, płaskość, choć nieraz okraszony perełkami humoru. Russell osiągnął tutaj szczyty formy literackiej, z której Anglicy mają prawo być szczególnie dumni — popularyzacji wiedzy, umiejętności wyłożenia w sposób jasny, przystępny, prosty najtrudniejszych zagadnień, najzawilszych spekulacji.

Jeśli dobrze rozumiem "Historię Filozofii" Russell'a to jego osobiste poglądy sprowadzają się do tych następujących: Filozofia jest nauką o myśleniu, stąd powinna się opierać na wie-



dzach ścisłych, przede wszystkim na matematyce, następnie na naukach przyrodniczych; jest ona tylko usystematyzowaniem logicznym tego co w drodze doświadczeń, percepcji i logiki poznać możemy. Nie trzeba się łudzić, że tak pojęta filozofia nie może dać nam odpowiedzi na żadne z pytań, które nekają człowieka: po co, dlaczego, jaki jest sens istnienia itd. Russell namietnie walczy z próbą utożsamienia filozofii z metafizyką i teologią. Sam nie wysuwa żadnej wiary, żadnej też a limine nie odrzuca: po prostu twierdzi, że drogą rozumową czyli filozoficzną nie możemy znaleźć odpowiedzi na najbardziej istotne zagadki. Filozofia jego nie jest antychrześcijańska, a raczej antykatolicka (bo wszelką teologię poza katolicką Russell zupełnie ignoruje); po prostu przechodzi obok. Uduje on laboranta w królestwie filozofii i mówi: moje materiały nie dają mi danych do rozwiązywania całego szeregu problemów, a więc jako filozof nie powinienem się nimi zajmować, zostawmy je wyznawcom, mistykom czy teologom. Wydaje mi się, że ten pogląd jest kwintesencją i podstawą dzisiejszego indyferentyzmu, który tym się różni od zeszlowieczonego, że nie jest wojowniczy, antyklerykalny — jest właśnie tylko indyferentyzmem. Indyferentyzmem nie optymistycznym, a pesymistycznym. Indyferentyzmem połączonym z obojętnością wobec własnych losów na tamtym świecie, indyferentyzmem opartym na przekonaniu o nicości człowieka i jego rozumu, a pełnym podziwu dla wielkości stworzenia i ciekawości jego tajemniczych praw.

Politycznie Russell ewoluował ze skrajnej lewicy, z człowieka którego pozbawiono katedry w 1918 r., do skrajnej prawicy i jest dzisiaj z Lordem Vansittart (ale o tysiącokrotnie większym ciężarze gatunkowym) najbardziej antykomunistycznym pisarzem dzisiejszej Anglii. Woła on od lat o wojnę prewencyjną, o zniszczenie Sowietów, o użycie broni atomowej póki nie będzie za późno. Żyje w nastroju apokaliptycznym, w oczekiwaniu najgorszych nieszczęść. W Izbie Lordów niedawno mówił, że nie może bez łez przechodzić koło British Museum, myśląc, że dnie tej czcigodnej instytucji są policzone. Ale antysowietyzm Russella ma i szlachetniejsze podłoże: czego nienawidzi on najbardziej w Sowietach — to niewoli myśli, to upodlenia człowieka. Ktoś może powiedzieć, że przeżył on ewolucję podobną do Gide'a: ale o ile u Gide'a góruje egocentryzm nie miły jak zgrzyt czy dysonans, w ewolucji Russella jest szczerść i gest godny wielkiego humanisty. Anglia, którą sprostytuował prostak, reklamiarz, lichy komediant Shaw, zasługiwała na to, by ją rehabilitował Russell. Nagroda Nobla dla Russella wynagrodziła Anglii i światu krzywdę i potwarz, którą wyrzuciła ongi akademie sztokholmska przyznając ją 20 lat temu wesołkowi z Ayot St. Laurens.

W. A. ZBYSZEWSKI.

## Notatki z Kongresu Brukselskiego

Otrzymałem niedawno list od młodego pisarza z Londynu: solidaryzując się najzupełniej z moim wystąpieniem w Berlinie, na Kongresie Wolności Kultury, gdzie nawoływałem do stworzenia Uniwersytetu międzynarodowego dla młodzieży zza żelaznej kurtyny, dodaje to zdanie sceptyczne: "Inna rzecz, że Kongresy — choroba naszego wieku — nic nie dają i niczego nie posuwają naprzód. Toteż przemówienie Pana było... z góry skazane na niepowodzenie".

Muszę przyznać, że mój stosunek do Kongresów był zawsze niemniej sceptyczny. Czy moja dzisiejsza nadzieja na osiągnięcie rezultatu — to jest na założenie Uniwersytetu przy pomocy organizacji, powstałej z członków Berlińskiego Kongresu — oparta jest na przesłankach obiektywnych czy jedynie na złudzeniu optycznym, spowodowanym tym, że sam, pierwszy raz w życiu, brałem czynny udział w Kongresie?

Zdaje mi się, że sytuacja jest na tyle groźna, że zjazd pisarzy najróżniejszych krajów, gotowych bronić kultury, zjazd właśnie w Berlinie — o miedzę od żelaznej kurtyny — w mieście zniszczonym, gdzie coraz to w biały dzień, porywa się ludzi, był manifestacją bardziej może obowiązującą niż inne Kongresy i że rezolucje tam zapadłe może nie pozostaną jedynie na papierze. Kongres Berliński swoim autorytetem całkowicie poparł ówczesny projekt Uniwersytetu i uchwalił konieczność stworzenia tej instytucji.

Dalszym etapem był zjazd w Brukseli, w końcu listopada 1950 r., członków Komitetu Międzynarodowego, którzy zostali wybrani w Berlinie oraz garstki zaproszonych. Zjazd w Brukseli miał charakter całkiem od berlińskiego różny. Było nas o wiele mniej i dlatego było miejsce na owocną dyskusję, na pracę nad rezolucjami w atmosferze niejednokrotnie ostrej, ale zawsze przyjaznej, wymiany zdań. Z Amerykanów przyjechał J. Burnham, dobrze znany czytelnikom "Kultury", poza tym Irving Brown, przedstawiciel amerykańskiej Federacji Pracy, Max Yergan, przedstawiciel Murzynów oraz Mikołaj Nabokow — prezes Związku Amerykańskich Kompozytorów. Z Francuzów był Georges Altman — redaktor naczelný "Franc Tireur'a", Manes Sperber — autor głośnej książki "Et le buisson devient cendre", socjalista André Philippe. Z Szwajcarów Denis de Rougemont — znany pisarz i federalista. Z Niemców m.in.: Eugen Kogon — redaktor "Frankfurter Hefte", autor najpełniejszego dzieła o obozach niemieckich i wieloletni więzień Buchenwaldu, prof. Weber znany profesor i socjolog oraz p. Buber-Neumann. Z Włoch przyjechał na ostatni dzień Silone, z Anglii przybył Julien Amery. Kraje zza żelaznej kurtyny wciąż jeszcze reprezentowane były nielicznie: prof. Karpowitsh — kierownik Studium Sławistycznego w Harvardzie, były senator łotewski Cakste, David Dallin oraz Giedroyc i ja. Wymieniem jedynie część uczestników tego zjazdu.

Cóż dał ten zjazd?

Przede wszystkim ostateczne ukonstytuowanie się samej organizacji, której nazwa odąd będzie brzmiała: Międzynarodowy Ruch Wolności Kultury (Mouvement International pour la Li-



berté de la Culture) oraz wybranie sekretarza generalnego na Europę — Denis de Rougemont.

Po dwukrotnych dyskusjach na Komisji i na Plenum, zjazd wyłonił stałą Komisję Uniwersytecką, do której wybrano p. Cakste, prof. Sydney Hooka (Columbia University), prof. Karpowitsha, prof. Schlessingera, jr. z Harvardu oraz mnie. Wnioski i instrukcje dla tej Komisji przeszły na ogólnym zebraniu, ostatniego dnia, jednogłośnie. Komisja ma funkcjonować w Paryżu i w New Yorku, a wśród jej zadań jest opracowanie planu finansowego, negocjacje z zainteresowanymi tym projektem Fundacjami amerykańskimi, przeprowadzenie rozmów z przedstawicielami uniwersytetów i władz francuskich, ewentualnie włoskich i belgijskich.

Już na pierwszym zebraniu odczytano nam list od Koestlera, który nie mógł opuścić Stanów Zjednoczonych. Stworzył on fundusz pomocy dla intelektualistów z za żelaznej kurtyny. Graham Greene, John Dos Passos, James Farrell oraz Aldous Huxley zgodzili się na ten cel przeznaczyć 10% wpływów ze swoich praw autorskich w Europie. Koestler zaś ofiarował na ten cel cały dochód z przeróbki scenicznej "Ciemność w Południe", która ma być w najbliższym czasie wystawiona na Broadwayu. Już sama ta inicjatywa paru najwybitniejszych pisarzy światowych, do której ciągle dołączają się jeszcze inni, świadczy, że Kongres Wolności Kultury ma wśród siebie ludzi, którzy chcą coś zrobić naprawdę, a nie tylko gadać.

W całym Kongresie akcent może najbardziej pałacy wprowadziła p. Buber-Neumann. W przemówieniu umyślnie suchym o powiedziała nam szczegóły porwania, przed zaledwie paru tygodniami, dwudziestego czwartego z rzędu dziennikarza z Berlina Zachodniego, prof. uniwersytetu Alfreda Weillanda, uczestnika naszego Kongresu.

Od tego zaś czasu była jeszcze jedna próba porwania na szczęście udaremniiona. Pani Buber-Neumann założyła w Frankfurtzie Komitet Liberacji dla ofiar totalizmu. Komitet ten rozesłał apel do pism w Niemczech zachodnich o natychmiastowe informowanie czytelników o tego rodzaju faktach, ale tylko jedno pismo z Berlina zachodniego ten apel pomieściło. Świadczy to, według oceny pani Buber, że wielu jest ludzi, którzy wolą zbyttno się w jawną walkę z Sowietami nie angażować z ostrożności czy z braku imaginacji i obojętności. Pani Buber-Neumann zwróciła się z propozycją, by stworzyć centralę informacji o gwałtach, porwaniach i zbrodniach sowieckich nad obywatelami wszystkich krajów, by zmontować sieć wśród już istniejących pism, która by te wiadomości w najróżniejszych krajach natychmiast rozprowadzała. Już widzę uśmiechy zniechęcenia; po co to wszystko? — ale to stanowisko fałszywe. Siła stalinowców polega na tym, że nigdy nie lekceważą tej nieustannej roboty propagandowej. Różnić się powinniśmy tym, że będziemy informowali i propagowali wyłącznie materiały otrzymane ze źródeł pewnych i że ich nie będziemy za żadną cenę fałszowali, ale trzeba by było brać od bolszewików lekcje uporów w ich propagandzie, która nigdy się nie ogranicza do przekonania już przekonanych paru inteligentów i sięga do mas i dołów. Przyjęty wniosek Burnhama publicznych wieców gdzie tylko się da, wieców dyskusyjnych, z komunistycznymi "przyjaciółmi pokoju" szedł właśnie po linii propagandy masowej.

Ostrzejszą dyskusję wywołał nasz wniosek natychmiastowego rozszerzenia Międzynarodowego Komitetu Kongresu przez dookoopowanie przedstawicieli Węgier, Rumunii oraz Ukrainy. Jako Ukraińca-niepodległościowca zaproponowaliśmy Iwana Bahrianego, wybitnego pisarza i poe. Sprzeciw kategoryczny, chociaż bardzo wycieniony, mieliśmy przede wszystkim ze strony p. D. Dallina. Wyczuwało się jasno, że tkwi tu opór przeciwko wprowadzeniu w ogóle Ukraińców-niepodległościowców, że Dallin, jak i inni Rosjanie, widzą w tym niebezpieczny precedens. Stanowisko prof. Karpowitsha (który w emigracji rosyjskiej zajmuje w stosunku do problemu ukraińskiego stanowisko dość odosobnione) było do tego stopnia ze stanowiskiem Dallina rozbieżne, że nie tylko poparł nasz wniosek, ale zgłosił do niego swój akces jako inicjator. Znacząca była reakcja Burnhama, który z właściwą mu prostolinijną prawdomównością podkreślił pałacą konieczność wprowadzenia Ukraińców. Zaznaczył, że próby wprowadzenia Ukraińców były już w Berlinie ucięte, a nawet przez sekretarza Kongresu zsobotowane. Pod jego naciskiem przeszła rezolucja, nakładająca obowiązek na Komitet Wykonawczy przedstawienia kandydatur definitywnych na przyszłe ogólne zebranie.

Roditi, wspominając w "Kulturze", w artykule o Estonii, o Kongresie Berlińskim słusznie zauważa, że było najtrudniej zatrzymać uwagę uczestników Kongresu na problemach Europy z za żelaznej kurtyny. Normalny, czy nawet wybitny intelektualista zachodnio europejski czy amerykański wie, że istnieje kultura rosyjska — ale o tym, że kraje jak Ukraina, Rumunia, Estonia czy Litwa mają swoją własną, przez wieki wypracowaną kulturę, i że kultura polska jest czymś innym niż błada powtórka lekcji wziętej z zachodu — tego ludzie nie wiedzą i stąd ta dziwna głuchota, te "freudowskie" zapomnienia. Panujące obecnie dwie polityczne alternatywy: Sowiety albo Ameryka mają brutalnie upraszczający wpływ na stosunek do kultur krajów okupowanych. Byłoby pożałowania godne gdyby rosyjscy działacze emigracyjni próbowali wyszukać te braki w myśleniu amerykańskim i zachodnio-europejskim dla lansowania pod taką czy inną formą "Wielkiej i Niepodzielnej Rosji". Ani Rosja ani Polska nie mogą już dziś pretendować do "freudowskich zapomnień". Za wiele to kosztowało nas krwi i za wiele może kosztować. Jeżeli wysunęliśmy ze specjalnym naciskiem właśnie sprawę niepodległościowców ukraińskich to głównie dlatego, że stosunek do tego problemu wydaje się nam typowym problemem czy się tkwi jeszcze w przeżytych formach przeszłości, czy patrzy się w przyszłość, która liczyć się musi z nieodwracalnym faktem krystalizacji szeregu świadomości narodowych.

Kilka dni spędzonych w Brukseli nie miało nic wspólnego z tym co sobie niektórzy o zjazdach tego rodzaju wyobrażają. Posiedzenia plenarne czy komisyjne trwały przez cały dzień. Do tego były jeszcze spotkania z dziennikarzami, którzy — przynajmniej należało — wykazali zadziwiającą bierność. Na jednym z zebrania w hotelu Atlanta, gdzie przemawiali m.in. i Burnham i Yergan, Plisnier i Nabokow, który barwnie i plastycznie opisywał los muzyków sowieckich, oraz Altmann, który dał świetną ocenę porównawczą propagandy sowieckiej z tym czym powinna być propaganda na Zachodzie — dziennikarze prawie nie



stawiali pytań, poza jednym tylko i wyraźnie sowietofilskim młodzieńcem. Miało się dziwne wrażenie, że i tutaj jest jakaś niechęć zbyt jawnego angażowania się.

Osobiście wynoszę z Brukseli wspomnienia bardzo cenne spotkań i rozmów z paroma ludźmi wielkiej inteligencji i niezłomnej woli walki. Nie mówię już o Burnhamie, który umie łączyć dużą siłę swych wystąpień z rzucającą się w oczy wielką skromnością osobistą. Nawet ludzie najostrzej z nim walczący przyznają mu rzadki autorytet moralny i rzadką prawdość. Może drugi człowiek z kolei, o którym chciałbym powiedzieć, to Julien Amery. Prowadził pierwsze zebranie plenarne, słuchałem jego rozmowy z dziennikarzami, oraz miałem z nim parę chwil rozmowy. Gdy mówił o konieczności obrony wolności, o doświadczeniach swych podczas wojny w Jugosławii i Albanii ("kraje, któreśmy próbowali ratować od totalizmu na to tylko, aby znowu przeszły pod nowy reżim totalny"), gdy mówił o konieczności organizowania Europy — słyszałem akcenty człowieka, w którym działają przekonania istotne, nie tylko taktyka, myślenie realne a nie upajające marzenia. Rozumne, zawsze taktowne wystąpienia prof. Karpowitsha wiele nam w pracy pomogły. Chciałbym też wspomnieć nazwisko naszej namiętnej oponentki, prof. filozofii z Genewy, p. Hersch, uczennicy Jaspersa. Jej stanowisko wobec naszego projektu uniwersytetu było bardzo krytyczne. Dla niej grupowanie młodzieży zza żelaznej kurtyny jest niebezpieczeństwem łączenia drobnych płomyków, które, razem skupione, mogą podpalić Europę, wywołać wojnę prewencyjną. Nie mniej po trudnej, ale jakże rzetelnej dyskusji, p. Hersch także się dołączyła do jednogłośniego poparcia wniosku uniwersyteckiego, wprowadzając jedynie dezzyderat, by tworzyć nie jeden, ale parę ośrodków uniwersyteckich.

Co da zjazd w Brukseli będzie zależało od tego czy Komitet Wykonawczy i Komisja uniwersytecka potrafią podołać nałożonemu na nie zadaniu, czy Ameryka, rozumiejąc znaczenie ratowania kadr młodzieży połowy Europy, zechce nasz projekt materialnie poprzeć.

J. Cz.

**P O L S K A**  
**PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE**  
**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ**  
**w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641**

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**, **WIADOMOŚCI** i **ORLA BIAŁEGO**.

## Książki

### Z wysokiego posterunku

"Ja tam byłem" \*). Cóż to za fatalny tytuł książki! Prawie tak samo nieudany, jak książka sama. Autor, admirał floty amerykańskiej, ambasador we Francji, następnie zaś Szef Sztabu Prezydenta jako Naczelnego Wodza, był istotnie wszędzie: w Vichy i w Afryce, w Waszyngtonie i w Quebecu, w Kairze i w Teheranie, w Jałcie i w Poczdamie — tylko tak niewiele statmąd wyniósł, a tego, co pomiętał, nie umiał opowiedzieć.

Przekonywamy się raz jeszcze, że najlepszą formą skreślenia zdarzeń jest współczesne notowanie, dziennik. Dowiadujemy się oto, że admirał Leahy robił bieżące notatki, prowadził coś na kształt dziennika: dla czegoż więc nie ograniczył się do publikowania tych, tak doniosłych dokumentów? — O ileż byłoby to żywsze, bezpośredniejsze, aniżeli ta ciężka książka, przeładowana banalnymi opisami, niż te wspomnienia przeważnie bez treści!

Książka rzuca pośrednie światło na Roosevelta i jego polityczno-personalne metody. Dlaczego Prezydent Stanów Zjednoczonych, w tej największej z dotychczasowych wojen, wybiera na swojego Szefa Sztabu tego godnego pana, 70-letniego emerytowanego admirała? — Zdaje się tylko po to, aby, prezydując formalnym posiedzeniom "Łącznych Szefów Sztabów" armii, lotnictwa i floty, stanowić coś w rodzaju poduszki izolującej, odsuwać od Prezydenta wszelkie kontrowersje i umożliwiać mu samowolne decyzje. Ów "Szef Sztabu" ma, jak się okazuje, odmienne od Prezydenta zdanie w każdej nieomal wielkiej

\*) *I was there. The Personal Story of the Chief of Staff to Presidents Roosevelt and Truman, based on His notes and Diaries made of the Time. With a Foreword by President Truman. Whittlesey House Mc Graw-Hill Book Co. New York (1950). Str. 10 nłb., 527.*

(LEAHY William D., Chef d'état-major des Présidents Roosevelt et Truman, ancien Ambassadeur des Etat-Unis en France, J'étais là. Ed. Plon, 1950, str. 578, frs. 690).



kwestii. Nie zgadza się na kampanię afrykańsko-włoską, radby tam posłać jedynie brytyjskich aliantów, aby się sami, jeśli tak chcą, krwawili: — tymczasem, wprost przeciwnie, inwazje Italii prowadzą w pierwszej linii Amerykanie. Ma zupełnie inne zdanie o wojnie z Japonią, przewiduje jej wczesne załamanie i słusznie chce uniknąć interwencji "zbytecznych sprzymierzeńców" — Sowietów: — wbrew tej opinii miarodajnego doradcy Roosevelt opiera całą swą rachubę na Dalekim Wschodzie na pomocy Stalina. Decyzje strategicznego bombardowania Niemiec, to znaczy systematycznego niszczenia ich ośrodków miejskich — nawiasem mówiąc, bez żadnego względu na przyszłość cywilizacji europejskiej — powzięte są zupełnie poza admirałem, który tylko post factum zdaje się nad nimi ubolewać. Tak samo żadna jest jego rola w sprawie bomby atomowej. Można by wreszcie sądzić, że Leahy uznany zostanie przynajmniej jako autorytet w sprawach francuskich — po spędzeniu dwóch lat w Vichy: — jednakże nie ma ani śladu jego wpływu w dziedzinie tworzenia sił zbrojnych Francji, ani przy ustaleniu zakresu działania generała Giraud. Współczuje Darlanowi, łączy go z nim zawód marynarza i niechęć do Anglików; powraca ciągle do swojej zawziętej inspiracji — "eliminowania" krnąbrnego de Gaulle'a: — ale i w tej dziedzinie nie widać, aby cokolwiek zdziałał.

W okresie urzędowania admirała w Białym Domu zapadły tam co najmniej trzy wielkie personalne decyzje: nominacja Eisenhowera wodzem naczelnym Francji, nominacja Stettiniusa Sekretarzem Stanu, wyznaczenie Trumana wiceprezydentem. Dla "Bill'a", jak go poufale zwie Prezydent, każda z tych decyzji jest niespodzianką, pomimo, że codziennie widzi swego Szefa. Oczywiście, czujemy, że jego kandydaci są całkiem inni.

Roosevelt, jak się więc i tutaj okazuje, nie znosił obok siebie ludzi wybitnych. Przy wyborze stałego współpracownika dbał przede wszystkim o to, by mu nie przeszkadzał. Sumner Welles, jak by wynikało z notatek Leahy'ego, miał niekiedy własne zdanie — i został usunięty. Hull upierał się przy swym akademicko wypracowanym stanowisku — zastąpił go bezosobowy Stettinius. Sam Leahy reprezentował godnie, ale nie był słuchany w niczym. Jedynym człowiekiem, który miał wpływ na Roosevelta i wpływ ten na nieszczęście wywarł — był Hopkins.

Niestety, książka admirała Leahy potwierdza to, co wiemy z najgorszych stron tego prawdziwego *enfant terrible* — Elliota Roosevelt'a: lekkomyślną ignorancję i ciasnotę politycznego zaścianka, panujące na dworze Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zasada "bezwarunkowej kapitulacji" została, jak się okazuje, ogłoszona przez Roosevelta nie tylko bez porozumienia z Churchilllem, lecz również bez zasięgnięcia miarodajnej opinii Szefów Sztabów. Tamże, w Casablance, zaczęło się dzielenie sfer wpływów i w porozumieniu osobistym Churchilla

z Rooseveltem uznano Turcję za "sferę wpływów" W. Brytanii. Państwa środkowo i południowo-wschodniej Europy traktowano li tylko jako domeny interesów czy ambicji brytyjskich lub sowieckich. Leahy był zresztą z góry przekonany, że Sowiety w sprawach tych zadecydują o wszystkim i wezmą, co im się będzie podobało, włącznie z tureckimi Cieśninami. Gdy Stalin pojawia się po raz pierwszy na konferencjach z Zachodem, mówi się o nim jak o wielkim odkryciu: jak gdyby nie wiedziano, że rządził Rosją już od dwudziestu dwu lat, jak gdyby nie istniały doniesienia, raporty, opinie ekspertów. Leahy nie tylko podziwiał równowagę i umiar Stalina, ale żyruje jego poprawność, konstatuje dotrzymywanie zobowiązań i umów. Wydając swą książkę w 1950, cytuje bez zająknięcia obietnicę "sowieckiego przywódcy", że "będzie popierał kierownictwo Cziang-Kai-Szeka podczas wojny i po wojnie", gdyż "Chiny nie posiadają komunistycznego przywódcy dość silnego, aby je zjednoczyć"; że pragnie "panowania Chin nad całością Mandżurii", że zgadza się z "amerykańską polityką otwartych drzwi", a dla Korei proponuje powiernictwo czterech mocarstw. Przy takim przygotowaniu i z tą znajomością rzeczy cała polityka wojenna Ameryki przedstawia się nam jako jedna wielka improwizacja.

Równe ignorancji, na tych wysokich posterunkach, skąd rozporządzano losami świata, panowały uprzedzenia. Zestawiając uwagi admirała, można by zapytać: dla kogo właściwie zamierzono wyzwolić Europę? — naturalnie dla Rosjan, ale poza nimi jednymi, nie dla Europejczyków. Leahy zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niezbędnej roli Francji na tym kontynencie. Stałe dążenie Churchilla do jej pełnego restytuowania wzbudza w nim najgorsze podejrzenia; brutalne zaś sprzeciwu Stalina traktuje ze zrozumieniem. Zaliczenie Francji w poczet "wielkich mocarstw" uważa za "niedorzeczne naciągnięcie sensu mowy angielskiej". Oczywiście jest wobec tego, że odrazę wywołuje w nim de Gaulle: swoją dumą, swym brakiem skłonności do kompromisów. Chciałby go wykluczyć, izolować, zniszczyć; pomawia go o sympatie dla komunistów, nie zważając na to, że sam, wtórzając Prezydentowi, popiera bezustannie Sowietów i Stalina. Nie pojął też nigdy znaczenia odmowy de Gaulle'a spotkania z Rooseveltem w lutym 1945 w Algierze: był to w istocie ze strony wodza Francji akt mądrości stanu — odmówienie pośredniej choćby solidarności ze zbrodnią przeciw Europie popełnioną w Jaltie.

Najwięcej wątpliwości w prawdomówność Elliota wywołały w swoim czasie ustępy jego książki\*) z napaściami na Anglię i Anglików; nawet wtajemniczeni uważali je podówczas za wymysły i kalumnie. Obecnie mamy daleko poważniejsze świadectwo: według admirała Leahy nie było nieomal obrad ani

\*) Elliot Roosevelt, *As He saw it*, książka wydana w 1948 r. z przedmową pani Eleonory Roosevelt.



konferencji, gdzie by różnice zdań z brytyjskim aliantem nie prowadziły do złośliwych uszczypliwości, podejrzliwej krytyki. Okazuje się, że otoczenie Roosevelta, z Prezydentem na czele, zajmowało się, w groźnych godzinach tej wojny, kwestionowaniem na każdym kroku intencji najbliższego sojusznika, zarzucaniem mu perfidnych machinacji, wypominaniem polityki kolonialnej, oskarżaniem o tendencje zachłanne. — Wielkiej Brytanii, mówiono otwarcie w tych kołach, nie tyle zależy na pobiciu Niemców, ile na utrzymaniu własnego imperium. — Dopóki takie uwagi i zarzuty zamknięte były w ścianach dwustronnych spotkań w Casablanca, Quebecu, czy na Malcie, sprawa ograniczała się do kwestii dobrych manier: czy wypada obmawiać przyjaciela. Kiedy się jednak to samo powtórzyło na zebraniach we trzech ze Stalinem, rzecz była poważniejsza. Przebiegły Gruzin zorientował się szybko w sytuacji, zresztą, u siebie, w Teheranie i w Liwadii, miał NKWD i mikrofony. Czy można się wtedy dziwić, że grał odtąd swobodnie na uprzedzeniach i nieufności? — Ostatnie trafne i dalekosiężne zamysły strategiczne Churchilla odparte i pogrzebane zostały przez zespół amerykańsko-sowiecki jako rzekomy wyraz partykularnych interesów brytyjskich. Plan operacji na Jugosławii, podjęty z Itali i z Adriatyku dziś jeszcze szef sztabu Roosevelta uważa za próbę utrzymania panowania W. Brytanii na Morzu Śródziemnym. W projekcie uczynienia wyłomu na południowym "podbrzuszu" hitlerowskiej Europy i uratowania tym sposobem narodów południowego wschodu dopatruje się zamiaru "zdobycia dla Imperium (brytyjskiego) powojennych korzyści w państwach bałkańskich". Jeszcze w lecie 1945, gdy Anglia próbowała ratować co się dało na Dalekim Wschodzie od współnictwa z Sowietami i zaofiarowała Stanom Zjednoczonym pełną pomoc sił brytyjskich, admirał Leahy z uznaniem cytuje sprzeciw Stalina: — na co to komu potrzebne?

Tak spletał się ten tragiczny węzeł, w którym obydwie światowe mocarstwa anglo-saskie stały się pionkami w grze Sowietów.

Niewiele można się było spodziewać po takiej książce w dziedzinie spraw polskich. Admirał Leahy nie orientował się w nich wcale, nawet w zakresie powierzonych mu spraw wojskowych. Kwestię pomocy dla armii krajowej odsyła — bez własnej dyrektywy — do biur kompetentnych, ale widoczne jest, że nie rozumie jej znaczenia, same zaś cyfry tej armii wahają się w jego opisie od 30 do 250 tysięcy! O armii polskiej, walczącej na Zachodzie, słyszał coś mętnie, ale właściwie nie wie, o co jej chodziło.\*) Dopiero w Jałcie widzi rozmiary "kłopotliwej kwestii"

\*) Leahy wspomina, w związku z wizytą gen. Sikorskiego o 105-tysięcznej armii "w Szkocji i Syrii(!)". O żadnym udziale tych wojsk w kampaniach nie mówi. Następna wzmianka w tej sprawie (p. 337) brzmi: "...Ciechanowski had a problem of his own. He called at my

polskiej, ale jest "przyjemnie zaskoczony" pojedynczym stanowiskiem zajętym tam przez Stalina. Wprawdzie rozumie na końcu, że decyzje jałtańskie zredagowane zostały tak "elastycznie, że Rosja może je rozciągnąć, nie łamiąc ich wcale, od Jałty aż po Władywostok", ale uspakaja go Roosevelt: "wiem o tym Bill, tłumaczy mu, wiem dobrze, ale to jest wszystko, co mogę zrobić dla Polski w tym czasie". Później, w czerwcu 1945, zlecona mu zostaje jakaś rola w tworzeniu rządu warszawskiego; nie podaje, jak ją wypełnił. Właściwie, czujność admirała w sprawach polskich budzi się dopiero w Poczdamie, gdy Stalin wyznacza granicę zachodnią na Odrze i Nissie; i wówczas jednak pociesza się, konstatując, że przecież "każde ostateczne postanowienie usankcjonuje tę grabież ziem (niemieckich) przez Polskę".

Może by i nie warto było się tym wszystkim dłużej zajmować, gdyby nie parę kapitalnych, a nieznanych szczegółów, rozrzuconych tu i ówdzie wśród przewlekłych reminiscencji admirała.

Jak się okazuje, w niespełna cztery miesiące po spotkaniu w Teheranie, a w półtora po mowie Churchilla w Izbie Gmin, w której Premier brytyjski obwieszczał swój akces do "linii Curzona", nastąpił gwałtowny konflikt między nim a Stalinem. W dwóch telegramach do sowieckiego wodza i formalnej nocie ambasadora Kerr'a, Churchill wymagał odłożenia kwestii terytorialnych do konferencji pokojowej, mówił o nieuznawaniu rozstrzygnięć dokonywanych przemocą, doradzał porozumienie, a co najmniej "zawieszenie broni" między rządami sowieckim i polskim. Stalin dostał ataku hysterii. Telegram jego z 23 marca 1944, przesłany w kopii Rooseveltowi, ogłoszony jest obecnie w parafrazie przez admirała Leahy. Przypomina on, że w Teheranie we trzech "doszli do porozumienia co do słuszności linii Curzona"; zapytuje, czy zamiarem Churchilla jest złamanie tego układu; cytuje Churchilla, jak nazwał "przedstawicieli emigracyjnego rządu polskiego — obłąkańcami"; uważa Sowietów za "sojusznika Polski", ale stwierdza, "że linia Curzona jest przywróceniem słusznych praw Związku sowieckiego" i utrzymuje, że "rząd polski nie reprezentuje interesów narodu polskiego"; wreszcie zarzuca Churchillowi chęć dyskredytowania Sowietów, odrzuca "szkodliwe groźby" i "zniewagi" i zapowiada, że zamierzone wypowiedzenie Premiera w Izbie Gmin, rezerwujące kwestię granic do po-wojny będzie uważał za "akt niesprawiedliwości i nieprzyjaźni w stosunku do Związku Sowieckiego".

Nie znamy dalszego ciągu tej ciekawej kontrowersji. Roosevelt, według świadectwa Leahy, ograniczył się do "ostrożnego kursu", lawirując między Stalinem, Churchilllem i Mikołajczykiem.

office on April 5 (1945) to ask that the Allied Army consider using the Polish troops and forced labourers liberated by Gen. Eisenhower's advance... I transmitted his request to the Joint Chiefs of Staff for study".



Drugi kryzys w stosunkach trzech, o jakim Leahy podaje nam coś nowego, wynikł w przedzie dnia śmierci Roosevelta. W opisie admirała kontrowersja ta miała za punkt ciężkości próbę negocjacji berneńskich w sprawie kapitulacji armii niemieckiej w Italii. Jednakże wszystko wskazuje na to, że Stalin użył tej drugorzędnej w gruncie rzeczy sprawy jako pretekstu dla załatwienia po swojej myśli tego, co było dlań rzeczą główną — sprawy polskiej. Dlatego zbrutalizował Roosevelta, trzymał konflikt z nim w napięciu, posunął się nawet do osobistych imperzynencyj, aby mieć z czego ustąpić — a wygrać w zagadnieniu kluczowym.

W tym właśnie momencie wkracza na scenę dziejów Prezydent Harry Truman. Bez znajomości rzeczy, niewtajemniczony w sztukę i w sztuczki Roosevelta, ma jednak prosty rozum i poczucie odpowiedzialności. 22 kwietnia 1945 omawia w gronie swych doradców "zachowanie się rządu sowieckiego względem Polski, uważane za pogwałcenie, zgodnie z anglo-amerykańskim przekonaniem, porozumień osiągniętych na Krymie". Powróciwszy w ten sposób w pierwszej od razu chwili do wspólnego z W. Brytanią stanowiska w sprawie polskiej, czego tak starannie wystrzegał się Roosevelt, Truman powitał przybyłego w tymże dniu do Waszyngtonu Mołotowa mową "bez ogródek ani ozdób dyplomatycznego gadulstwa". "Nie dojdzie do porozumienia w sprawie polskiej, mówię, obraziłoby naród amerykański i mogłoby wpłynąć ujemnie, uniemożliwiając współpracę powojenną". W słowach tych brzmiała groźba ograniczenia Lend-Lease'u dla Rosji, czego domagał się w tej chwili Harriman, a związane z nią było ostrzeżenie, iż Stany Zjednoczone gotowe są stworzyć nową organizację międzynarodową z Rosją — lub bez Rosji.

Niestety, sieci przewrotnej intrygi, uknutej w Jałcie, zastawione były zbyt szeroko, ich ogniwa były ułożone zbyt gęsto, aby mogło się udać Trumanowi od nich uwolnić, nawet przy najlepszych chęciach. W miesiąc zaledwie po akcie mądrości stanu, jakim była rozmowa z Mołotowem, Truman zmuszony jest kontynuować politykę Roosevelta — wraz z jej wykonawcami. Popelnia tedy największy błąd pierwszego okresu swych rządów i, celem przygotowania nowej konferencji trzech, dla znalezienia też wyjścia z impasu w San Francisco, deleguje H. Hopkinsa do Stalina, a J. E. Daviesa do Churchilla. O pierwszej z tych misji i jej wyniku — katastrofalnym dla powojennej Europy — mamy pełne świadectwo w papierach Hopkinsa. Znaczenie drugiej — pro-sowieckiej misji Daviesa w Londynie — odsłania nam w części po raz pierwszy admirał Leahy. Kiedy rozmowa ambasadora z Churchilllem zeszła na Związek Sowiecki, "przywódca brytyjski stał się burzliwy i gwałtowny... uważał narzucenie przez Sowietów krajom okupowanym tajnej policji i gestapowskich metod za straszniejsze od samego komunizmu...". "Odparłem mu — raportuje Davies Prezydentowi — że doprawdy, słuchając jego inwektyw przeciwko panowaniu Sowietów i szerzeniu

komunizmu w Europie, stwierdzając taki brak zaufania do dobrej woli sowieckich władców, zastanawiałem się: czy Premier brytyjski byłby skłonny może oświadczyć teraz w obliczu całego świata, że on sam i Wielka Brytania omyliły się, nie podtrzymując Hitlera? albowiem formułuje on obecnie doktryny proklamowane i powtarzane przez Hitlera i Goebbelsa w ciągu całych czterech lat...".

Taki był wysłaniec Trumana, delegowany do wznowienia współpracy z Churchilllem. Nic więc dziwnego, że Truman, po drodze do Poczdamu, wyminął Anglię i proponował spotkanie wstępne ze Stalinem; tylko że Stalin, podobnie jak do Jałty, o 24 godziny się spóźnił na przywitanie Prezydenta i do rozmowy we dwóch nie doszło.

Nic też dziwnego, że Stalin wkrótce, jak to Leahy wyraźnie stwierdza, dowiedział się, w jakim usposobieniu w stosunku do Sowietów znajduje się Churchill.

Czy wyciągnął stąd swoje konsekwencje i przyczynił się własnymi drogami do obalenia Churchilla w wyborach lipcowych? Jest to jedna z zagadek, jakie kryje w sobie zawiślana historia tych dni. Można co najwyżej postawić samo pytanie; zaś demonstracyjnie zimne, jak podkreśla Leahy, przywitanie przez Stalina nowego Premiera W. Brytanii nic jeszcze nie świadczy. Bolszewicy widzieli zawsze w europejskich partiach socjalistycznych swego niebezpiecznego wroga na przyszłość. Ale w danej chwili Churchill był wrogiem natychmiastowym, bezpośrednim i usunięcie jego z Poczdamu warte było zachodu. Ciekawe, czy będą kiedyś znane instrukcje centrali moskiewskiej dla partii i agentów komunistycznych w Anglii, z wczesnego lata 1945?

Michał SOKOLNICKI,

## Ogród Getsemański

### I.

Książek o Rosji Sowieckiej napisano i wydano po drugiej wojnie światowej tyle, że można by z nich utworzyć całkiem poważną biblioteczkę. Niektóre z nich, jak bardzo przeciętna spowiedź Krawczenki, czy przygnębiająca powieść Koestlera, zdobyły światową poczytność, inne — pozostały w węższym kręgu czytelników jednego kraju. Spory procent tych utworów należy do literatury więziennie-obozonej, rozpoczętej, jeśli się nie myli, wspomnieniami Victora Serge'a, napisanymi jeszcze przed wojną. Wyjątkowy w dziejach Sowietów fakt masowego

BAHRIANYJ Iwan, Sad Getsymański. Roman. Wydawnictwo "Ukraina". 1950. Str. 560. Cena 840 frs.



zwolnienia polskich zesłańców, wśród których było wielu wybitnych pisarzy, spowodował bujny rozkwit tego rodzaju literackiego, a nawet w pewnym stopniu jego inflację, choć nie brakowało rzeczy tak wybitnych, jak "Między sierpem i młotem" Grubińskiego, "Na nieludzkiej ziemi" Czapskiego, czy też drukowane ostatnio reportaże Gustawa Herling-Grudzińskiego. Ale rzeczywistość rosyjska jest w nich widziana oczami ludzi z Zachodu, którzy rzućni zostali do więzień i obozów sowieckich po nagłym, oszałamiającym wyrwaniu z dawnego życia, i reagują na to, co ich spotyka, trochę tak, jak się reaguje na nocny koszmar, a tym samym, choć autentyzm ich przeżyć jest niewątpliwy, czują otaczającą rzeczywistość inaczej, niż autochtoni sowieccy. Ostatecznie wszyscy oni, i Serge i Czapski i Grubiński i Margolin — to mimowolni turyści, niezaangażowani uprzednio w życie sowieckim i głuchej walce toczącej się na olbrzymich przestrzeniach eurazjatyckiego imperium.

Takiej książki, która by z całą zawziętą drapieżnością bezkompromisowego realizmu obnażyła wnętrze sowieckiego aparatu państwowego, książki napisanej przez kogoś, kto — nie jak tamci, wciągnięci raczej przypadkowo w miażdżące tryby bolszewickiego Molocha — wychował się w owym klimacie i od samego początku trzymał czujną dłoń na samym plexus solaris systemu, jeszcze dotąd nie było. Taką książką jest powieść Iwana Bahrianego, "Ogród Getsemański".

## II.

Bahrianij jest wybitnym ukraińskim politykiem emigracyjnym, poetą, powieściopisarzem, dramaturgiem i malarzem w jednej osobie. Jak przyznają nawet krytycy, raczej niechętnie do niego ustosunkowani, "twórczość jego znajduje olbrzymi polityczno-społeczny rezonans, choć pod względem artystycznym przyjmuje się ją i ocenia bardzo różnie — prawdopodobnie ze względu na niezwykle pstrokaty eklektizm jego poetyckich zasobów".

Nie znam powieści Bahrianego pt. "Łowcy tygrysów", ani utworów dramatycznych: "Generał", "Pogrom", "Morituri". Znam natomiast obszerny tom wierszy i poematów pt. "Złoty bumerang", pochodzący jeszcze z dawniejszych, przed-emigracyjnych czasów. Jeden z tych utworów poetyckich, "W celi śmierci", ukazał się w przekładzie niżej podpisanego na łamach "Kultury".

"Złoty Bumerang" — pisał przed trzema laty krytyk ukraiński, Kaczurowskyj — składa się z poezji najrozmaitszych wartości — od niezapomnianie pięknych do niezdarne bezbarwnych. Na tym właśnie polega różnica między Bahrianym, a naszym drobiazgiem poetyckim: u małych poetów wszystko jest jednakowe; nie ma czym się zachwycać, ani do czego przycześć".

Kaczurowskyj nie odbiegł daleko od prawdy. Bahrianij jest

w swojej twórczości poetyckiej żenująco nierówny, choć zawsze wychodzi poza poprawną przeciętność. Mówi za dużo, daje się ponosić niekontrolowanemu potokowi słów; gorąca magma wydaje mu się ostatecznym kształtem; nieostygłe jeszcze bruliony oddaje do druku; obrazowanie, zbyt często nie poddane krytycznej kontroli, zamaca i niewłaściwie użytych metafor; retoryka, wpadająca co chwilę w skrajnie wyteżony patos, nie stroni od wiecowych efektów; ciągle jeszcze mści się jaskrawy plakat, publicystyczny żargon à la Majakowski, zamiłowanie do "monumentalnych" przenośni. Ale w parze z tym idzie olbrzymi temperament poetycki, świeżość i siła, oryginalność i barwność, a nade wszystko bijące z każdego wiersza biologiczne zdrowie człowieka, jak nikt inny zrośniętego z ziemią, teluryczny instynkt, oddech, obliczony na wiatr i burzę, puls i ciśnienie krwi, lekceważące sobie najwidoczniej wszelkie zasady medycyny.

Te same wady i zalety charakteryzują omawianą powieść. Cięża na niej poważne dłużyzny, zbyt liczne wstawki liryczne, nieumiejętność lakonicznej koncentracji. Myślę, że nie popełnię stylistycznego nadużycia, jeśli nazwę tę książkę wstrząsającą, ale wrażenie po jej przeczytaniu byłoby jeszcze potężniejsze, gdyby autor zdobył się na większą kondensację i samodyscyplinę. Wezbrany żywioł słowny wylewa niekiedy poza brzegi i grozi artystyczną katastrofą, tam natomiast, gdzie nurt uspakaja się i oczyszcza, Bahrianij zdobywa się na stronicę o największej sile i najostrzejszym osobistym wyrazie. Na ogół jednak przesadna skłonność do lirycznego komentowania wydarzeń, które żadnego komentarza nie wymagają, tak są tragiczne i niesamowite, stwarza wiry w epickim prądzie narracji i zamaca strukturę. Skoro sama opisywana rzeczywistość gra bezustannie w tonacji maior, częste przyciskanie pedałów jest zbyteczne: niepodobna przecież biciem w bębny zagłuszyć huk morskiego przypływu, ani wywyższyć swój krzyk nad wycie huraganu.

Zbyt wiele epizodów anegdotycznych i dygresyj sprawia, że opowiadanie wciąż musi przebijać się przez mielizny i trzęsawiska, zwalnia tam, gdzie aż się prosi o przyspieszenie rytmu, skręca i zawraca, jest kapryśne, jak rzeka, i jak rzeka niepoddane żadnym prawom, prócz praw naturalnych. Nadmiar materiału przeszkadza Bahrianemu w selekcji, a że książka jest niewątpliwie w znacznej mierze autobiograficzna, czytelnikowi trudno oprzeć się wrażeniu, że autor postanowił za jednym zamachem uwolnić się od przeżytych koszmarów i wykrzyczeć je całemu światu gwoździ straszliwemu oskarżeniu i własnej uldze. Zyskuje na tym autentyzm opowieści, — traci strona artystyczna. To, co byłoby zaletą dla reportażu, staje się obciążeniem dla powieści. Zresztą nie jestem pewien czy należy upierać się przy tej nazwie; autobiograficzny reportaż — to może najlepsze określenie książki Bahrianego. Szukając dla niej odpowiednika



w literaturze, zatrzymałbym się na romantycznych wspomnieniach Silvio Pellico. Tyle, że "Moje więzienia" włoskiego karbonariusza to zwykła sielanka w zestawieniu z "Ogrodem Getsemańskim".

A jednak przy wszystkich spuchnięciach i bifurkacjach, książka nie jest pozbawiona logicznej konstrukcji. U progu więziennych dziejów Andrija Czumaka stoi spotkanie z braćmi i siostrą, i drugim takim spotkaniem kończy się utwór. Zawsze obecna myśl o rodzeństwie, spotęgowana specjalnymi okolicznościami toczącego się śledztwa, towarzyszy wszystkim etapom fizycznej udręki bohatera i jego przeżyć moralnych, i jest jak błyszcząca nitka, za którą łatwiej podążać czytelnikowi w jego wędrówce po mrocznym labiryncie opowieści.

Surowy realizm Bahrianego, nie oczyszczony — jak to już podkreśliłem — od naleciałości publicystycznych i reportażowych, łączy się z coraz-to wybijającą się na powierzchnię podskórną nutą jakiejś ludowej rapsodyczności. Proza staje się wówczas jeszcze bardziej rozlewna, wpada w rytm prawie wiersza, litanijny, zawodzący i śpiewny. Już pierwsze zdania powieści świadczą o tym najdobitniej:

Szybko biegną pociągi stepami, szybko płyną okręty morzami, jeszcze szybciej samoloty pod niebiosami — ale najszybciej leci matczyne serce. Poprzez góry wysokie, przez wody głębokie, przez kraje obce, nieschodzone pędzi ono jaskółką, synów szukając, ich wyglądając, i — powraca zmęczone — nie masz jej synów. Kraje nieschodzone, miasta niezliczone, góry nieprzejrzone, obczyzna obca, nieprzychylna — nie znaleźć tam matce swoich synów. Na próżno miota się biedne serce matczyne. Nie ma. A oni, synowie... ani wieści nie podają, ani sami nie przybywają, ani pociągami, ani okrętami, ani owymi samolotami...

Reportażowe chwytły, publicystyczne dygresje, sporo naiwnej nieporadności, a zaraz obok tego stronicie godne rasowego realisty i fragmenty pisane w stylu bajki czy epopei ludowej — niełatwa jest klasyfikacja literacka "Ogrodu Getsemańskiego". Niektóre sceny tortur wywierają zupełnie wyjątkowe wrażenie; opisu przyrody ukraińskiej z mająceń Czumaka, zamkniętego w karcercie, nie powstydziliby się największy majster; atmosfera zatłoczonego sowieckiego więzienia przedstawiona jest nieomylną ręką; umiejętność zarysowania kilkoma kreskami żywych ludzi — całkowita. Szkoda, że tu i ówdzie do tych soczystych, barwnych portretów Bahrianaj dodaje zbyt długie i wpadające w rezonerstwo komentarze od siebie; niepotrzebnie — żyją i bez tego.

Ale znaczenie tej książki, której nie wahałem się nazwać wstrząsającą, wykracza daleko poza granice zwykłej oceny literackiej.

### III.

"Kto tu nie był — ten będzie, kto był — ten nie zapomni". Taki dantejski napis powitał Czumaka ze ściany celi po prze-

wieżeniu go "Czarnym Krukiem" z centrali NKWD do więzienia. Istotnie, w więzieniu sowieckim dają sobie rendez-vous wszystkie klasy społeczne, wszystkie szczeble hierarchii politycznych, i nie brak najbardziej niesamowitych spotkań. Osiwiali doktrynerzy marksizmu, towarzysze pierwszych bojów Lenina i Trockiego dzielą zapluskwione wyrko z nieletnim kryminalistą; ormiański pucybut wchodzi w przyjaźń ze słynnym inżynierem, konstruktorem wielkich kombinatów sowieckich; ksiądz prawosławny opatruje siniaki i rany skatowanego Grużina; bohaterzy socjalistycznego budownictwa zwierają się ze swych przeżyć i udręk prostym chłopom ukraińskim. Niekiedy sytuacje nabierają posmaku koszmarnego groteski; Ormianin Karapetjan przypala papierosa od inżyniera N., który przed kilku laty projektował więzienie, aż sam do niego trafił, i dziękuje mu ironicznie: "Dobre więzienie zbudowałeś... Dobre... Dziękuję ci, bracie..." Ktoś siedzi, oskarżony o utworzenie kontr-rewolucyjnej organizacji... jarosów. Do wielkiej wspólnej celi, gdzie dusi się przeszło trzystu ludzi, wprowadzają funkcjonariusza NKWD, Barbarowa, słynnego z wyrafinowanych okrucieństw. Były sędzia śledczy grubo przeszkrobał i z dygnitarskiej posady dostał się między "wrogów ludu". Przepadek chce, że w tejże sali znajduje się kilkunastu więźniów, którzy uprzednio przeszli przez ręce Barbarowa i poznali jego metody śledcze. Po tygodniu rozgrywa się następująca scena:

Podczas gdy cela śpiewała melancholijnie "Leciła zazula", a część więźniów skupiła się przy drzwiach, oczekując na "sklepik", ktoś z całej siły zastukał do drzwi.

— Oddziałowy, oddziałowy — wrzeszczał ktoś energicznie do szpary — Halo! Korytarzowy!

Gdy zagrzmiąły zasuw, tłum rozpięchł się od drzwi, jakby go w ogóle przedtem nie było. Drzwi otworzyły się i więzień, który nawoływał, oświadczył spokojnie:

— A tu człowiek utopił się... W kiblu...

— Hm... Jakże to utopił się? — zapytał dozorca dość apatycznie, oglądając nogi, co istotnie sterczały z wysokiego kibla.

Wszyscy spostrzegli sterczące nogi, ale nikt nie zerwał się i nie skoczył, jakby opanowany jakimś instynktownym odruchem. Nawet tęskna pieśń nie urwała się... Nikt nie chciał nawijać się pod rękę i trafiać w jakieś tam świadki. Rzecz jasna. Utopiono Barbarowa.

— Hm... Jakże to on utopił się?

— A, widać, w głowie zakręciło się... Przechylił się... No, i utopił się...

— Dosyć śpiewania! Wynieść kibek! Dyżurni!

Dyżurni zerwali się i wynieśli z celi kibek razem z Barbarowym...

Nieletni kryminalista, Saszko Griażnow, opierał się jak dziki zwierz, kopał i gryzł strażników po rękach, gdy go ciągnęli do celi politycznych. Napompowany propagandą o wrogach ludu, młody złodziejasek bał się ich, jak ognia.

— Co wy mnie wrzucacie do trockistów?! Co wy mnie wrzucacie do trockistów?! Puście! Puście-ee!!!

Ale spotkał go tu bardziej ludzki i przychylniejszy stosunek,



niż na wolności, wkrótce Saszko przywiązał się ślepą, psią miłością do kilku politycznych. Gdy po miesiącu zabierano go z celi, scena powtórzyła się, ale na odwrtkę. Chłopak nie chciał wychodzić, stawiając rozpaczliwy opór.

— Łotry! Nasadzali niewinnych ludzi do celi i męczą! Nie podchodź, bo zabije! Swolocz! Gady! Trockistów wymyślili!

— Isz, wychowali go sobie — świszczal gniewnie przez zęby jeden z dozorców.

W taki sposób więzień kryminalny zamienił się w politycznego.

#### IV.

Bohater powieści, Andrij Czumak, jest proletariuszem, synem kowala; dzięki wrodzonym zdolnościom ma przed sobą wielką karierę, ale bardzo młodo wchodzi na niebezpieczną drogę samodzielnego myślenia i dostaje się do wschodnio-syberyjskiego obozu. Ucieka, wędruje za sfalszowanymi papierami po olbrzymich obszarach Rosji, wraca do ojczyzny i, zadenuncjowany, wpada ponownie w ręce NKWD, które wietrzy w nim niebezpiecznego konspiratora i terrorystę. Ojciec Czumaka brał czynny udział w rewolucji i wojnie domowej, bracia są oficerami Czerwonej Armii, a jeden z nich otrzymał wysokie odznaczenie za bojowe zasługi na Dalekim Wschodzie. Autor nie omawia dokładnie duchowych i politycznych przemian bohatera, które go zaprowadziły najpierw do łagru, a potem po raz drugi do więzienia, ale nie trudno domyśleć się, że pierwsze jego aresztowanie miało związek ze sprawą Chwyłowego i przeprowadzaną na Ukrainie czystką żywiołów "nacjonalistycznych". Na Czumaku nie ciąży klasowe pochodzenie, ani wrogie socjalizmowi tradycje. To urodzony proletariusz, rewolucjonista, niewierzący, jak sam oświadcza prawosławnemu duchownemu, zamkniętemu z nim w tej samej celi. Jego bunt jest bardziej instynktowny, niż wyrozumowany, i dopiero w czasie pobytu w więzieniu zaczyna precyzować się i nabierać ideowej logiki. To nie doktrynalny intelektualista, dokonywujący sam na sobie wiwisekcji, jak Rubaszow z "Ciemności w południe". Jego bunt idzie od ziemi, od samych korzeni, i dlatego żaden Gletkin nie będzie w stanie niczego mu wyperswadować.

Tak doszliśmy do Koestlera, którego nazwisko narzuca się czytelnikowi od pierwszych stron "Ogrodu Getsemańskiego".

Czumakowi daleko do pozycji społecznej i politycznej Rubaszowa, ale choć na niższym szczeblu, sytuacja jest pod wieloma względami analogiczna. To samo oskarżenie, te same metody perswazji na początku, udręki fizycznej i moralnej po pewnym czasie. Prawda, Rubaszowa nie poddają bezpośrednim torturom, ale może dlatego, że sędzia śledczy szybko zorientował się, iż dopnie celu i bez tego. Zresztą, nie wolno zapominać, że powieść Koestlera to tylko hipoteza, tak ponętna i odkrywczą, że uznana przez niektórych za uniwersalny klucz do pro-

cesów moskiewskich, ale nie podparta życiowym doświadczeniem. Bucharina musiano tłamsić nie gorzej, niż Rubaszowa, a przecież na publicznym procesie stary doktryner energicznie zaprzeczył oskarżeniu o szpiegostwo i służbę obcym mocarstwom. U Bahrianego również nie brakuje Rubaszowych, podpisujących paragraf 200-tny "dla dobra partii i socjalistycznej ojczyzny". Wielu załamuje się już po pierwszym zaaplikowaniu kundi-bundi, jak nazywają więźniowie w swoim żargonie fizyczne tortury, inni — wytrzymują dłużej, jeszcze inni kończą w szpitalu wariatów i tylko bardzo nieliczni trwają do końca.

Opisy wielokrotnych tortur, którym poddają Andrija Czumaka, stanowią niewątpliwie najsilniejszą partię książki, a to nie tyle ze względu na ich skrajny realizm, co na zacieklą, nieprzejednaną postawę męczzonego człowieka.

Lepiej połamać żebra stu niewinnym, niż wypuścić jednego winnego — przekłada mu sędzia śledczy. — Ręka nam nie zadrży. Ty tu nam powiesz wszystko. Nie powiesz stojąc, to powiesz leżąc. Nie powiesz przytomnie, to powiesz w stanie nieprzytomnym. Ale powiesz! Tu jeszcze nie było takich, co by w pozycji bohatera wytrzymali do końca. Ty tu nie jesteś bohaterem i nawet nie jesteś człowiekiem, tylko dziurą od obwarzanka. Zrozumiałeś? Nie licz na żadną litość, bo my kichamy na człowieka. Bardzo się mylisz, jeśli sądzisz, że będziemy się z tobą patyczkować. My nie mamy czasu na patyczkowanie się. I ciebie i wszystkich innych zgnieciemy, jak muchę, i nikt was nie pożałuje. Nikt nawet okiem nie mrugnie. W Rosji Sowieckiej ludzi wystarczy!

I oto samotny, wymęczony więzień postanawia udowodnić swoim katom, że jest człowiekiem, a nie dziurą od obwarzanka. Zaczyna się straszliwe kundi-bundi.

Podczas, gdy Andrij wyteża całą siłę woli, by wytrzymać ból fizyczny i nie załamać się, inteligencja nie przestaje pracować ani na chwilę, czujna na każdy nowy chwyt, na każde podstępne pytanie, na każdą dwuznaczną aluzję. Straszne podejrzenie, umiejętnie podsycane przez śledczych, że zadenuncjował go jeden z braci, a obciążające zeznania złożyła ukochana kobieta, zadaje mu większą udrękę, niż najwymyślniejsze tortury: owa "gra w piłkę" żywym człowiekiem, sadzanie na specjalnie skonstruowanym stolku, świecenie potężną żarówką w oczy, rozbijanie mięśni "na befszytk" ostrym kantem linijki, skanie podkutymi butami na piersi, oddawanie moczu na twarz... Ciało zamienia się w bezsilną szmatę, ale wola działa, ale inteligencja czuwa... Któregoś dnia, bliski obłąkania od udręk fizycznych i moralnych, Andrij dokonywa rzeczy nie do pomyślenia nigdzie, poza Rosją Sowiecką: "werbuje" i sadza do więzienia własnego śledczego!

"Werbunek" oznacza w żargonie więziennym wciąganie do sprawy osób, nie mających z nią nic wspólnego, a często nawet nie znających głównego oskarżonego. NKWD żąda wykrycia urojonych współników i gdy tortury stają się nie do wytrzymania, nieszczęsna ofiara "werbuje" kogokolwiek, byle zakończyć śledztwo. Otóż w obecności naczelnika grupy NKWD Andrij dał do



zrozumienia, że jego sędzia śledczy znał go dobrze na wolności i zataił ten fakt przed władzą. To wystarczyło by "zwerbować" sędziego; towarzysz Doniec został aresztowany i wsadzony do tego samego więzienia, w którym męczył się Andrij.

Ostatecznie, Czumak wytrzymuje wszystkie tortury, nie podpisuje zeznań, podsuwanych przez NKWD i staje przed trybunałem, który go sędzi wraz z braćmi, z połamanymi żebrami, plujący krwią z poszarpanych płuc, ale w pełnym poczuciu uratowania swej ludzkiej godności. Dostępuje w cwej chwili najwyższego szczęścia, bowiem podejrzenie o zdradę starszego brata Mykoły, podejrzenie, które go niemal doprowadziło do samobójstwa, rozwiewa się do reszty. I gdy trybunał wynosi wyrok śmierci, ma przed sobą nie złamanego człowieka, nie "zgniecioną muchę", nie "dziurę od obwarzanka", ale dumnego zwycięzcę.

## V.

Paradoksalnie, książka ta, w której dzieją się sprawy zaiste niesamowite i bez przerwy poniewiera się godność ludzką, jest w gruncie rzeczy jednym nieprzerwanym hymnem na cześć człowieka i jego wartości duchowych. Bahrianij opisuje rzeczywistość tak straszną, o jakiej Koestlerowi nawet się nie śniło. A jednak "Ciemność w południe" jest książką ponurą i przegnębialającą, natomiast "Ogród Getsemański" zamykamy — nie bójmy się tego banalnego zwrotu — z uczuciem duchowego pokrzepienia.

Im straszniejsze sprawy dzieją się w książce, tym większą wiarę w człowieka budzą w czytelniku. Nie chodzi tu wyłącznie o postacie tak bohaterские i z jednej bryły wykute, jak sam Andrij, jak Wasilczenko, który raczej zginie na torturach, niż podpisze wymuszane zeznania, jak ów marynarz z krążownika "Czerwona Ukraina", co rozżarzonym papierosem przypalał sobie rękę, "żeby się zahartować przed śledztwem". Czumak odkrywa cały świat delikatnych przeżyć i czułych sentymentów w kryminalistach, z którymi zetknął się po raz pierwszy w życiu, a w których ze zdumieniem poznaje ludzi, chorych moralnie, zdeprawowanych warunkami, nieszczęśliwych — ale ludzi. On sam po "zwerbowaniu" swego dręczyciela, sędziego śledczego, Dońca, odczuwa wyrzuty sumienia. Nawet w erotomance, morfinistce i sadystce, Nieczajewoj, specjalistce od bicia żelaznym prętem po jądrach, odzywa się jakaś głucha struna, gdy ją w imię jej matki proszą o pozwolenie napisania listu do rodziny.

Dozorca Melnik cieszy się wdzięcznością wszystkich więźniów. Rozdaje machorkę, omija regulamin, stara się przyjść z pomocą w drobnych rzeczach, tak bardzo istotnych w życiu każdego aresztanta. Krąży o nim całe legendy, więźniowie go błogosławia, opowiadają cuda o jego złotym sercu i hojnej ręce. I oto Andrij z przerażeniem dowiaduje się, że Melnik jest jednym z katów więziennych; jego rola przy egzekucjach polega na roz-

bijaniu żelaznym łomem głów niedostrzelonych ofiar. Ten sam Melnik, gdy w nowym więźniu poznaje popadłego w niełaszkę funkcjonariusza NKWD i domyśla się, że ten zdradził jego prawdziwą rolę przed Andrijem, przeraził się.

Ręce mu zadrżały, a twarz i szyję zaala ciemna purpura... Odwrócił oczy... Na czole wystąpiły krople potu. Odwrócił się i wbrew zwyczajowi wyszedł z celi bez słowa pożegnania. Tak jakby chciał uciec.

Stąd też pomimo przytłaczającej potworności opisywanych spraw, "Ogród Getsemański" jest książką w najwyższym stopniu optymistyczną. Marginesowo optymizm ten wyraził się w licznych scenach o wyraźnie humorystycznym zacięciu. Jest to, oczywiście, humor bardzo swoisty, powiedziałbym — szubieniczny, ale jego nawroty, rozświetlające mroczne cele i piwnice NKWD, ułatwiają czytelnikowi przebrnięcie przez wszystkie okropności więzienne, jak niewątpliwie pomagały bohaterowi powieści i jego towarzyszom w przetrwaniu sowieckiej kaźni.

## VI.

Książka Bahrianego stanowi więc z jednej strony przeraźliwy dokument sowieckiej rzeczywistości, przewyższający siłą wyrazu wszystko, co dotychczas na ten temat napisano; z drugiej zaś strony — jest wymownym świadectwem głębokiego humanizmu autora, który na samym dnie piekła potrafił podpatrzeć ludzkie cechy u najbardziej nawet zezwierzęconych osobników. Pod tym względem kulminacyjnym wspięciem się opowieści jest bodaj scena, w której enkawudzista Siergiejew załamuje się w rozmowie z Czumakiem.

Żal mi was — mówił Andrij do swego oprawcy. — Wy nas miażdżycie i do głowy wam nie przychodzi, że miażdżycie samych siebie. Wciąż powtarzacie, że jesteście z żelaza... A mnie was żal... Wy nas miażdżycie, ale sami nigdy nie zaznacie szczęścia. Ten nasz krzyk... nasza krew... prześladować was będą całe życie. Zakochacie się, ale my będziemy nadal krzyczyć i skowytać — i zatrujemy wasze szczęście. Będziecie mieli dzieci i zaczniecie unikać ich wzroku, bo z ich oczu będą spoglądać nasze żrenice, a w ich radosnej wrzawie odezwie się nasz ryk, nasz niesamowity wrzask... Straciecie radość ojcostwa i radość małżeństwa, i nawet miłość matek będzie dla was za-truta, bo ich oczami będą spoglądać nasze niezliczone matki, a w ich łzach odezwie się nasza krew... i wiecznie będziecie nas słyszeć — nasz krzyk, nasz skowyt, nasz wrzask...

Józef ŁOBODOWSKI



## Nowości francuskie

### LITERATURA

- GENNARI (G.). *La fontaine scellée*. Pp. 251 (Ed. de Flore, 1950, frs. 300).
- WERFEL (F.). *L'étoile de ceux qui ne sont pas nés*. Pp. 569. (Ed. Plon, 1950, frs. 690).
- GREENE (G.). *Le troisième homme et Première desillusion*. Pp. 252. (Ed. Robert Laffont, 1950, frs. 300).
- ROBERT (J.). *Les dents longues*. Pp. 284. (Ed. Julliard, 1950, frs. 420).
- BOUTELLEAU (G.). *Ventriloques*. Pp. 305. (Ed. Julliard, 1950, frs. 390).
- GREENE (G.). *Le ministère de la peur*. Pp. 318. (Ed. Laffont, 1950).
- HUXLEY (A.). *Jaune de crome*. Pp. 253. (Ed. La Jeune Parque, 1950, frs. 375).

### DOKUMENTY CHWILI

- MARINO (S.). *Le rideau de fer tombe*. Pp. 349. (Ed. Arthème Fayard, 1950, frs. 400).
- BLOND (G.). *Convois vers l'U.R.S.S.* Pp. 275. (Ed. Arthème Fayard, 1950, frs. 275).

### NOWOŚCI POLSKIE

- ORWID-BULJCZ (R.). *Europa nie odpowiada*. Str. 287. (Wyd. Biblioteka powieści, Londyn, 1950).
- PRZYŁUSKI (B.). *Pastoralka Małoszowska*. Str. 62. (Wyd. Veritas, Londyn, 1951).
- GIERTYCH (J.). *W Polsce między wojnami*. T. I. str. 332, T. II. str. 263, T. III. str. 295. (Nakład autora. Londyn, 1950, cena za całość 30 sh.).

- DWORJETSKI (M.). *Ghetto à l'est*. Pp. 302. (Ed. Robert Marin, 1950, frs. 375).

### HISTORIA

- RISTELHUEBER (R.). *Histoire des peuples balkaniques*. Pp. 502. (Ed. Arthème Fayard, 1950, frs. 500).
- ROPS (D.). *L'église des temps barbares*. Pp. 774. (Ed. Arthème Fayard, 1950, frs. 750).
- ROBERT (G.). *La France aux Antilles de 1939 à 1943*. Pp. 230. (Ed. Plon, 1950).
- KANTAK (K. Abbe). *Le père Maximilien Ryllo S. J.* Pp. 125. (Beyrouth, 1950).

### RELIGIA

- MOUNIER (E.). *Feu la chrétienté*. Pp. 275. (Ed. du Seuil, 1950).

### EKONOMIA

- MARANTZ (M.). *Le Plan Marshall succès ou faillite?* Pp. 273. (Ed. Marcel Rivière et Cie, 1950, frs. 320).

### NOWOŚCI NIEMIECKIE

- GMELIN (H.). *Der französische Zyklusroman*. Pp. 194. (Ed. Quelle & Mayer, Heidelberg, 1950).
- SCHAPER (E.). *Sterne über der Grenze*. Pp. 60. (Ed. Jakob Hegner, Kolonia, 1950).

## Z ostatniej chwili

### NOWE PRZYPISY

#### DO INSTRUKCJI DLA SAMOCZYNNYCH AMBASADORÓW

Usiłując skaptować dla "Kultury" paru nowych subskrybentów, odwiedziłem ostatnio kilku rodaków. Niewiele wprawdzie znalazłem chętnych do uiszczenia przedpłaty, wszędzie jednak słyszałem przychylne dla czasopisma mniemania. Nienajpośledniej przyczynił się do nich artykuł p. Chałki, budząc z uspienia rozpowszechnioną wśród emigrantów ambicję ochotniczego ambasadorstwa. Wyczerpałem był już wszystkie koncepty do zdobycia nowych abonentów prowadzić mogące, gdy dowiedziałem się, że u jednego z przyjaciół od trzech dni już grano w karty. Udałem się tam natychmiast w nadziei, że przynajmniej głównego wygrywającego uda mi się przecież do przedpłaty namówić.

Około 10-ej rano wszedłem do wypełnionego gęstym dymem mieszkania. Dzień był jak wół, śnieg lśnił w zimowym słońcu, mimo to wszystkie okiennice były szczelnie zamknięte. W żółtym blasku świec czterech panowie z błyszczącymi twarzami ciągnęli właśnie karty do nowego robra. Wychodzącym był znany chlubnie wśród rodaków były major wojsk neapolitańskich, wielkiego doświadczenia człowiek, który, jak przypuszczałem, był też zapewne głównym wygrywającym. Widząc go wstającego od stołu, powitałem go serdecznie i przystąpiłem od razu do wiadomego tematu. Major musiał być mocno wygrany, bo bez oporu przyrzekł solennie "Kulturę" od nowego roku zaabonować. Wnosząc stąd, że u pozostałych graczy wobec pustki w kieszeniach nie mogę tym razem liczyć na powodzenie, zostawiłem ich w spokoju i zagadnąłem majora co sądzi o amatorskim ambasadorstwie na emigracji.

— Logika, młody przyjacielu, przede wszystkim! — rzekł basowym głosem major i podnosząc w górę rękę ciągnął dalej: — Tak w bridge'u jak w polityce, żelazna logika i bezbłędne rozumowanie rozstrzygają o trafnym rozpoznaniu położenia i o skuteczności działania.

— Zdolność przewidywania najoczywistszych nawet następstw naszych czynów jest w tak małym stopniu udziałem śmiertelników, że w polityce żadnej nie odegrywa roli. Tym bacniejszą uwagę winniśmy zwrócić na fakty dokonane, które nieraz na dłuższy czas przesą-



dają o sytuacji, popychając przed sobą chętnych czy niechętnych polityków w jednym kierunku.

— Jeden z takich faktów przesądził o losach naszego kraju w ciągu lat ostatnich. Odepchnięta przez mocarstwa zachodnie i pozbawiona z tej strony wszelkiej nadziei ludność kraju, znużona nadto wojną i wieloletnią okupacją niemiecką, szukała szczerze porozumienia z Moskwą, godząc się na uciążliwe ustępstwa i okazując w tej tendencji uderzającą jak na Polaków zgodność i konsekwencję. Z tego usposobienia ludności politycy Kremla mogli wyciągnąć największe dla siebie korzyści. Pokojowemu rozwojowi stosunków stanął na przeszkodzie upiór zsyłek i masakrów z lat 1939 - 1941. Dokonawszy tych barbarzyńskich czynów, wielkorządcy Moskwy utracili do Polaków zaufanie sądząc, że każdy z nich musi się podobnego losu obawiać i tajemnie dążyć do obalenia tak niebezpiecznej dlań potęgi moskiewskiej. Im głośniejsi polscy rzecznicy ugody zapewniali ich o szczerości swych życzeń, tym bardziej słowa ich wydawały się podejrzanym. W wyniku nieufności zrodzonej z własnych postępów politycy moskiewscy przyszli do przekonania, że tylko system bezwzględnej ucisku może ich wpływy w Polsce zachować.

— Podobne, chociaż mniej jaskrawe fakty ciążyą na naszej emigracji. Im więcej niechęci okazały jej władze krajów, w których znalazła schronienie, z tym większą podejrzliwością władze te patrzyły obecnie na emigrantów. Oto co mi pisze z błogosławionej ziemi helweckiej stary druh i towarzysz z ławy szkolnej, Jan w Oleju Dobruta.

Tu wyjął z kieszeni surduta ćwiartkę papieru, z której przeczytał:

— Mieszkam tu już od dziesięciu z górą lat, żyjąc ze skromnych resztek ocalonej z wojennego potopu fortuny. Zezwolenia na pracę nie mam, wszystkie więc koszty długiego pobytu pokryłem z własnej kieszeni. Mimo to cztery razy do roku władze zadają mi od dziesięciu lat to samo pytanie: "Dlaczego pan jeszcze nie wyjechał?", dając mi niedowzmaczanie do zrozumienia, że chcąby mnie wysłać jak najprędzej tam, gdzie pieprz rośnie. Dotąd nie brałem tego zbyt do serca, uważając te powtarzane przy każdym spotkaniu życzenia za rodzaj narodowego obyczaju wolnych Helwetów. W jednym kraju witają się słowami: "Niech cię Bóg błogosławi!", w innym: "Niech cię diabeł weźmie!". Ostatnio jednak zacząłem odczuwać pewien niepokój ze względu na możliwość alarmów, mobilizacji i innych skutków naprężonej sytuacji politycznej. Jaki los mnie czeka w kraju, którego władze przez dziesięć lat nie znalazły mi nic innego do powiedzenia, jak tylko powtarzane przy każdym spotkaniu życzenie, abym zniknął z ich oczu? Urzędnicy policji, którzy mi to życzenie co kwartał składają, mogą łatwo powziąć podejrzenie, że i ja w myśl przy najmniej posyłam ich za każdym razem do wszystkich diabłów. Stąd zaś krok już tylko dzieli ich od wniosku, że jestem opornym, krnąbrnym cudzoziemcem, żyjącym zle lub przynajmniej podejrzanym zamiary względem władz demokratycznie przez lud alpejski powołanych do nadzorowania mnie i wypraszania za drzwi. Wydaje mi się więc wcale prawdopodobne, że w razie mobilizacji lub innego popłochu zostanę wraz z innymi emigrantami zamknięty w jakimś obozie koncentracyjnym. Uniknąwszy tego losu dotąd, nie chciałbym też ostatnich lat życia spędzić za drutami i myślę coraz częściej o wyjeździe w jakieś inne strony.

Odczytawszy tę część epistoły Jana w Oleju Dobruty, major wyciągnął z kieszeni kapciuch z wieprzowego pęcherza i kładąc tytoń do fajki, ciągnął dalej:

— Otóż i masz pan! Przybyliśmy na Zachód jako pierwsi żoł-

nierze zimnej wojny i po pierwszym jej pięcioleciu moglibyśmy słuszenie pretendować do jakiegoś medalu czy innego odznaczenia za trafność naszych przewidywań i wytrwałość, z jakąśmy przy nich dość samotnie obstawali. Nikt jednak nam tego nie pamięta i na naszą korzyść nie zapisuje. Niezadowolone, jakie wywołaliśmy w 1945, odprawiając powrotu do kraju, cięży nadal na naszym położeniu wśród obcych. Im żywiej nam wówczas to niezadowolenie okazywano, im głośniejsze wołano nam: "Wracajcie skądście przyszl!", tym mniej się cieszymy się obecnie zaufaniem. Gdybyśmy wczorajszym krzykaczom zaczęli się teraz oświadczać z miłością, nie tylko nie danoby nam wiary, ale moglibyśmy popaść w podejrzenie sztyderstwa, sprzeczności lub jakichś wręcz prowokatorskich zamysłów. Aby wzajemne zaufanie przywrócić, niezbędne wydaje mi się zachowanie obecnie skrajnej rezerwy i milczenia, jako postawy najbardziej stanowiącej naszych spraw odpowiadającej.

Tu wypuścił wielki kłęb dymu i dodał:

— Co do mnie, to od trzech lat już trzymam głowę na kłódce zamkniętą i "trzy bez atu" uważam za najbardziej polityczną w tych okolicznościach deklarację.

Wśród ciszy, jaka po tych słowach nastąpiła, jeden z graczy drżącym ze wzruszenia głosem zapowiedział wielki szlem w bez atu, na co obaj przeciwnicy jednocześnie "kontra!" zawołali. Major wstał i zrobiwszy ręką przyjazny gest w moją stronę, podszedł do stolika, aby się rozgrywcę przypatrzeć.

O samoczynnym ambasadorstwie słyszałem jeszcze kilka opinii, o których w następnym liście doniosę. Tymczasem, przesyłając serdeczne życzenia wesołych świąt i emigracyjne "Daj Boże zdrowo doczekać!", pozostaję pańskim powolnym sługą

Jerzy ŁYSINA.

Pisałem w peruce, dnia 18 grudnia 1950.

**POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY**  
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU  
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

**JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ**

1588 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",  
"Wiadomości", "Życia".



# Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1950

## Spis autorów

ANDRZEJEWSKI Bogumił — BAHRIANYJ Iwan, BAUMGART Fritz, BĄCZKOWSKI Włodzimierz, BEDNARCZYK Czesław, BIAŁASIEWICZ Józef, BILIŃSKI St., BOCHENSKI I. M., O. P., BOR-KOWSKI-DUNIN Sławomir, BORZĘCKI Lech Maria, BRZÓSKA Konstancy, BURNHAM James — CHAŁKO Zbigniew, CZAPLIŃSKI Stefan, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian, CZYTELNIK — DĄBROWSKI Teodor A., DOLINA-ZYCH Józef, DOMINIK H. S., DZIEWANOWSKI M. K. — EPSTEIN Julius — «FELEK», FELSZTYN Tadeusz, FURATYK Leon, FYŁYPOWICZ Pawło — GORDON Marek, GROBICKI Aleksander, GRUSZKA Sylwester — HAUPT Zygmunt, HEINRICH Tadeusz, HEINSDORF Helena, HIRSZHAUT J., HOFFMAN Jakub, HORDYŃSKYJ Światosław, HOSTOWIEC Paweł — I. S., IWA-NIUK Wacław — J. B., JELEŃSKI K. A., JĘDRZEJEWICZOWA - BAUDOUIN de COURTENAY Cezaria, J. M. R., JORDAN Zbigniew — KANIEWSKI-ZBIK W., KANTAK Kamil Ks., KŁEN Jurij, KOESTLER Arthur, KORBONSKI Stefan, KORCZYŃSKI Aleksander, KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOWALSKI Jan, KRANC Felicja, KRAWCIW Bohdan, KRYSZEK Antoni, KRZECZKOWSKI Jerzy, KUCHARSKI Janusz — LANTIER Raymond, LEBIEDZIEWSKI J., LEDNICKI Jan, LEDNICKI Wacław, LEDÓCHOWSKI Włodzimierz, LONDYŃCZYK — ŁOBODOWSKI Józef, ŁYSAKOWSKI M. — M., MALINOWSKI-POBÓG Władysław, MAŁANIUK Jewhen, MAŁECKI Ł., MAŁECKI Zbigniew, MARKIEWICZ Zygmunt, MIECZYŚLAWSKA Aniela, MIEROSZEWSKI Juliusz, MONNEROT Jules, MORAWSKI Kajetan — NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NOWAKOWSKI Tadeusz — ORŁOWSKI Leon, ORME Alexandra, ORWELL George, OSMECKI-IRANEK Kazimierz, OSSOWSKI Z. — PATON Alan, PEŁCZYŃSKI Tadeusz, PIETRKIEWICZ Jerzy, P. S. — RADZYMIŃSKA Józefa, RODITI Edouard, ROGALIŃSKI Karol, ROKICKI Józef, ROLLEDER Alicia, RYLŃSKYJ Maksym — SAMBOR Michał, SŁOBOŻANIN M., SOKOLNICKI Michał, SOŁOWIJ Tadeusz, «SPRZEDAWCA», STAWSKI Tadeusz, SUKIENNICI Wiktor, SZACH Wiktor, SZNARBACHOWSKI Włodzimierz, SZYSZKOWSKI Wacław — ŚW. JAN od KRZYŻA — TELIHA Ołena, TERLECKI Tymon, T. S., TURKIEWICZ Zygmunt, TYCZYNA Pawło — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef, UZIEMBŁO Adam — W., W.A.Z., WANKOWICZ Melchior, WASILEWSKI Tadeusz, WEIL Simone, WEINTRAUB Wiktor, WESTFAL Stanisław, WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA Janina, WRAGA Ryszard, WRECIONA E. — ZA-

DEYKAŃSKI Jan, ZALESKI Wojciech, ZAMORSKI Kazimierz, ZAWADZKI Jerzy, ZBYSZEWSKI W. A., ZEROW Mykoła, Z. W. — ZAGIELL E., ZOCHOWSKI S., ŻYLIŃSKI Wiesław, ŻYWI-NA Józef.

## Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BURNHAM James: *Retoryka a pokój*, przeł. J. Ulatowski (9/35).  
CZAPLIŃSKI Stefan: *Prosta odpowiedź* (6/32).  
CZAPSKI Józef: «*Biada urzędnikom*» (7/33-8/34).  
DOMINIK H. S.: *Opinie amerykańskie* (5/31).  
EL i (tłumacz), ob. Weil.  
FURATYK L.: *Sytuacja międzynarodowa widziana z Genewy* (5/31).  
HOSTOWIEC Paweł: *Essay dla Kassandry* (6/32).  
JORDAN Zbigniew: *O rządzie światowym* (10/36).  
— *Przebudowa ekon. Europy Środkowo-Wschodniej* (6/32).  
KOESTLER Arthur: *Fatszywy dylemat*, przeł. Józef Ursyn (9/35).  
KRYSZEK Antoni: *Chłopski rozum* (2/28-3/29).  
MAŁECKI Ł.: *Refleksje wtórnego emigranta* (2/28-3/29).  
— *Żelazna kurtyna i europejska równowaga gosp.* (7/33-8/34).  
*Manifest Kongresu Wolności Kulturalnej* (9/35).  
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Finat klasycznej Europy* (2/28-3/29).  
— *Krytyka chłopskiego rozumu* (4/30).  
— *List z Wyspy* (5/31).  
— *List z Wyspy* (6/32).  
— *List z Wyspy* (9/35).  
— *List z Wyspy* (10/36).  
— *List z Wyspy* (11/37).  
— *List z Wyspy — Państwo na emigracji* (7/33-8/34).  
— *Wywiad z gen. Andersem w sprawie Skarbu Nar.* (6/32).  
MONNEROT Jules: *Zmierzch socjalizmu*, przeł. J. Ursyn (12/38).  
NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *Którędy droga?* (11/37).  
ORŁOWSKI Leon: *Uwagi o podłożu polityki amerykańskiej* (7/33-8/34).  
SAMBOR Michał: *Zgadzam się z majorem Polejką* (4/30).  
SOŁOWIJ Tadeusz: *Bronię Ameryki* (6/32).  
SUKIENNICI Wiktor: *W potowie drogi* (4/30).  
*Sytuacja międzynarodowa widziana z Paryża* (1/27, 2/28-3/29).  
ULATOWSKI Jan (tłumacz), ob. Burnham (9/35).  
URSYN Józef (tłumacz), ob. Koestler (9/35).  
UZIEMBŁO Adam: *Podziemie* (1/27).  
WANKOWICZ Melchior: *O żydach* (7/33-8/34).  
WEIL Simone: *Uwagi o całkowitym zniesieniu stronnictw*, przeł. El. i. (4/30).  
WRAGA Ryszard: *Korea* (11/37).  
— *Rubel narzędziem agresji* (4/30).  
— *Sojusz dwóch rewolucji* (4/30).  
— *Sprawy sowieckie* (9/35).  
ZALESKI Wojciech: *Organizacja czy zbiórka?* (11/37).



## Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BOCHEŃSKI I. M., O. P.: *Encyklika «Humani generis»* (11/37).  
 CZAPSKI Józef: *Czarne lustro* (12/38).  
 — *«Dzwonki»* (11/37).  
 — *Łańcuch niewidzialny* (6/32).  
 — *Malowane życie, malowana śmierć* (10/36).  
 — *«Prawie niebo»* (9/35).  
 CZUCHNOWSKI Marian: *Trzy postacie w niebieskim ubraniu* (1/27).  
 GROBICKI Aleksander: *Emigracja polska i francuska Legia Cudzoziemska 1832 - 1836* (11/37).  
 HOSTOWIEC Paweł: *Monsieur Chlewski* (12/38).  
 JELEŃSKI K. A.: *Apokalipsa i perspektywa* (12/38).  
 JĘDRZEJEWICZOWA-BAUDOIN de COURTENAY Cezaria: *Bas-nioznawstwo* (2/28 - 3/29).  
 LEDNICKI Wacław: *O prozie Puszkina* (dok.) (1/27).  
 MAŁANIUK Jewhen: *Kartki z notatnika* (6/32).  
 MARKIEWICZ Zygmunt: *«Przyjaciele Moskale»* (7/33 — 8/34).  
 ORWELL George: *Twórczość Donalda Mc Gilla*, przeł. Teresa Skórzewska (1/27).  
 RODITI Edouard: *Czasopisma kulturalne w Niemczech*, przeł. Jan Ulatowski (9/35).  
 SAMBOR Michał: *Coś dobrego o Sowietach* (10/36).  
 — *Na marginesie literatury emigracyjnej 1945 - 1950* (12/38).  
 SKÓRZEWSKA Teresa (tłumacz.) ob. Orwell.  
 SŁOBOŻANIN M.: *W żelaznym pierścieniu* (5/31).  
 SOKOLNICKI Michał: *Prolegomena do historii naszych czasów* (7/33-8/34).  
 TERLECKI Tymon: *Moralność w teatrze* (5/31).  
 — *«Pani Helena»* (6/32).  
 — *Pisarstwo Wojciecha Bogusławskiego* (7/33-8/34).  
 ULATOWSKI Jan (tłumacz) ob. Roditi (9/35).  
 WAŃKOWICZ Melchior: *Rozmowy w ciemnościach* (1/27).  
 WEINTRAUB Wiktor: *Marx, Palmerston i sprawa polska* (12/38).

## Książki

- BURNHAM James: *Walka o świat*, przeł. Józef Ursyn (c. d. 1/27, 2/28 — 3/29, 4/30, 5/31).  
 URSYN Józef (tłumacz) ob. Burnham, 1/27, 2/28-3/29, 4/30, 5/31).

## Nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- HAUPT Zygmunt: *Czuwanie i stypa* (2/28-3/29).

- KOWALEWSKI Janusz: *Bodaj-eś ludzkie brudy sprzątał* (6/32).  
 LELIWA A. (tłumacz) ob. Paton.  
 LEDÓCHOWSKI Włodzimierz: *Podróż inspekcyjna do Kurumanu* (12/38).  
 PATON Alan: *Placz, kraju umiłowany*, przeł. A. Leliwa (12/38).  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim* (7/33 — 8/34).

## Utwory poetyckie

- ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Podróż do krajów legendarnych* (9/35).  
 BAHRIANYJ Iwan: *Z celi śmierci*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 BEDNARCZYK Czesław: *...* (4/30).  
 — *Metafory z Hyde Parku* (10/36).  
 — *Notatka z Londynu* (4/30).  
 — *Pijany dom* (4/30).  
 CZUCHNOWSKI Marian: *Nerwica* (6/32).  
 — *Obelga dla pisarza* (6/32).  
 — *Oda* (6/32).  
 — *Pejzaż* (10/36).  
 — *Przestroga* (6/32).  
 — *Za każdą tęgę* (10/36).  
 — *Znalesz Kordiana?* (6/32).  
 FYŁYPOWICZ Pawło: *Minęła noc*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 GORDON Marek: *Samotność* (2/28-3/29).  
 — *Zabawki* (2/28-3/29).  
 HAUPT Zygmunt: *Warianty* (7/33-8/34).  
 HORDYŃSKYJ Światosław: *Apokalipsa*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Epoka*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 IWANIUK Wacław: *Dziennik z podróży tropikalnej i wiersze o wojnie* (11/37).  
 KŁEN Jurij: *Na szlakach Odyssa*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Okrutne dni*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *W drodze*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 KRAWCIW Bohdan: *Jak ptaki w dal*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Wilkołak*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Zórawie*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 KUCHARSKI Janusz: *Nic więcej* (10/36).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Pieśń o Krzysztofie* (5/31).  
 — *Sen nocy wotyńskiej* (5/31).  
 — (Przekłady) ob. ob.: Bahrianyj, Fyłypowicz, Hordyński, Kłen, Krawciw, Małaniuk, Rylski, Teliha, Tyczyna, Zorow: *Antologia poezji ukraińskiej oraz Kantyczka duchowa: św. Jan od Krzyża*.



- ŁYSAKOWSKI M.: *Pożegnanie z Francją* (10/36).  
 MAŁANIUK Jewhen: *Epoka*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Oda do idącego*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Ojczyzna*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Pięty poemat* (9/35).  
 RADZYMIŃSKA Józefa: *Ciężar słów* (6/32).  
 — *Milczenie serca* (5/31).  
 — *Motywy osobliwy* (5/31).  
 RYLŚKYJ Maksym: *Fragmenty poematu*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Jak Odyseusz*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 ŚW. JAN od KRZYŻA: *Kantyczka duchowa*, przeł. Józef Łobodowski (12/38).  
 TELIHA Ołena: *Bez nazwy*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Mężowi*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 TYCZYNA Pawło: *Ktoś gładził niwy*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Oj, nie skrywaj przyrodę*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Tam topole na polu*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA Janina: *Grzybobranie* (2/28-3/29).  
 ZEROW Mykoła: *Książę Ihor*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Owidiusz*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Skorpion*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *W stepie*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 ŻYWINA Józef: *Akt* (10/36).  
 — *Śpiew na przednówku* (10/36).

### Najnowsza historia Polski

- BORZECKI Lech Maria: *List do Redakcji* (2/28-3/29).  
 DOLINA-ZYCH Józef: *Pamiętny lipiec w Lublinie* (7/33-8/34).  
*Dyskusja w sprawie N.S.Z'u* — S. Żochowski, W. Żbik-Kaniewski i Jan Lednicki (10/36).  
 HOFFMAN Jakub: *Początki konspiracji na Wołyniu* (10/36).  
 KORBOŃSKI Stefan: *List do Redakcji* (2/28-3/29).  
 KRZECZKOWSKI Jerzy: *Z marszałkiem Rydzem-Śmigłym w Rumunii* (9/35).  
*Listy do Redakcji w sprawie N.S.Z'u* — Józef Rokicki, Tadeusz Pełczyński i J. Hirszhaut (7/33-8/34).  
 MORAWSKI Kajetan: *Oświadczenie* (4/30).  
 — *Wspomnienia z pracy w Ministerstwie Skarbu* (2/28-3/29).  
 OSMECKI-IRANEK Kazimierz: *«Ptaszki»-«Zrzutki»* (1/27).  
*Ostatnia wola Piłsudskiego* (5/31).  
 STAWSKI Tadeusz: *Wrześniowy kryzys Powstania Warszawskiego* (9/35).

- WAŃKOWICZ Melchior: *Spory o monopole — przykład z r. 1917/18* (12/38).  
 WRAGA Ryszard: *«Czwarty marszałek Polski»* (1/27).  
 WRECIONA E.: *Bereza Kartuska z innej strony* (4/30).  
 ŻOCHOWSKI S.: *Narodowe Siły Zbrojne* (5/31).

### Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *O cieśninach tureckich* (7/33-8/34).  
 CZAPSKA Maria: *«Dialogues des Carmelites»* (7/33-8/34).  
 — *Ojciec Kolbe* (10/36).  
 — *Pamięci Bernanosa* (5/31).  
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Filozofia Historii Europy* (10/36).  
 EPSTEIN Julius: *Dlaczego przegrano pokój?* przeł. Józef Ursyn (9/35).  
 — *Posiew Zdrady*, przeł. Jan Ulatowski (6/32).  
 HEINSDORF Helena: *Kres wędrówki* (6/32).  
 I. S.: *Dwie powieści o ziemi* (5/31).  
 KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Alma Mater Vilnensis* (9/35).  
 LANTIER Raymond: *Prehistoria Polski* (12/38).  
 LEBIEDZIEWSKI J.: *Lista katyńska* (2/28-3/29).  
 MARKIEWICZ Zygmunt: *«Mickiewicz» Mieczysława Jastruna* (10/36).  
*Nowości angielskie* (4/30, 5/31).  
*Nowości francuskie* (4/30, 5/31, 7/33-8/34, 9/35, 12/38).  
 ORME Alexandra: *Doświadczenia węgierskiego Mikołajczyka* (6/32).  
 SUKIENNICKI Wiktor: *Z ziemi niehumanitarnej — relacje obcych i swoich* (11/37).  
 SZNARBACHOWSKI Włodzimierz: *Włoszka w służbie polskiego podziemia* (5/31).  
 T. S.: *Teki Bęgruckie* (2/28-3/29).  
 ULATOWSKI Jan: *Hitler i jego partnerzy* (7/33-8/34).  
 — (tłumacz) ob. Epstein (6/32).  
 URSYN Józef: *Dysonans Zachodu* (5/31).  
 — *Książki Odette Pannetier* (12/38).  
 — *Moira* (12/38).  
 — *O powszechności w cierpieniu* (9/35).  
 — *Problematyka ruchów oporu* (10/36).  
 — *Spacer po domach wydawniczych francuskich* (4/30, 6/32, 7/33-8/34).  
 — *Walka Zachodu ze Wschodem nie jest tylko rewolucją* (5/31).  
 — (tłumacz.) ob. Epstein (9/38).  
 W.: *Stałintern* (4/30).  
 W. A. Z.: *Scenariusz* (12/38).  
 WAŃKOWICZ Melchior: *Powieść o proroku-kolaborancie* (6/32).  
 WASILEWSKI Tadeusz: *Kampania wrześniowa w krzywym zwierciadle* (2/28-3/29).



- WRAGA Ryszard: *O nowej książce J. Burnhama* (7/33-8/34).  
 — *O subiektywnym obiektywizmie pewnej książki* (2/28-3/29).  
 ZAMORSKI Kazimierz: *Książka o Kołymie* (2/28-3/29).  
 ZAWADZKI Jerzy: *Wierzyński o Chopinie* (4/30).

### Kronika kulturalna

- Ankieta: *Na jakie cele kulturalne obrócić fundusze Skarbu Narodowego* (10/36).  
 BAUMGART Fritz: *Wymowa współczesnej sztuki niemieckiej*, przeł. Jan Ulatowski (9/35).  
 HAUPT Zygmunt: *«The little magazine»* (6/32).  
 HEINRICH Tadeusz: *Na scenach paryskich* (7/33-8/34).  
 FURATYK Leon: *Technika drukarska a przemysł książkowy* (9/35).  
 J. M. R.: *Dramat malarstwa* (7/33-8/34).  
 KOWALEWSKI Janusz: *Precz z monopolem* (10/36).  
*Kronika Kongresu Wolności Kultury* (9/35).  
 MAŁECKI Zbigniew: *Odbieżowiona Szwajcaria* (12/38).  
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dużo książek — mało literatury* (12/38).  
*Oficyna Poetów i Malarzy* (1/27).  
*Polonica francuskie* (4/30).  
 RODITI Edouard: *«List z diaspory»*, przeł. Józef Ursyn (11/37).  
 ROGALIŃSKI Karol: *Zamówienie społeczne i sprawy pokrewne* (4/30).  
 ULATOWSKI Jan (tłumacz), ob. Baumgart.  
 URSYN Józef (tłumacz), ob. Roditi.  
 W. A. Z.: *«Lwów i Wilno»* (12/38).  
 WEINTRAUB WIKTOR: *George Orwell* (4/30).  
 WESTFAL Stanisław: *Radziecki czy sowiecki?* (7/33-8/34).  
 ZADEYKAŃSKI Jan: *Don Kichot z świętokrzyskiej* (1/27).  
 ZAWADZKI Jerzy: *Kronika muzyczna* (2/28-3/29).  
 ŻYLIŃSKI Wiesław: *Dorobek Kursu Spraw Wschodnich* 2/28-3/29).

### Sprawy krajowe

- BRZÓSKA Konstanty: *Sytuacja gospodarcza Polski — bilans planu trzyletniego* (12/38).  
 KOWALSKI Jan: *Reforma pieniężna w Polsce* (12/38).  
 ŁOBODOWSKI Józef: *Sytuacja w kraju poprzez korespondencję* (11/37).  
 M.: *Ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy* (7/33-8/34).  
 MALINOWSKI-POBÓG Władysław: *Nocna z rodakiem rozmowa* (7/33-8/34).  
 MAŁECKI Ł.: *Światła i cienie przy odbudowie stolicy* (5/31).  
 SZYSZKOWSKI Wacław: *«Bumelanctwo» a «proguty»* (5/31).

- *Nowe prawo rodzinne w kraju* (7/33-8/34).  
 — *«Scaleniówka» administracyjna* (5/31).  
 — *U źródeł samokrytyki* (7/33-8/34).  
 — *Walka z kosmopolityzmem* (9/35).  
 W. Z.: *Droga krzyżowa* (5/31).  
 Z. W.: *Frontem do Niemiec* (9/35).  
 — *O niektórych sprawach krajowych* (4/30).  
 — *Rozkaz Nr 26* (6/32).  
 — *Sowietyzacja nauki* (6/32).

### Straty kultury polskiej

- KORCZYŃSKI Aleksander: *Edward Cros* (11/37).  
 KRANC Felicja: *Maciej Nowicki* (12/38).  
 SUKIENNICKI Wiktor: *«Sztubak»* (9/35).  
 TERLECKI Tymon: *Stefan Essmanowski* (2/28-3/29).  
 ZADEYKAŃSKI Jan: *Adolf Nowaczyński* (10/36).  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Człowiek, który umarł za późno* (12/38).

### Sprawy i troski

- BIAŁASIEWICZ Józef: *Młode Polki w Chicago* (11/37).  
 CHAŁKO Zbigniew: *Nie łatwo być ambasadorem* (12/38).  
 J. B.: *Kronika emigracyjna — Niemcy* (10/36, 11/37, 12/38).  
 LONDYŃCZYK i P. S.: *Kronika emigracyjna — Anglia* (12/38).  
 NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *Sami musimy znaleźć rozwiązanie* (5/31).  
 ZALESKI Wojciech: *Spółeczność wartownicza* (10/36).  
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Polonia francuska* (11/37).  
 — *«Syberia obozowa» w Anglii* (9/35).  
 ŻAGIELL E.: *Kronika emigracyjna — Australia* (12/38).

### Tłumaczenia

#### Z języka angielskiego

- BURNHAM James: *Retoryka a pokój*, przeł. Jan Ulatowski (9/35).  
 — *Walka o świat*, przeł. Józef Ursyn (1/27, 2/28-3/29, 4/30, 5/31).  
 EPSTEIN Juliusz: *Dlaczego przegrano pokój*, przeł. Józef Ursyn (9/35).  
 — *Posiew zdrady*, przeł. Jan Ulatowski (6/32).  
 KOESTLER Arthur: *Fałszywy dylemat*, przeł. Józef Ursyn (9/35).  
 ORWELL George: *Twórczość Donalda Mac Gilla*, przeł. Teresa Skórzewska (1/27).  
 RODITI Edouard: *Czasopisma kulturalne w Niemczech*, przeł. Jan Ulatowski (9/35).  
 — *«List z diaspory»*, przeł. Józef Ursyn (11/37).  
 PATON Alan: *Plac, kraju umiłowany*, przeł. A. Leliwa (12/38).



## Z języka francuskiego

- LANTIER Raymond: *Prehistoria Polski*.  
 MONNEROT Jules: *Zmierzch socjalizmu*, przeł. Józef Ursyn (12/38).  
 WEIL Simone: *Uwagi o całkowitym zniesieniu stronnictw*, przeł. El. i. (4/30).

## Z języka hiszpańskiego

- ŚW. JAN od KRZYŻA: *Kantyczka duchowa*, przeł. Józef Łobodowski (12/38).

## Z języka niemieckiego

- BAUMGART Fritz: *Wymowa współczesnej sztuki niemieckiej*, przeł. Jan Ulatowski (9/35).

## Z języka ukraińskiego

- BAHRIANYJ Iwan: *Z celi śmierci*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 FYŁYPOWICZ Pawło: *Minęła noc*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 HORDYNŃSKYJ Światosław: *Apokalipsa*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Epoka*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 KLEN Jurij: *Na szlakach Odyssa*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Okrutne dni*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *W drodze*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 KRAWCIW Bohdan: *Jak płaki w dal*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Wilkołak*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Zórawie*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 MAŁANIUK Jewhen: *Epoka*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Oda do idącego*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Ojczyzna*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 RYLŃSKYJ Maksym: *Fragmenty poematu*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Jak Odyseusz*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 SŁOBOŻANIN M.: *W żelaznym pieścieniu*, przeł. Józef Łobodowski (5/31).  
 TELIHA Ołena: *Bez nazwy*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Mężowi*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 TYCZYNA Pawło: *Któs gładził niwy*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).

- *Oj, nie skrywaj przyrodę*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Tam topole na polu*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 ZEROW Mykoła: *Książę Ihor*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Owidiusz*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *Skorpion*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).  
 — *W stepie*, przeł. Józef Łobodowski (7/33-8/34).

## Bibliografia

- KOWALIK Jan: *Polonica niemieckie od 1. IX. 1939 do 31. XII. 1948* (c. d.) (1/27, 4/30, 5/31, 6/32, 7/33-8/34, 10/36).

## Rysunki

- CZAPSKI Józef: *Z notatnika amerykańskiego* (4 rysunki) (4/30).  
 — *Pejzaż amerykański* (6 rysunków) (7/33-8/34).  
 TURKIEWICZ Zygmunt: *Akt* (2 rysunki) (4/30).

## Listy do Redakcji

- BILIŃSKI St.: *List do Redakcji* (12/38).  
 BORKOWSKI-DUNIN Sławomir: *List do Redakcji* (1/27).  
 CZYTELNIK: *List do Redakcji* (10/36).  
 DĄBROWSKI Teodor A.: *List do Redakcji* (12/38).  
 «FELEK»: *List do Redakcji* (5/31).  
 FELSZTYN Tadeusz: *List do Redakcji* (9/35).  
 GRUSZKA Sylwester: *List do Redakcji* (9/35).  
 KANTAK Kamil, Ks.: *List do Redakcji* (11/37).  
 MAŁECKI Ł.: *List do Redakcji* (7/33-8/34).  
 MIECZYŚLAWSKA Aniela: *List do Redakcji* (7/33-8/34).  
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *List do Redakcji* (2/28-3/29).  
 OSSOWSKI Z.: *List do Redakcji* (2/28-3/29).  
 ROLLEDER Alicja: *List do Redakcji* (11/37).  
 SPRZEDAWCA: *List do Redakcji* (9/35).  
 SZACH Wiktor: *List do Redakcji* (10/36).  
 TERLECKI Tymon: *List do Redakcji* (11/37).

## Różne

- Oświadczenie Redakcji* (6/32).  
*Oświadczenie Redaktora* (4/30).



## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W Przeglądzie Panów przeczytałem właśnie artykuł o. Bocheńskiego. Niech mi wolno będzie wyrazić zdziwienie i pewien żal, jaki odczułem ja sam, a ze mną — jak mi wiadomo — inni księża francuscy, którzy zaznajomili się z treścią odnośnego artykułu.

Nie jestem teologiem ani nie piastuję żadnej władzy w Kościele i dlatego nie będę kwestionował słuszności komentarzy o. Bocheńskiego do encykliki Humani Generis, które wydają mi się zresztą dość wnikiwe. Nie taki jest cel niniejszego listu pisanego przez Francuza przyjaciela Polski. Czy jednak nie należy ubolewać nad tym, że artykuł napisany w tonie poważnym, kończy się wycieczką antyfrancuską, co do której należy stwierdzić, że jest zarówno niesprawiedliwa jak mało poważna.

O. Bocheński zaznacza w krótkiej notatce pod koniec swego artykułu, że to co podaje, jest wynikiem rozmowy przeprowadzonej z innym duchownym, lecz że sam autor nie rozróżnia już tego, co jest jego własną myślą. Nie brzmi to zbyt poważnie, jak na profesora uniwersytetu, który zwykł przemyśleć cudze idee. — Ponadto uwaga, że pewien polski ksiądz w czasie krótkiego pobytu we Francji, znalazł u nas nie "duchową siłę, której szukał", ale "zgniliznę", wywołuje wrażenie obelgi, którą Francuzi uważają za nieuzasadnioną i bardzo przykrą; w każdym razie nie jest to znowu argument poważny. Mogłbym na to przytoczyć zdanie innego młodego księdza polskiego, który ze swej pielgrzymki do Rzymu pisał ostatnio: "Me głębokie przywiązanie umysłu i serca do Kościoła rzymsko-katolickiego zawdzięcza przed wszystkim swoim profesorom z Instytutu Katolickiego w Paryżu". Jak piękna to pochwała dla nauczycieli! Prawda, że ksiądz ten pięć lat studiował we Francji i dlatego wolę jego zdanie od cytowanego przez o. Bocheńskiego zdania kapłana, który przebywał u nas dwa miesiące, więc raczej w charakterze turysty. Ignoti nulla cupido.

A propos: czy o. Bocheński sam zna dobrze Francję katolicką i katolicki Zachód? Bo ostatecznie napisać, że Polska liczyła na Zachód, ale że — zawsze z powodu Francji — doznała zawodu i niczego nie otrzymała, znaczy zapominać, że Zachód, że kościoły katolickie Zachodu, że teologowie Zachodu to również teologowie Belgii, Holandii, Niemiec, Szwajcarii, Hiszpanii i również... Rzymu! Nie być w tym względnie dokładnym i ścisłym, znaczy już być stronnikiem. Gdy chodzi o stosunek Francji i Polski, zakończyć przytoczeniem kilku faktów, które mi się nasuwają i które przynajmniej w części oddadzą sprawiedliwość. Pierwszy fakt. Teologowie francuscy to nie tylko pięć lub sześć nazwisk — jakkolwiek byliby sąd na który zasługują i jaki się o nich wydaje — ale to przede wszystkim setki wybitnych profesorów seminariów oraz ponadto tylu uczonych profesorów, tak jest, prawdziwych uczonych uznawanych powszechnie, których doktryna tradycyjna i pewna jest niemniej powszechnie uznawana. Polacy wiedzą o tym tak jak wszyscy. Drugi fakt, innego rodzaju: Dzięki składce zebranej we Francji wysłałem po kilkaset najlepszych dzieł specjalnych dla każdego z 26 seminariów duchownych w Polsce; — jest to

skromna pomoc dla ich zniszczonych bibliotek a w każdym razie pewne poparcie intelektualne kościoła Francji dla bratniego kościoła w Polsce. Inny fakt: Ponad 60 kleryków i młodych księży polskich ocalałych z Dachau doznało bardzo życzliwego przyjęcia w Instytucie Kaniach, który uważa ich za swoich wybitnych uczniów; — ich żywa wdzięczność wyrażana tyle razy w sposób wzruszający świadczy nam o prawdziwych uczuciach kleru polskiego w odniesieniu do nas. To dla nas Francuzów znaczy więcej, choć nie mamy pretensji do tego, byśmy byli bez błędu i by nam niczego zarzucić nie można.

W końcu ośmielam się przytoczyć zdanie bardzo wysokich polskich autorytetów kościelnych, których opinia niewątpliwie posiada swój ciężar gatunkowy. Kard. Hlond, któremu zawdzięczałem zaszczyt mianowania mnie kanonikiem katedry prymasowskiej w Gnieźnie, przypisywał dużą wagę do umysłowej i duchowej formacji jaką jego klerycy otrzymywali we Francji. Obecny zaś Prymas Polski, ks. arcybiskup Wyszyński, kilkakrotnie już wyraził swoje przekonanie o owočnosti dłuższego pobytu w kraju bogatym pod względem myśli i sztuki, w kraju, w którym wprost namacalnie promieniuje żywotność religijna jego 30.000 parafii i wartość jego 40.000 kapłanów. Są to bogactwa tak dawne i tak różnorodne, że znawca nie może pomieszać starej, katolickiej Francji, z prądami, które niekiedy marszczą jej powierzchnię.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy prawdziwego poważania,

Ks. Marceli LEVEQUE  
kanonik metropolitalnej  
bazyliki gnieźnieńskiej.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie chcę polemiki, ale uważam, że promieniowanie KULTURY jest tak szerokie, że niniejsze sprostowanie na łamach KULTURY jest konieczne, za co z góry serdecznie dziękuję w imieniu Prawdy.

Nie jestem stałym czytelnikiem, ze względów budżetowych, ale dosyć często mam sposobność przejrzania KULTURY. Ostatni numer wydał mi się jeszcze wspanialszy od poprzednich. Niestety muszę wyrazić pewne zastrzeżenia co do artykułu o Encyklice "Humani Generis", w którym zagadnienia są naprawdę bardzo uproszczone, chociaż każdy czytelnik KULTURY byłby w stanie zrozumieć dyskretniejsze objaśnienia. Szczególnie żałuję bardzo, że to same pismo, które wydało w r. 1949 (Nr 8/25) artykuł Ojca Daniélou, Prądy intelektualne we Francji, dziś tak nikczemnie oceniło myślicieli francuskich rzekomo potępionych przez Encyklikę.

Trzeba bowiem zaznaczyć:

1) że żadne nazwisko nie jest wymienione przez Ojca świętego, — co jednak zauważył Autor tegoż artykułu, — i że trzeba dużo dobrej woli, a mało znajomości pism oskarżonych, aby twierdzić że Encyklika "zawiera wiele dosłownych cytatów..."

2) że nikt nie ma prawa upraszczać zagadnień do tego stopnia, że osoba duchowa, zakonnik i uczony szeroko uważany nawet w kołach rzymskich, jak O. Teilhard de Chardin, uchodzi za gnostyka "zupełnie już nie chrześcijańskiego", i że O. de Lubac, który już od szeregu lat (artykuły jego były głośne już w r. 1934, i właśnie o tych samych



zagadnieniach, w *Nouvelle Revue Théologique*, z Lovanium), niejednokrotnie dał dowody nie tylko nauki, ale niuansów w najtrudniejszych teologicznych dociekanjach, uchodzi za jakiegoś zacofanego archeologa patrystyki, i nie doświadczono go krzewiciela "fałszywej teorii łaski".

Nie wspominam o innych, jak na przykład o P. Gabriel Marcel, któremu żaden czytelnik, nawet powierzchowny, jego dzieł, nie zarzuciłby nieufności do "rozumowania metafizycznego" (chodziłoby tylko o ustalenie terminologii).

Cały artykuł oznacza Autora mało obeznanego z francuskim środowiskiem intelektualnym i katolickim. Starczyłoby mu, aby przejrzał sprawozdania o naszej Encyklice, nie mówię w pismach jezuitów jak "Etudes" (w którym wyraźnie jest umniejszony jej zasięg), ale w pismach świeckich jak "Esprit" (podpisane przez znanego historyka początków Chrześcijaństwa, H. I. Marrou), i w publikacji czysto Dominikańskiej, jak *Revue Thomiste*, gdzie najdokładniej całą doniosłość dogmatyczną ocenia najwybitniejszy przeciwnik O. de Lubac'a, sam O. Labourdette, ze szkoły Saint-Maximin, nie wymieniając nazwiska o którym Encyklika nie wspomina. Czy Francuz ma dawać lekcje kurtuazji polskiemu Dominikanowi?

Bardzo przepraszam Szanownego Redaktora, że mieszam się w tę sprawę, i to w przeciwieństwie do znanego człowieka wielkiej nauki, ale uważam, że niedociągnięcia w pewnych zagadnieniach mogą być bardziej szkodliwe niż czyste oszczerstwo, szczególnie w takiej dziedzinie gdzie "laik" nie ma sposobności dojść do osobistego przekonania.

Z poważaniem,

Ks. Jan M. SZYMUSIAK, T. J.

Maison St.-Augustin  
Enghien — Belgia

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1951.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | Egz. poj.    | Prenumerata |            |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------------|-------------|------------|
|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      |              | ½-roczna    | Roczna     |
| FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV <sup>e</sup> .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | 120 fr.      | 770 fr.     | 1440 fr.   |
| W. BRYTANIA: "GRYP", Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | 3 sh.        | 16 sh.      | 30 sh.     |
| WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA. ....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 200 lir      | 1200 lir    | 2000 lir   |
| SZWECJA: Red. Norbert ZABA, Kal-lskärgsgatan 3/IV, STOCKHOLM. ....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | 2,50 kr.     | 12 kor.     | 22 kor.    |
| NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                     | 2,50 DM      | 15 DM       | 25 DM      |
| ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Ta-deusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                         | 6 peso       | 36 peso     | 72 peso    |
| KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO, Ont .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                            | 75 cent.     | 4 dol.      | 6 dol.     |
| U.S.A.: Na stan New York — S. DZIAR-CZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illi-nois — Józef BIAŁASIEWICZ, 1538 Milwaukee Ave. CHICAGO 22. Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boul-evard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOW-KI 6042 Jos. Campau, DETROIT 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pen-sylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Chrystian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass. .... | 75 cent.     | 4 dol       | 6 dol.     |
| BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYNSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | 25 bfr.      | 120 bfr.    | 210 bfr.   |
| AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYNSKI, 71, Raglan Street, Syden-ham, JOHANNESBURG .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | 3 sh.        | 16 sh.      | 30 sh.     |
| AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | 4 sh.(a.)    | £A1.0.3.    | £A1.18.0.  |
| BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Ju-lia BARCINSKA, r. Erasmo Braga 227 s. 214. RIO DE JANEIRO oraz Zofia KIE TLINSKA, Av. Batel 1514, CURI-TIBA, Parana.                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                             | 15 cruz      | 90 cruz     | 150 cruz   |
| SZWAJCARIA: Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                          | 1,80 fr. szw | 10 fr. szw  | 18 fr. szw |

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).



# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**  
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BATtersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**  
**32 Blenheim Gardens — London N.W.2.**

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **P r e n u m e r a t a :**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/,  
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles  
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

**OGŁOSZENIA:** (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

**CARLTON BERRY LTD.,**  
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

**Cena 120 frs.**